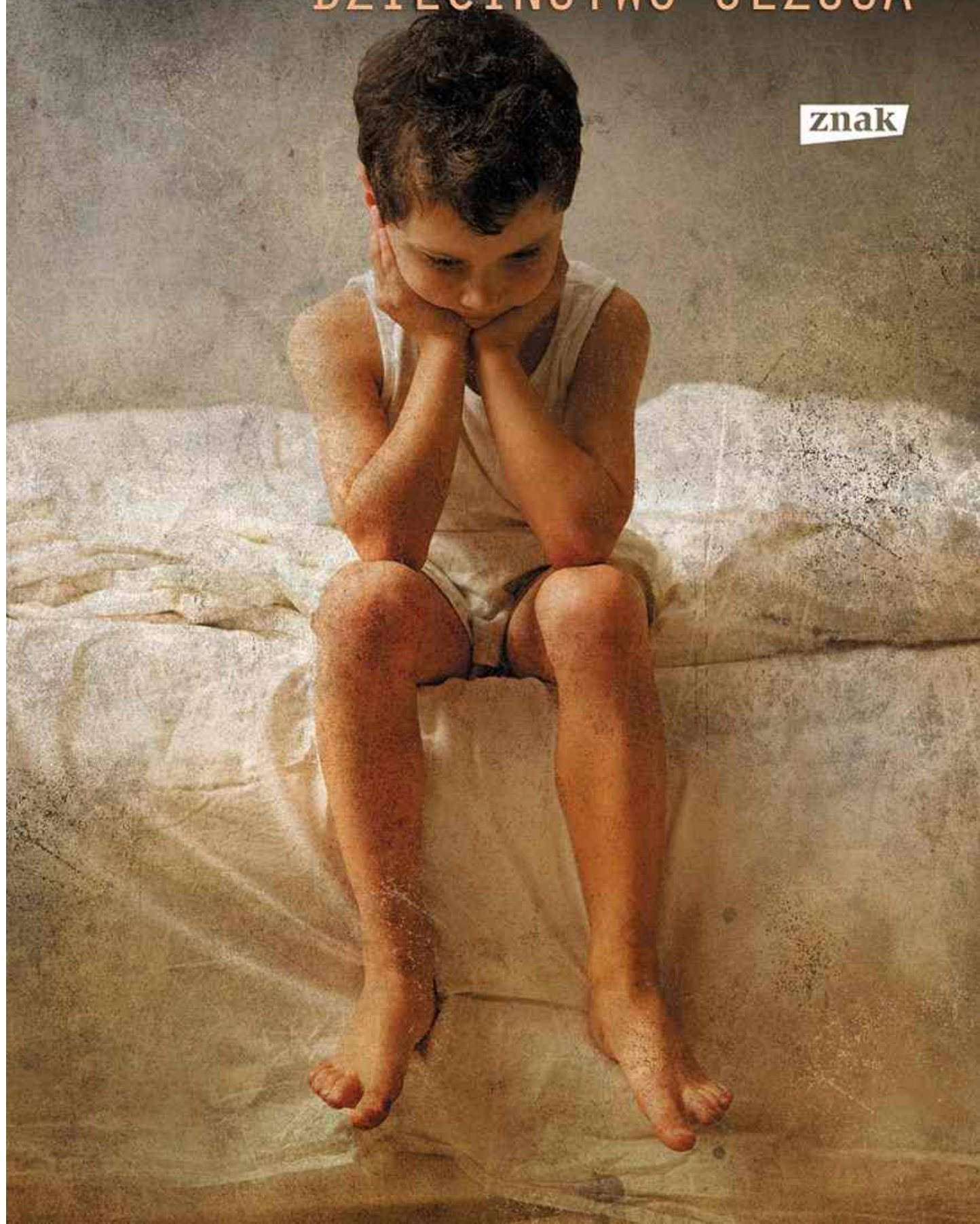


COETZEE

J.M. COETZEE

DZIECIŃSTWO JEZUSA

znak



J.M. COETZEE

DZIECIŃSTWO JEZUSA

PRZEKŁAD  
MIECZYŚLAW GODYŃ



WYDAWNICTWO  
ZNAK  
KRAKÓW 2013

# 1

Człowiek przy bramie wskazuje im niski, rozległy budynek w głębi.

– Jak się pośpieszycie – mówi – to zdążycie się zarejestrować, zanim zamkną biuro.

Spieszą się. *Centro de Reubicación Novilla* – głosi napis. *Reubicación*: co to znaczy? Nie uczył się takiego słowa.

Biuro jest ogromne i puste. Panuje w nim upał – jeszcze większy niż na zewnątrz. Po przeciwnej stronie od wejścia przez całą szerokość pomieszczenia biegnie drewniany kontuar podzielony na przegrody szybami z matowego szkła. Pod ścianą rząd kartotekowych szaf z lakierowanego drewna.

Nad jedną z przegród widnieje napis: *Recién Llegados* – szablonowe litery na prostokącie z kartonu. Urzędniczka za kontuarem, młoda dziewczyna, uśmiecha się na powitanie.

– Dzień dobry – mówi mężczyzna. – Jesteśmy nowi.

Wypowiada słowa powoli, w języku hiszpańskim, którego opanowanie kosztowało go tyle trudu.

– Potrzebna mi praca i jakiś dach nad głową.

Chwyta chłopca pod pachy i podnosi tak, żeby urzędniczka mogła go zobaczyć.

– Mam z sobą dziecko.

Dziewczyna wyciąga rękę do małego.

– Witam, młody człowieku! – mówi. – To pana wnuk?

– Ani wnuk, ani syn, ale jestem za niego odpowiedzialny.

– Dach nad głową... – Patrzy w papiery. – Mamy tu, w Ośrodku, wolny pokój, którego może pan używać do czasu znalezienia czegoś lepszego. Żaden luksus, ale to chyba panu nie przeszkadza. A co do pracy, zajmiemy się tym jutro rano. Wygląda pan na zmęczonego i pewnie chce pan odpocząć. Z daleka idziecie?

– Cały tydzień w drodze. Przyszliśmy z Belstaru, z obozu. Zna pani Belstar?

– Znam, i to dobrze. Sama przeszłam przez Belstar. Tam się pan nauczył po hiszpańsku?

– Mieliśmy lekcje codziennie przez sześć tygodni.

– Sześć tygodni? To szczęściarz z pana. Ja spędziłam w Belstarze trzy miesiące. Konałam z nudów. Jediną rzeczą, jaka mnie trzymała przy życiu, były lekcje hiszpańskiego. Uczyła was może señora Piñera?

– Nie, uczył nas mężczyzna.

Waha się przez chwilę.

– Mogę spytać o coś innego? Mój mały – patrzy na dziecko – nie czuje się dobrze. Trochę dlatego, że jest zdenerwowany; zagubiony i zdenerwowany. I nie odżywiał się jak należy. Jedzenie w obozie mu nie smakowało. Czy można tu gdzieś dostać porządny posiłek?

– Ile chłopiec ma lat?

– Pięć. Tyle mu wpisali.

– I mówi pan, że to nie wnuk?

– Ani wnuk, ani syn. Nie jesteśmy spokrewnieni. Proszę – wyjmuję z kieszeni dwa paszporty i podaje urzędniczce.

Ta przygląda im się uważnie.

– Zostały wydane w Belstarze?

– Tak. Tam otrzymaliśmy nasze imiona, nasze hiszpańskie imiona.

Kobieta przechyla się przez kontuar.

– David – mówi. – Ładne imię. Podoba ci się twoje imię, młody człowieku?

Chłopiec patrzy na nią spokojnie, ale nie odpowiada. Co widzi urzędniczka? Chude, blade dziecko, ubrane w wełniany, zapięty pod szyję kubrak, szare spodnie do pół łydki, wełniane skarpety, czarne sznurowane trzewiki i noszoną na bakier sukienną czapkę.

– Nie jest ci za gorąco? Może zdjąłbyś tę kapotę?

Chłopiec kręci przecząco głową.

Mężczyzna wtrąca:

– To ubranie z Belstaru. Sam sobie takie wybrał z rzeczy, które mieli do zaoferowania. Jest do niego bardzo przywiązany.

– Rozumiem. Pytałam, bo wydawało mi się, że jest trochę za ciepło ubrany jak na dzisiejszy dzień. Pozwolę sobie nadmienić, że mamy tu, w Ośrodku, magazyn, gdzie ludzie oddają odzież, z której ich dzieci już wyrosły. Jest otwarty co rano w dni powszednie. Zapraszam do skorzystania. Znajdzie pan tam większy wybór ubrań niż w Belstarze.

– Dziękuję.

– Kiedy już wypełni pan wszystkie niezbędne formularze, może pan też pobrać pieniądze na podstawie książeczki rozrachunkowej. Przysługuje panu zasiłek na zagospodarowanie w wysokości czterystu reali. Chłopcu też. Po czterysta na głowę.

– Dziękuję.

– A teraz zaprowadzę was do waszego pokoju.

Przechyla się w bok i szepcze coś do kobiety w sąsiednim boksie oznaczonym napisem *Trabajos*. Tamta wyciąga szufladę, szpera w niej, kręci głową.

– Mały problem – mówi dziewczyna. – Chyba nie mamy klucza do pańskiego pokoju. Musi być u szefowej nadzoru budowlanego. Ona się nazywa señora Weiss. Pójdzie pan teraz do budynku C. Narysuję panu plan. Jak pan znajdzie señorę Weiss, poprosi pan o klucz do C-55. Niech pan powie, że przysłała pana Ana z głównego biura.

– Nie łatwiej by było dać nam jakiś inny pokój?

– Niestety, C-55 to jedyny wolny pokój.

– A jedzenie?

– Jedzenie?

– Tak. Czy możemy się gdzieś posilić?

– Z tym też się proszę zwrócić do señory Weiss. Powinna panu pomóc.

– Dziękuję. I jeszcze ostatnie pytanie: macie tu organizacje specjalizujące się w łączeniu ludzi?

– Łączeniu ludzi?

– Tak. Przecież jest tu na pewno mnóstwo osób szukających członków rodziny. Czy istnieją organizacje, które pomagają w odnajdywaniu rodzin, przyjaciół, ukochanych?

– Nie, nigdy nie słyszałam o takiej organizacji.

Po części dlatego że jest zmęczony i zdezorientowany, po części dlatego że plan naszkicowany przez dziewczynę jest niewyraźny, po części z powodu braku jakichkolwiek znaków informacyjnych mężczyzna długo kluczy, zanim w końcu udaje mu się znaleźć budynek C i biuro señory Weiss. Drzwi są zamknięte. Stuka. Żadnej odpowiedzi.

Zatrzymuje przechodzącą obok drobną kobietę o spiczastej, mysiej twarzy, noszącą czekoladowy mundur z godłem Ośrodka.

– Szukam señory Weiss – mówi.

– Już ma fajrant – odpowiada kobieta, a widząc, że mężczyzna nie rozumie, dodaje: – Skończyła pracę na dzisiaj. Przyjdźcie rano.

– A może pani mogłaby nam pomóc? Szukamy klucza do pokoju C-55.

Kobieta kręci głową:



– Przykro mi, ale nie zajmuję się kluczami.

Wracają do *Centro de Reubicación*. Drzwi są zamknięte. Mężczyzna skrobie paznokciem w szybę. Żadnego znaku życia w środku. Skrobie znowu.

– Chce mi się pić – marudzi chłopiec.

– Zaczekaj jeszcze chwilę. Zaraz poszukam jakiegoś kranu.

Zza węgła wyłania się Ana.

– Stukał pan do drzwi? – pyta.

Znów jest uderzony jej młodością, zdrowiem i świeżością, które wprost z niej promieniują.

– Wygląda na to, że señora Weiss poszła już do domu – mówi. – Nie może pani czegoś zrobić? Nie ma pani – jak się to nazywa? – *llave universal*, żeby otworzyć nasz pokój?

– *Llave maestra*. Nie istnieje taka rzecz jak *llave universal*. Gdybyśmy mieli *llave universal*, skończyłyby się wszystkie nasze kłopoty. Nie, señora Weiss jest jedyną osobą z *llave maestra* do budynku C. Ale może ma pan jakiegoś przyjaciela, który by was przenocował? Wtedy wróciliby pan rano i porozmawiał z señorą Weiss.

– Przyjaciela, który by nas przenocował? Dopłynęliśmy do tych brzegów sześć tygodni temu i od tamtej pory mieszkaliśmy w obozowym namiocie na pustyni. Jakże więc może pani oczekiwać, że mogę tu mieć przyjaciół, którzy by nas przenocowali?

Ana marszczy brwi.

– Idźcie do głównego wejścia – nakazuje. – I zaczekajcie przed bramą. Zobaczą, co da się zrobić.

Mijają bramę, przechodzą na drugą stronę ulicy i siadają w cieniu pod drzewem. Chłopiec kładzie głowę na ramieniu mężczyzny.

– Chcę pić – skarży się. – Kiedy znajdziesz kran?

– Ććć... – mówi mężczyzna. – Posłuchaj ptaków.

Słuchają śpiewu obcego ptaka, czują na skórze powiew obcego wiatru.

Pojawia się Ana. Mężczyzna podnosi się i macha do niej. Chłopiec także zrywa się na nogi, z rękami sztywno przyciśniętymi do boków i kciukami zamkniętymi w pięściach.

– Przyniosłam trochę wody dla pańskiego syna – mówi dziewczyna. – Masz, David, pij.

Dziecko pije, potem zwraca kubek kobiecie. Ona chowa go do torebki.

– Dobrze było? – pyta.

– Tak.

– Cieszę się. Chodźcie teraz ze mną. To kawałek drogi, ale można potraktować marsz jak ćwiczenie.

Rusza żwawym krokiem ścieżką wiodącą przez park. Atrakcyjna kobieta, bez dwóch zdań, choć nie najlepiej ubrana: ciemna, bezkształtna spódnica, biała bluzka zapięta pod szyję, pantofle na płaskim obcasie.

Gdyby był sam, dotrzymałby jej kroku, ale z dzieckiem na ręku nie daje rady. Woła:

– Nie tak szybko, proszę!

Ana nie zwraca na niego uwagi. Śpieszy za nią przez park, przez ulicę, przez następną ulicę, ale dzieląca ich odległość coraz bardziej się zwiększa.

Przed wąskim, pospolicie wyglądającym budynkiem dziewczyna zatrzymuje się i czeka.

– Tu mieszkam – mówi. Otwiera kluczem frontowe drzwi. – Proszę za mną.

Prowadzi ich przez mroczny korytarz do tylnego wyjścia, a potem drewnianymi koślawymi schodami na małe podwórko zarośnięte trawą i chwastem, zamknięte z dwóch stron płotem z desek, a z trzeciej drucianą siatką.

– Siadajcie – mówi, wskazując na zardzewiałe żeliwne krzesło do połowy ukryte w trawie.

– Przyniosę wam coś do jedzenia.

Mężczyzna nie ma ochoty siadać. On i chłopiec czekają przy drzwiach.

Dziewczyna wyłania się z domu, niosąc talerz i dzbanek. W dzbanku jest woda, a na talerzu cztery kromki chleba posmarowane margaryną. Dokładnie to samo co dostawali na śniadanie w stacji pomocy społecznej.

– Jako nowo przybyli musicie mieszkać w wyznaczonej kwaterze albo na terenie Ośrodka – oznajmia Ana. – Ale nic się nie stanie, jeśli pierwszą noc spędzicie tutaj. Ponieważ jestem zatrudniona w Ośrodku, możemy przyjąć, że mój dom pełni funkcję oficjalnej kwatery.

– To bardzo uprzejmie z pani strony, bardzo wielkodusznie – mówi mężczyzna.

– Tam, w rogu, są resztki materiałów budowlanych – pokazuje dziewczyna. – Jak pan chce, to może pan sobie z tego zrobić schronienie. Poradzi pan sobie sam?

Patrzy na nią skonsternowany.

– Nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem – mówi. – Gdzie właściwie mamy spędzić noc?

– Tutaj – dziewczyna pokazuje na podwórko. – Wrócę za chwilę i zobaczę, jak panu idzie.

Wspomniane materiały budowlane to kilka płatów galwanizowanej blachy, miejscami przeżartej przez rdzę – pewnie z jakiegoś starego dachu – i trochę kawałków drewna różnej wielkości. Czy to jakaś próba? Czy ona naprawdę myśli, że on i dziecko mają spać pod gołym niebem? Czeką na obiecany powrót, ale dziewczyna się nie pojawia. Próbuje otworzyć tylne drzwi; są zamknięte. Kołaczę. Żadnej odpowiedzi.

O co chodzi? Czy ona stoi za firanką, obserwując jego reakcję?

Nie są uwięzieni. Łatwo mógłby odgiąć drucianą siatkę i uciec. Czy tak właśnie powinni postąpić, czy raczej poczekać i zobaczyć, co będzie dalej?

Czeka. Ana zjawia się ponownie, gdy słońce zaczyna już zachodzić.

– Niewiele pan zrobił – rzuca, marszcząc brwi. – Proszę – wręcza mu butelkę wody, ręcznik i rolkę papieru toaletowego, a widząc jego pytające spojrzenie, dodaje: – Nikt tu pana nie zobaczy.

– Zmieniłem zdanie – mówi mężczyzna. – Wracamy do Ośrodka. Musi tam przecież być jakieś pomieszczenie, gdzie moglibyśmy spędzić noc.

– Nic z tego. Bramy Ośrodka są już zamknięte. Zamykają o szóstej.

Mężczyzna ze złością podchodzi do sterty blachy, wyciąga dwa arkusze i opiera je pod kątem o drewniany płot. To samo robi z trzecim i czwartym arkuszem, tworząc prymitywny szałas.

– Tak sobie pani wyobrażała nasz dach nad głową? – pyta, odwracając się w stronę dziewczyny. Ale jej już nie ma.

– Tu będziemy spać dziś w nocy – mówi do chłopca. – To będzie przygoda.

– Jestem głodny – odpowiada chłopiec.

– Nie zjadłeś chleba.

– Nie lubię chleba.

– Trudno, będziesz się musiał do niego przyzwyczaić, bo to wszystko, co mamy. Jutro znajdziemy coś lepszego.

Chłopiec nieufnie bierze kromkę chleba i nadgryza ją. Paznokcie, zauważa mężczyzna, ma czarne od brudu.

W dogasającym świetle dnia układają się w swoim schronieniu, starszy na posłaniu z trawy, młodszy w zagłębieniu jego ręki. Po chwili chłopiec już śpi, z kciukiem w ustach. Do mężczyzny sen nie przychodzi. Nie ma płaszcza; ziąb powoli wsącza się w jego ciało, zaczyna drzeć. „To nic poważnego, to tylko zimno, nie zabije cię – mówi do siebie. – Noc minie, wszędzie słońce, wstanie dzień. Żeby tylko nie było robactwa. Wszystko, tylko nie te pełzające robaki”.

Zasypia.

Na długo przed świtem budzi się, sztywny i obolały z zimna. Wzbiera w nim gniew. Po co ta bezsensowna niedola? Wyczołguje się spod daszku z blachy, dociera po omacku do drzwi i stuka w nie, najpierw cicho, potem coraz głośniej.

Na górze otwiera się okno; w świetle księżycy majaczy twarz dziewczyny.

– Tak? – pyta. – Coś nie w porządku?

– Wszystko – odpowiada mężczyzna. – Tutaj jest zimno. Może byś nas wpuściła do domu?

Długa chwila ciszy. A potem:

– Zaczekaj.

Czeka. Wreszcie słyszy:

– Masz.

Coś spada na ziemię: koc, niezbyt duży, złożony we czworo, szorstki, pachnący kamforą.

– Czemu nas tak traktujesz? – woła mężczyzna. – Jak śmieci?

Okno zamyka się z trzaskiem.

Mężczyzna wpełza z powrotem do szalasu, opatula kocem siebie i dziecko.

Budzi go świergot ptaków. Chłopiec wciąż mocno śpi, odwrócony doń plecami, z czapką pod głową. Ubranie mężczyzny jest mokre od rosy. Zapada ponownie w drzemkę. Kiedy otwiera oczy, widzi nad sobą Anę.

– Dzień dobry – mówi dziewczyna. – Przyniosłam wam śniadanie. Niedługo muszę wyjść. Jak będziecie gotowi, to was wypuszczę.

– Wypuszczę?

– Przeprowadzę was przez dom. Pośpieszcie się. Nie zapomnij wziąć koca i ręcznika.

Mężczyzna budzi chłopca.

– Wstawaj – mówi. – Czas na śniadanie.

Sikają ramię w ramię w kącie podwórka.

Okazuje się, że śniadanie to jeszcze raz chleb i woda. Dziecko kręci nosem; on sam nie jest głodny. Zostawia nietkniętą tacę na schodach.

– Jesteśmy gotowi do wyjścia! – woła.

Dziewczyna wyprowadza ich przez korytarz na pustą ulicę.

– Do widzenia – mówi. – W razie potrzeby możecie tu wrócić na noc.

– A co z pokojem, który nam obiecywałaś w Ośrodku?

– Jeśli się okaże, że klucza wciąż nie ma albo że pokój został w międzyczasie zajęty, to możecie znów spać tutaj. Do zobaczenia.

– Chwileczkę. Czy nie możesz nam pożyczyć trochę pieniędzy?

Do tej pory nie musiał żebrać, ale nie wie, do kogo innego miałby się zwrócić.

– Powiedziałaś, że wam pomogę, ale nic nie mówiłam o pieniądzach. W tej sprawie musisz się udać do *Asistencia Social*. Z miasta można tam dojechać autobusem. Pamiętaj, żebyś wziął z sobą książeczkę rozrachunkową i potwierdzenie zameldowania. Wtedy będziesz mógł dostać zasiłek na zagospodarowanie. Albo jeśli znajdziesz pracę, możesz poprosić o zaliczkę. Dziś rano nie będzie mnie w Ośrodku. Mam kilka spotkań. Ale jak pójdziesz tam i powiesz im, że szukasz pracy i potrzebujesz *un vale*, będą wiedzieli, o co chodzi. *Un vale*. A teraz muszę już lecieć.

Ścieżka, którą mężczyzna i chłopiec idą przez pusty park, okazuje się niewłaściwa. Gdy wreszcie docierają do Ośrodka, słońce stoi już wysoko. Za kontuarem z napisem *Trabajos* siedzi kobieta w średnim wieku, o zaciętej twarzy, z włosami szeszanymi za uszy i ciasno związanymi z tyłu głowy.

– Dzień dobry – mówi mężczyzna. – Wczoraj się zarejestrowaliśmy. Jesteśmy nowi, a ja szukam pracy. Podobno mogę otrzymać od pani *un vale*.

– *Vale de trabajo* – mówi kobieta. – Proszę pokazać paszport.

Podaje jej dokument. Kobieta przegląda go i zwraca.

– Wpiszę panu *vale*, ale rubrykę „praca” wypełnia pan sam; od pana zależy, na co się pan zdecyduje.

– Może podpowie mi pani, gdzie powinienem zacząć? To jest dla mnie obcy teren.

– Niech pan spróbuje w dokach – radzi kobieta. – Tam zwykle potrzebują robotników. Dostanie się pan na miejsce autobusem 29. Odjeżdża sprzed głównej bramy co pół godziny.

– Nie mam pieniędzy na autobus. W ogóle nie mam pieniędzy.

– Autobus nic nie kosztuje. Wszystkie autobusy są za darmo.

– A jakiś ką do mieszkania? Mogę o to spytać? Ta młoda pani, która była wczoraj na dyżurze, ma na imię Ana, zarezerwowała dla nas pokój, ale nie udało nam się do niego dostać.

– Nie ma już wolnych pokoi.

– Wczoraj był wolny pokój, C-55, tylko klucz się gdzieś zapodział. Miała go pod opieką señoora Weiss.

– Nic o tym nie wiem. Proszę przyjść po południu.

– Nie mógłbym porozmawiać z señoorą Weiss?

– Dziś rano mamy zebranie starszego personelu. Señoora Weiss jest na tym zebraniu. Będzie w pracy dopiero po południu.



## 2

W autobusie 29 ogląda otrzymane *vale de trabajo*. Zwykła kartka wyrwana z notesu, a na niej nagryzmołone: „Okaziciel jest nowo przybyłym. Proszę wziąć pod uwagę możliwość zatrudnienia”. Żadnej pieczętki, żadnego podpisu, tylko same inicjały: P.X. Całość wygląda bardzo nieurzędowo. Czy taki świstek wystarczy, żeby dostać pracę?

Wysiadają z autobusu ostatni. Przy całej swej rozległości – nabrzeża ciągną się wzdłuż rzeki aż po widnokrąg – doki wydają się dziwnie opustoszałe. Tylko na jednej kei coś się dzieje: trwa załadunek albo rozładunek frachtowca; ludzie schodzą i wchodzą po trapie.

Mężczyzna podchodzi do wysokiego człowieka w kombinezonie, który, jak się zdaje, nadzoruje robotę.

– Dzień dobry – mówi. – Szukam pracy. W Ośrodku dla Przesiedleńców powiedzieli, że powinienem przyjść tutaj. Czy pan jest osobą, z którą mógłbym o tym porozmawiać? Mam *vale*.

– Możemy pogadać – odpowiada tamten. – Ale czy nie jesteś ciut za stary na *estibadora*?

*Estibador*? Widocznie nie ma zbyt pewnej miny, bo człowiek w kombinezonie (brygadzysta?) wykonuje ruchy, jakby zarzucał na plecy ładunek i słaniał się pod jego ciężarem.

– A, *estibador*! – wykrzykuje mężczyzna. – Przepraszam, ale nie znam dobrze hiszpańskiego. Nie, wcale nie za stary.

Słyszysz własny głos i myśli: czy to prawda? Rzeczywiście nie jest za stary na ciężką pracę? Nie czuje się stary, tak jak i nie czuje się młody. Sam dla siebie nie ma żadnego konkretnego wieku. Jakby upływ czasu go nie dotyczył – jeśli coś takiego jest w ogóle możliwe.

– Wypróbujcie mnie – proponuje. – Jeśli uznacie, że się nie nadaję, to od razu odejdę, bez urazy.

– Dobra – mówi brygadzysta. Zwija *vale* w kulkę i wrzuca do wody. – Możesz zacząć od dziś. Ten mały jest z tobą? Jak chcesz, to możesz go tu ze mną zostawić. Będę miał na niego oko. A co do hiszpańskiego, nie martw się, wytrwaj. Pewnego dnia przestanie być językiem, a stanie się sposobem, w jaki rzeczy istnieją.

Mężczyzna zwraca się do chłopca:

– Zostaniesz tu z tym panem, a ja pomogę nosić worki?

Dziecko kiwa głową. Znow trzyma kciuk w ustach.

Na trapie mieści się tylko jedna osoba. Mężczyzna czeka, aż sztauer, dźwigający na grzbiecie pękaty worek, zejdzie na brzeg. Potem sam wspina się na pokład, a stamtąd po masywnej drewnianej drabinie schodzi do ładowni. Czeka chwilę, aż oczy przywykną do półmroku. W ładowni piętczą się setki, może tysiące, takich samych pękatych worków.

– Co jest w tych workach? – pyta stojącego obok robotnika.

Tamten obrzuca go dziwnym spojrzeniem.

– *Granos* – odpowiada.

Mężczyzna chce spytać, ile ważą worki, ale nie ma czasu. Teraz jego kolej.

Na szczycie sterty czuwa wielki chłop o muskularnych przedramionach i szerokim uśmiechu, którego praca najwyraźniej polega na zarzucaniu worków na ramiona podchodzących kolejno sztauerów. Mężczyzna podstawia grzbiet; brzemień opada. Chwieje

się, potem chwyta worek za rogi, jak podpatrzył u innych robotników, stawia pierwszy krok, drugi. Czy naprawdę zdoła wejść z tym ciężarem po drabinie, jak tamci? Starczy mu sił?

– Spokojnie, *viejo* – słyszy za sobą głos. – Nie śpiesz się.

Umieszcza lewą stopę na najniższym szczeblu drabiny.

To sprawa równowagi, mówi sobie, trzeba utrzymać pion, pilnując, żeby worek się nie ześlizgnął i żeby nie przemieszczała się jego zawartość. Kiedy rzeczy zaczynają się przemieszczać albo wyślizgiwać, to koniec. Człowiek przestaje być sztauerem i jest żebrakiem, dygoczącym z zimna w blaszanej budzie na cudzym podwórku.

Teraz prawa stopa. Zaczyna się uczyć, jak to jest z drabiną: jeśli oprzesz się o nią piersią, wtedy ciężar worka, zamiast grozić pozbawieniem cię równowagi, stabilizuje ciało. Jego lewa stopa znajduje następny szczebel. Z dołu słychać szmer aprobaty. Mężczyzna zaciska zęby. Osiemnaście stopni do przejścia (policzył je przedtem). Da radę.

Powoli, odpoczywając po każdym kolejnym stopniu i słuchając bicia własnego serca (co będzie, jak dostanie zawału? ale by narobił zamieszania!), pnie się po drabinie. Na samej górze zatacza się i osuwa na kolana, tak że worek ląduje na pokładzie.

Wstaje znów na nogi, pokazuje worek.

– Może mi ktoś pomóc? – pyta, starając się opanować zadyszkę i mówić lekkim tonem.

Życzliwe ręce zarzucają mu worek na plecy.

Trap nastęrcza swoich własnych trudności: huśta się łagodnie z boku na bok, w miarę poruszeń statku, nie dając nic z oparcia, jakie zapewniała drabina. Mężczyzna robi co w jego mocy, żeby schodząc, zachować wyprostowaną postawę, choć to oznacza, że nie widzi, gdzie stawia stopy. Nie odrywa oczu od chłopca, który stoi nieruchomo obok brygadzysty, obserwując rozładunek. „Obym tylko nie przyniósł mu wstydu!” – myśli.

Dociera bez potknięcia na keję.

– Skręć w lewo! – woła brygadzysta.

Z trudem wykonuje zwrot. Właśnie podjeżdża niski furgon ciągnięty przez dwa olbrzymie konie o włochatych pęcinach. Perszerony? Nigdy jeszcze nie widział prawdziwego perszerona. Od koni bije ostry zapach moczu.

Obraca się i opuszcza worek na dno furgonu. Jakiś młody człowiek w podniszczonym kapeluszu wskakuje lekko na platformę i przeciąga worek na przód wozu.

– Z drogi! – słyszy za sobą.

To kolejny z dokerów, kolejny z jego towarzyszy pracy, z kolejnym workiem.

Mężczyzna idzie po własnych śladach do ładowni, wraca z drugim workiem, potem z trzecim. Jest wolniejszy od swoich kolegów (czasem muszą na niego czekać), ale niewiele. Poprawi się, jak przywyknie do wysiłku, a jego ciało okrzepnie. W każdym razie – nie za stary.

Choć opóźnia robotę, nie spotyka się z niechęcią ze strony innych. Przeciwnie, raz czy drugi słyszy słowo otuchy i czuje przyjacielskie klepnięcie w plecy. Jeśli tak wygląda sztauerowanie, nie jest to zła praca. Przynajmniej coś się osiąga. Przynajmniej pomaga się przynosić ziarno, które później przemienia się w chleb, w życiodajny pokarm.

Rozlega się głos gwizdka.

– Przerwa – wyjaśnia sąsiad. – Jak ci się chce tego... no, wiesz.

Oddają obaj mocz za drewnianą szopą, myją ręce pod kranem.

– Można tu gdzieś dostać herbaty? – pyta mężczyzna. – I coś do jedzenia?

– Herbaty? – tamten wygląda na rozbawionego. – Nic mi o tym nie wiadomo. Jak ci się chce pić, to możesz wziąć mój kubek, ale jutro przynieś sobie własny. – Napełnia kubek pod kranem, podaje. – I z pół bochenka chleba. Ciężko wytrzymać cały dzień o pustym brzuchu.

Przerwa trwa tylko dziesięć minut, później znów trzeba wziąć się do rozładunku. Do czasu gdy brygadzysta oznajmia gwizdkiem koniec pracy, mężczyzna ma za sobą trzydzieści jeden worków przeniesionych z ładowni na nabrzeże. Przez cały dzień mógłby prawdopodobnie

przenieść około pięćdziesięciu. Pół setki worków dziennie; mniej więcej dwie tony. Nic nadzwyczajnego. Dźwig przeniósłby dwie tony za jednym zamachem. Dlaczego oni nie używają dźwigu?

– Zuch chłopak z tego twojego syna – mówi brygadzysta. – Żadnych kłopotów.

Nazywa chłopca *un jovencito*, zapewne, aby sprawić przyjemność mężczyźnie. Zuch chłopak, który też wyrośnie na sztauera.

– Gdyby tak zamontować tutaj dźwig – zauważa mężczyzna – można by dokonywać rozładunku dziesięć razy szybciej. Nawet mały dźwig.

– Pewnie tak – zgadza się brygadzysta. – Ale po jakie лихо? Jaki sens miałoby robienie rzeczy dziesięć razy szybciej? Przecież nie grozi nam żaden kryzys, brak żywności na przykład.

Po jakie лихо? Brzmi to jak prawdziwe pytanie, nie jak drwina.

– Żebyśmy mogli poświęcić siły na coś lepszego – podsuwa.

– Lepszego niż co? Lepszego niż zaopatrywanie naszych bliźnich w chleb?

Mężczyzna wzrusza ramionami. Powinien był trzymać głowę na kłódkę. Na pewno nie powie: „Lepszego niż taszczenie ciężkich ładunków, jak zwierzęta pociągowe”.

– Chłopiec i ja musimy się śpieszyć – mówi. – Mamy być z powrotem w Ośrodku przed szóstą, bo jak nie, to znów czeka nas noc pod gołym niebem. Mogę przyjść jutro rano?

– Oczywiście, oczywiście. Spisałeś się dobrze.

– A czy mogę dostać zaliczkę?

– To niestety niemożliwe. Kasjer robi objazd dopiero w piątek. Ale jak nie masz pieniędzy... – przetrząsa kieszenie i wyciąga garść monet – to weź, ile potrzebujesz.

– Nie jestem pewien, ile potrzebuję. Jestem tutaj nowy, nie mam pojęcia o cenach.

– Więc weź wszystko. Oddasz mi w piątek.

– Dziękuję, jesteś dla nas bardzo dobry.

To prawda. Nie dość, że pilnuje dziecka, gdy pracujesz, to jeszcze pożyczka ci pieniądze: kto by się spodziewał takich rzeczy po brygadziście?

– Drobiazg. Też byś tak zrobił. Do widzenia, młody zuchu – mówi brygadzysta do chłopca. – Widzimy się jutro skoro świt.

Docierają do biura akurat w chwili, gdy kobieta o zaciętej twarzy zamyka drzwi. Ani śladu Any.

– Są jakieś wieści o naszym pokoju? – pyta mężczyzna. – Znaleźliście klucz?

Kobieta marszczy brwi.

– Trzeba iść tą drogą, potem niech pan skręci w pierwszą w prawo i szuka długiego, niskiego budynku z literą „C”. Zapyta pan o señorę Weiss. Ona wskaże wam pokój. I niech ją pan poprosi o pozwolenie skorzystania z pralni, żeby mógł pan sobie uprać ubranie.

Mężczyzna chwytając aluzję i rumieni się. Po tygodniu bez kąpieli dziecko zaczyna śmierdzieć, on sam z pewnością cuchnie jeszcze gorzej.

Pokazuje kobiecie swoje pieniądze.

– Może mi pani powiedzieć, ile to jest?

– Nie umie pan liczyć?

– Chodzi mi o to, co mogę za to kupić. Wystarczy na jakiś posiłek?

– Ośrodek nie zapewnia żadnych posiłków oprócz śniadania. Ale niech pan porozmawia z señorą Weiss i wyjaśni sytuację. Być może ona potrafi panu pomóc.

C-41, biuro señory Weiss, jest zamknięte naглуcho, tak jak poprzednim razem. Ale w suterenie, w kącie pod schodami, oświetlonym przez pojedynczą gołą żarówkę, natrafiają na młodego człowieka rozwalonego na krześle i czytającego gazetę. Oprócz czekoladowego munduru z emblematem Ośrodka ma na sobie małą czapkę z paskiem pod brodą, jak cyrkowa małpka.

– Dobry wieczór – mówi mężczyzna. – Szukam nieuchwytniej señory Weiss. Wie pan może, gdzie ona jest? Przydzielono nam pokój w tym budynku, a señora Weiss ma do niego klucz albo przynajmniej klucz generalny.

Młody człowiek zrywa się na nogi, odchrząkuje i odpowiada. Jego odpowiedź jest uprzejma, ale koniec końców bezużyteczna. Skoro biuro señory Weiss jest zamknięte, to znaczy, że señora poszła już prawdopodobnie do domu. Co do klucza generalnego, jeśli taki w ogóle istnieje, znajduje się zapewne w tym samym zamkniętym na głucho biurze. Podobnie jak klucz do pralni.

– Czy może pan przynajmniej pokazać nam drogę do pokoju C-55? – pyta mężczyzna. – Ten właśnie pokój nam przydzielono.

Człowiek w czapeczce prowadzi ich bez słowa długim korytarzem, obok C-49, C-50, ..., C-54. Gdy docierają do C-55, naciska klamkę. Drzwi nie są zamknięte.

– I po kłopotcie – mówi z uśmiechem i znika.

Pokój jest mały, bez okien i nader skąpo umeblowany: jednoosobowe łóżko, komoda, umywalka. Na komodzie taca ze spodkiem, na którym leżą dwie i pół kostki cukru. Mężczyzna daje cukier chłopcu.

– Musimy tu zostać? – pyta chłopiec.

– Tak, musimy. Ale niedługo poszukamy czegoś lepszego.

Na drugim końcu korytarza mężczyzna odkrywa kabinę prysznicową. Nie ma mydła. Rozbiera dziecko i sam także ściąga ubranie. Stojąc razem z chłopcem pod cienką strużką letniej wody, robi co może, żeby umyć siebie i jego. Potem dziecko czeka, a on trzyma ich bieliznę pod tą samą strużką wody (teraz już chłodnej, a po chwili całkiem zimnej), wyżywa. Wyzywająco nagi, z dzieckiem u boku, człapie pustym korytarzem do ich pokoju i zamyka drzwi na zasuwkę. Wyciera chłopca ich jedynym ręcznikiem.

– A teraz spać – zarządza.

– Jestem głodny – skarży się chłopiec.

– Bądź cierpliwy. Jutro rano zjemy porządne śniadanie, przyrzekam. Myśl o tym.

Układa małego w łóżku, całuje go na dobranoc.

Ale chłopiec nie jest śpiący.

– Po co tutaj jesteśmy, Simón? – pyta cicho.

– Już ci mówiłem: zostaniemy tu tylko jedną czy dwie noce, zanim znajdziemy jakieś lepsze miejsce.

– Chodzi mi o to, dlaczego jesteśmy tutaj. – Mały ogarnia ruchem ręki pokój, Oórodek, Noville, wszystko.

– Ty jesteś tutaj, żeby znaleźć swoją matkę, a ja, żeby ci pomóc.

– A jak już ją znajdziemy, to po co tu będziemy?

– Nie wiem, co powiedzieć. Jesteśmy tu z tego samego powodu co wszyscy inni. Dostaliśmy szansę, żeby żyć, i przyjęliśmy ją. To wielka rzecz – życie. Największa ze wszystkich.

– Ale czy musimy żyć tutaj?

– Tutaj w przeciwieństwie do czego? Nie ma innego miejsca niż tutaj. A teraz zamknij oczy. Pora spać.

### 3

Budzi się w dobrym nastroju, pełen energii. Mają gdzie mieszkać, on ma pracę. Czas zabrać się do najważniejszej rzeczy: odnalezienia matki chłopca.

Zostawiając dziecko pogrążone we śnie, wykrada się z pokoju. Główne biuro jest już otwarte. Ana wita go zza kontuaru uśmiechem.

– Jak wam minęła noc? – pyta. – Zainstalowaliście się?

– Tak jest, dzięki. Ale teraz chciałem cię prosić o jeszcze jedną przysługę. Pamiętasz może, że pytałem o odszukiwanie członków rodzin. Muszę znaleźć matkę Davida. Kłopot w tym, że nie wiem, jak zacząć. Czy prowadzicie zapisy tych, którzy przybywają do Novilli? A jeśli nie, to czy istnieje jakiś centralny rejestr, w którym mógłbym sprawdzić?

– Zapisujemy każdego, kto przechodzi przez Ośrodek. Ale rejestry nic ci nie pomogą, jeśli nie wiesz, czego szukasz. Matka Davida na pewno ma nowe imię. Nowe życie, nowe imię. Czy ona cię oczekuje?

– Nigdy o mnie nie słyszała, więc nie ma powodu mnie oczekiwać. Ale jak dziecko ją zobaczy, od razu ją rozpozna, jestem tego pewien.

– Od jak dawna są rozdzieleni?

– To skomplikowana historia, nie chcę cię nią obarczać. Powiedzmy po prostu, że obiecałem Davidowi odnaleźć jego matkę. Dałem mu słowo. Czy mogę zaglądnąć do waszych rejestrów?

– Ale co ci to da, jak nie znasz imienia?

– Przechowujecie przecież kopie paszportów. Chłopiec rozpozna ją na zdjęciu. Albo ja. Jak ją zobaczę, będę wiedział, że to ona.

– Nigdy jej nie spotkałeś, a mimo to ją rozpoznasz?

– Właśnie. Razem czy osobno, on i ja rozpoznamy ją. Daję głowę.

– A sama ta anonimowa matka? Jesteś pewien, że ona chce na nowo połączyć się z synem? Może zabrzmiało to okrutnie, ale większość ludzi, kiedy tu dociera, nie jest już zainteresowana dawnymi związkami.

– W tym wypadku jest inaczej, naprawdę. Nie umiem wytłumaczyć dlaczego. To co: mogę przejrzeć rejestry?

Ana kręci odmownie głową.

– Nie, nie mogę się na to zgodzić. Gdybyś znał imię matki, wtedy co innego. Ale nie mogę ci pozwolić na buszowanie po naszych aktach. To nie tylko sprzeczne z przepisami, to wręcz niedorzeczne. Mamy tysiące wpisów, setki tysięcy, więcej, niż potrafiłbyś zliczyć. Poza tym skąd wiesz, że ona przeszła przez odprawę akurat w Novilli? Przecież w każdym mieście są ośrodki dla przesiedleńców.

– Zgoda, to nie ma sensu. Niemniej jednak proszę cię o pomoc. Chłopiec nie ma matki. Jest zagubiony. Na pewno sama zauważyłaś jak bardzo. Znajduje się w stanie zawieszenia.

– W stanie zawieszenia. Nie wiem, co to znaczy. Odpowiedź brzmi: nie. Nie zamierzam ustąpić, więc na mnie nie naciskaj. Przykro mi z powodu chłopca, ale to nie jest właściwy sposób załatwiania sprawy.

Zapada długa cisza.

– Mógłbym to zrobić w nocy – podejmuje mężczyzna. – Nikt się nie dowie. Ja nie puszczę pary z ust, będę dyskretny.

Ale ona już go nie słucha.

– Cześć! – mówi, patrząc ponad jego ramieniem. – Wstałeś?

Simón odwraca się. W drzwiach stoi David, rozczochrany, bosy, w samej bieliźnie, z kciukiem w buzi, wciąż jeszcze zaspany.

– Chodź! – mówi mężczyzna. – Przywitaj się z Aną. Ana pomoże nam w naszych poszukiwaniach.

Chłopiec powoli zbliża się do nich.

– Pomogę wam – mówi Ana – ale nie w taki sposób, jak chciałeś. Ludzie tutaj zmyli z siebie dawne związki. Powinieneś zrobić to samo: wyzwolić się od przeszłości, a nie ją tropić.

Sięga ręką w dół, mierzwi chłopcu włosy.

– Halo, śpiochu! – mówi. – Umyłeś się już? Powiedz tacie, że jesteś czysty jak łąza.

Mały patrzy to na nią, to na niego.

– Tak, jestem czysty jak łąza.

– No, widzisz! – woła Ana. – A nie mówiłam?

Są w autobusie, w drodze do doków. Po solidnym śniadaniu chłopiec jest zdecydowanie pogodniejszy niż poprzedniego dnia.

– Czy zobaczymy się znów z Álvarem? – pyta. – Álvaro mnie lubi. Pozwala mi dmuchać w swój gwizdek.

– To fajnie. Powiedział, że możesz go nazywać Álvaro?

– Uhm. On tak ma na imię. Álvaro Avocado.

– Álvaro Avocado? No, dobrze, w każdym razie pamiętaj: Álvaro to zapracowany człowiek. Ma mnóstwo rzeczy do robienia oprócz pilnowania dzieci. Musisz uważać, żeby mu nie przeszkadzać.

– Nie jest zapracowany – mówi chłopiec. – Stoi sobie i patrzy.

– Tak ci się może wydawać, ale w rzeczywistości on nas nadzoruje, dba o to, żeby statki były rozładowane na czas, żeby każdy robił to, co powinien. To bardzo ważna praca.

– Powiedział, że nauczy mnie grać w szachy.

– Wspaniale. Szachy ci się spodobają.

– Czy zawsze będę z Álvarem?

– Nie, niedługo znajdziesz sobie jakichś rówieśników do zabawy.

– Nie chcę się bawić z rówieśnikami. Chcę być z tobą i Álvarem.

– Ale nie cały czas. Nie możesz być bez przerwy z dorosłymi.

– Nie chcę, żebyś wpadł do morza. Nie chcę, żebyś się utopił.

– Nie martw się, będę uważał, żeby się nie utopić, przyrzekam. Powinieneś odgonić precz takie mroczne myśli. Niech odlecą jak ptaki. Zgoda?

Chłopiec nie odpowiada.

– Kiedy wracamy? – pyta po chwili.

– Z powrotem przez morze? Nie wracamy. Jesteśmy teraz tutaj. Tu właśnie żyjemy.

– Na zawsze?

– Na dobre. Niedługo zaczniemy szukać twojej matki. Ana nam pomoże. Jak już znajdziemy twoją matkę, nie będziesz myślał o powrocie.

– Czy moja matka jest tutaj?

– Jest gdzieś niedaleko, czeka na ciebie. Czeka od dawna. Wszystko się wyjaśni, gdy tylko na nią spojrzysz. Ty sobie przypomnisz ją, a ona ciebie. Może ci się wydawać, że zmyłeś z siebie wspomnienia. Nie, wciąż je masz, tylko są chwilowo uspijone. Wsiadamy. To już nasz przystanek.



Chłopiec zaprzyjaźnił się z jednym z koni pociągowych, któremu nadał imię El Rey. Choć w porównaniu ze zwierzęciem jest maleńki, wcale się go nie boi. Stając na palcach, podaje koniowi całe garści siana, które olbrzymi El Rey, schylając łeb, leniwie przyjmuje.

Álvaro wycina w jednym z rozładowanych worków otwór, przez który ziarno wysypuje się na zewnątrz.

– Proszę, możesz tym karmić El Reya i jego przyjaciela – mówi chłopcu. – Ale uważaj, żeby nie przesadzić, bo wtedy brzuszki zrobią im się wielkie jak balony i trzeba je będzie przekłuwać szpilką.

W rzeczywistości El Rey i drugi koń to klacze, jednak Álvaro, zauważa Simón, nie wyprowadza chłopca z błędu.

Towarzysze pracy są dla niego życzliwi, ale dziwnie obojętni. Nikt go nie pyta, skąd pochodzi ani gdzie się zatrzymał. Simón domyśla się, że uznają go za ojca Davida albo, jak Ana z Ósrodka, za dziadka. Nikt nie docieka, gdzie jest matka chłopca ani dlaczego dzieciak całymi dniami musi się poniewierać po dokach.

Na kei stoi drewniana szopa, której robotnicy używają jako przebieralni. Choć drzwi nie mają zamka, są najwyraźniej szczęśliwi, że mogą tu trzymać swoje rzeczy. Simón pyta jednego z mężczyzn, gdzie może kupić własny kombinezon i buty. Tamten zapisuje mu adres na kawałku papieru.

– Ile trzeba dać za parę butów? – pyta Simón.

– Dwa, może trzy reale.

– To bardzo niewiele. A przy okazji – mam na imię Simón.

– Eugenio – mówi tamten.

– Jeśli wolno spytać, Eugenio – czy jesteś żonaty? Masz dzieci?

Eugenio zaprzecza ruchem głowy.

– No, cóż, jesteś jeszcze młody.

– Ano jestem – mówi wymijająco Eugenio.

Simón czeka, aż tamten zapyta go o chłopca – który być może wygląda na jego syna albo wnuka, ale nim nie jest. Czeka na pytanie o imię chłopca, o jego wiek, o to, dlaczego nie jest w szkole. Czeka na próżno.

– Ten dzieciak, którym się opiekuję, David, jest jeszcze za mały, żeby chodzić do szkoły – mówi. – Znasz może jakieś szkoły w pobliżu? Jest tutaj – szuka właściwego słowa – *un jardín para los niños?*

– Chodzi ci o plac zabaw?

– Nie, o szkołę dla młodszych dzieci. Szkołę przed właściwą szkołą.

– Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc – Eugenio wstaje z miejsca. – Czas wracać do roboty.

Następnego dnia, akurat gdy gwizdek oznajmia przerwę na obiad, nadjeżdża na rowerze jakiś nieznajomy. W swoim kapeluszu, czarnym garniturze i krawacie zupełnie nie pasuje do tego miejsca. Zsiada, wita się poufale z Álvarem. Nogawki od spodni ma spięte klamerkami, które zapomina zdjąć.

– To kasjer – mówi z boku jakiś głos. Eugenio.

Przybysz poluzowuje paski na bagażniku roweru i zdejmując ceratę, odsłaniając pomalowaną na zielono metalową kasetę na pieniądze, którą stawia na odwróconej do góry dnem beczce. Álvaro przywołuje skinieniem ludzi. Jeden po drugim występują do przodu, podają swoje imiona i otrzymują zapłatę. Simón staje na końcu szeregu, czeka na swoją kolej.

– Imię: Simón – mówi do kasjera. – Jestem nowy, może mnie jeszcze nie ma na pańskiej liście.

– Owszem, jesteś – odpowiada kasjer i robi znak przy jego imieniu. Odlicza wypłatę w monetach, tak wielu, że kieszeń Simóna robi się ciężka.

– Dziękuję – mówi.

– Proszę. To twoja należność.

Álvaro odtacza beczkę na bok. Kasjer ponownie przymocowuje kasetę do roweru, wymienia z Álvarem uścisk dłoni, wkłada kapelusz i pedałując, oddala się wzdłuż nabrzeża.

– Jakie masz plany na popołudnie? – pyta Álvaro.

– Nie mam żadnych. Może pójde z chłopcem na spacer; albo jeśli jest tutaj zoo, to go tam zabiorę, żeby sobie pooglądał zwierzęta.

Jest sobotnie południe, koniec tygodnia pracy.

– Chciałbyś pójść na mecz piłkarski? – pyta Álvaro. – Czy twój młody zuch lubi futbol?

– Jest jeszcze za mały na futbol.

– Kiedyś musi zacząć. Mecz jest o trzeciej. Spotkajmy się przy bramie, powiedzmy – za piętnaście trzecia.

– Dobra, ale przy której bramie i gdzie?

– Przy bramie boiska. Jest tylko jedna.

– A gdzie jest boisko?

– Jeśli pójdziesz wzdłuż rzeki, to na pewno trafisz. Jakies dwadzieścia minut stąd. A jak ci się nie chce iść, możesz podjechać autobusem numer 7.

Boisko piłkarskie leży dalej, niż powiedział Álvaro; chłopiec jest zmęczony i powłóczy nogami; przychodzą późno. Álvaro czeka na nich przy wejściu.

– Prędko, prędko – mówi. – Za chwilę zaczyna się mecz.

Przechodzą przez bramę.

– Chyba musimy kupić bilety? – pyta Simón.

Álvaro patrzy na niego dziwnym wzrokiem.

– To jest futbol – mówi. – Gra. Nie płaci się za oglądanie gry.

Boisko jest skromniejsze, niż przypuszczał. Sam teren gry odgradzono sznurem; zadaszona trybuna mieści najwyżej tysiąc widzów. Bez trudu znajdują miejsca. Zawodnicy są już na boisku, podają sobie piłkę od nogi do nogi, rozgrzewają się.

– Kto gra? – pyta Simón.

– W niebieskich Dokerzy, w czerwonych Północne Wzgórza. To mecz ligowy. Mecze o mistrzostwo rozgrywa się w niedziele rano. Jak usłyszysz w niedzielę rano trąbienie, to będzie znaczyć, że właśnie trwa mecz o mistrzostwo.

– Za kim stoisz?

– Za Dokerami oczywiście. A za kim miałbym stać?

Widać, że Álvaro jest w świetnym nastroju, podekscytowany, wręcz kipiący energią. Simóna to cieszy; jest również wdzięczny brygadziście, że spośród innych jego właśnie wybrał na kompana. Uderza go dobroć tego człowieka. W istocie wszyscy poznani sztawerzy wydają mu się dobrymi ludźmi – pracowitymi, życzliwymi, pomocnymi.

Drużyna w czerwonych strojach już w pierwszej minucie popełnia prosty błąd w obronie i Dokerzy zdobywają bramkę. Álvaro wyrzuca w górę ręce i wydaje okrzyk tryumfu. Potem zwraca się do chłopca:

– Widziałeś to, młody, widziałeś?!

Młody nie widział. Nie zna się na piłce i nie rozumie, że zamiast patrzeć na morze otaczających go nieznajomych, powinien obserwować mężczyzn biegających tam i z powrotem po boisku.

Simón bierze chłopca na kolana.

– Zobacz – pokazuje palcem – oni starają się kopnąć piłkę tak, żeby wpadła do siatki. A ten w rękawicach to bramkarz. Musi zatrzymać piłkę. Każda strona ma swojego bramkarza. Kiedy piłka wpadnie do siatki, mówi się na to gol. Niebiescy strzelili właśnie gola.

Chłopiec kiwa głową, ale myślami zdaje się błądzić gdzie indziej.

Simón ścisza głos:

– Chcesz pójść do ustępu?

- Jestem głodny – odpowiada szeptem chłopiec.
  - Wiem. Ja też jestem głodny. Musimy po prostu do tego przywyknąć. Zobaczą, może w czasie przerwy uda mi się kupić jakieś chrupki albo orzeszki. Miałbyś ochotę na orzeszki?
- Chłopiec potakuje.
- A kiedy będzie przerwa? – pyta.
  - Niedługo. Najpierw piłkarze muszą trochę pograć i spróbować strzelić więcej goli. Przyglądaj się.

## 4

Wróciwszy tego wieczoru do pokoju, znajduje wsuniętą pod drzwi kartkę. Jest od Any: „Czy chcielibyście przyjść z Davidem na piknik dla nowych? Spotkajmy się jutro w południe w parku koło fontanny. A.”.

W południe czekają koło fontanny. Panuje upał – nawet ptaki są jakieś ospałe. Oddaleni od ulicznych hałasów, sadowią się pod rozłożystym drzewem. Po chwili zjawia się Ana, niosąc koszyk.

– Przepraszam – mówi. – Coś mi wypadło.

– Ile ma być wszystkich osób? – pyta Simón.

– Nie wiem, może z pół tuzina. Zaczekajmy, to zobaczymy.

Czekają. Nikt nie nadchodzi.

– Wygląda na to, że będziemy sami – mówi Ana. – Zaczynamy?

Okazuje się, że w koszyku jest tylko paczka krakersów, garnek niesolonej pasty z fasoli i butelka wody. Ale dziecko pochłania swoją część bez narzekania.

Ana ziewa, wyciąga się na trawie, zamyka oczy.

– Co miałaś na myśli, gdy parę dni temu użyłaś słów „zmyć z siebie”? – pyta Simón. – Powiedziałaś, że David i ja powinniśmy zmyć z siebie dawne uczuciowe przywiązania.

Dziewczyna leniwie kręci głową.

– Innym razem – mówi. – Nie teraz.

W jej głosie, w rzuconym spod powiek spojrzeniu wyczuwa zachętę. Pół tuzina gości, którzy nie przyszli – a jeśli to bujda? Gdyby nie obecność dziecka, położyłby się obok niej na trawie, a potem może pozwolił, by jego dłoń spoczęła lekko na jej ręce.

– Nie – mruczy Ana, jakby czytając w jego myślach. – Nie to.

„Nie to”. Jakże ma rozumieć tę młodą kobietę, raz ciepłą, raz zimną? Czy w męskodamskich albo pokoleniowych obyczajach tego nowego kraju jest coś, czego on nie potrafi pojąć?

Chłopiec szturcha go i pokazuje mu prawie pustą paczkę po krakersach. Simón smaruje krakersa pastą i podaje dziecku.

– Ma wilczy apetyt – odzywa się dziewczyna, nie otwierając oczu.

– Wciąż jest głodny.

– Nie martw się, przywyknie. Dzieci szybko się przystosowują.

– Do bycia głodnym? Dlaczego miałby się przyzwyczajać do bycia głodnym, skoro jedzenia nie brakuje?

– Miałam na myśli przywyknienie do umiarkowanej diety. Głodny brzuch jest jak pies: im więcej mu dajesz zjeść, tym więcej żąda. – Ana siada gwałtownie i zwraca się do dziecka. – Podobno szukasz mamy? – pyta. – Tęsknisz za nią?

Chłopiec kiwa głową.

– A jak się nazywa twoja mama?

David rzuca Simónowi pytające spojrzenie.

– On nie zna jej imienia – mówi mężczyzna. – Miał przy sobie list, kiedy wsiadał na łódź, ale ten list przepadł.

– Sznurek się urwał – mówi chłopiec.

– List był w woreczku – wyjaśnia Simón – który zawieszono dziecku na szyi. Sznurek pękł i list zaginął. Szukali go po całym statku. Tak się właśnie poznaliśmy z Davidem. Ale list się nigdy nie odnalazł.

– Wpadł do morza – mówi chłopiec. – Ryby go zjadły.

Ana marszczy czoło.

– Skoro nie pamiętasz imienia mamy, to może powiesz nam, jak wygląda? Potrafisz ją narysować?

Chłopiec kręci głową, że nie.

– Więc mama się zgubiła, a ty nie wiesz, gdzie jej szukać. – Ana namyśla się przez chwilę. – Co byś wobec tego powiedział, gdyby twój *padrino* zaczął szukać dla ciebie jakiejś innej mamy, która by cię kochała i opiekowała się tobą?

– Co to jest *padrino*? – pyta chłopiec.

– Wciąż mnie wpychasz w jakieś role – przerywa Simón. – Nie jestem ojcem Davida ani jego *padrino*. Po prostu pomagam mu odzyskać matkę.

Ana ignoruje jego uwagę.

– Gdybyś znalazł sobie żonę – mówi – ona mogłaby być matką dla Davida.

Mężczyzna wybucha śmiechem.

– Któraż kobieta chciałaby poślubić kogoś takiego jak ja, obcego przybysza, co nie ma nawet własnego ubrania? – Czeka, żeby Ana zaprzeczyła, ale dziewczyna milczy. – Poza tym nawet gdybym sobie znalazł żonę, kto powiedział, że ona chciałaby wychowywać – no, wiesz – przybrane dziecko? Albo że nasz młody przyjaciel by ją zaakceptował?

– Nigdy nie wiadomo. Dzieci szybko się przystosowują.

– Jak wciąż powtarzasz. – Wzbiera w nim gniew. Cóż ta zadufana w sobie smarkula wie o dzieciach? I co ją uprawnia do udzielania mu pouczeń? Potem nagle poszczególne elementy zaczynają się układać w całość. Nietwarzowe ubranie, zaskakująca surowość, gadanie o ojcach chrzestnych... – Ano, czy ty aby nie jesteś zakonnica? – pyta.

Dziewczyna uśmiecha się.

– Czemu tak myślisz?

– Jesteś jedną z tych zakonnicek, co opuściły klasztor, żeby żyć w świecie? Wykonywać prace, których nikt inny nie chce – w więzieniach, sierocińcach, przytułkach? W ośrodkach dla przesiedleńców?

– Pleciesz od rzeczy. Oczywiście, że nie. Nasz Ośrodek to nie więzienie. Ani instytucja charytatywna. To część systemu opieki społecznej.

– Nawet gdyby tak było, to jak można wytrzymać niekończący się napływ ludzi takich jak my – bezradnych, ciemnych i ubogich – nie mając w sobie jakiejś pokrzepiającej wiary?

– Wiary? Wiara nie ma tu nic do rzeczy. Wiara oznacza, że wierzysz w to, co robisz, nawet jeśli nie przynosi to widzialnych owoców. Nasz Ośrodek nie jest niczym takim. Przybywają tu ludzie potrzebujący pomocy i my tę pomoc dajemy. Pomagamy im i ich życie staje się lepsze. Nie ma tu nic niewidzialnego. Nie ma nic, co wymagałoby ślepej wiary. Robimy swoje i wszystko obraca się na dobre. To proste jak drut.

– Nie ma nic niewidzialnego?

– Nie ma. Dwa tygodnie temu byłeś w Belstarze. W zeszłym tygodniu znaleźliśmy ci pracę w dokach. Dzisiaj jesteś na pikniku w parku. Co w tym niewidzialnego? To jest postęp, widzialny postęp. Tak czy owak, wracając do twojego pytania: nie, nie jestem zakonnica.

– To skąd ten ascetyzm, który głosisz? Każesz nam ujarzmić łaknienie, głodzić mieszkającego w nas psa. Dlaczego? Co jest złego w łaknieniu? Czy apetyt nie podpowiada nam, czego naprawdę potrzebujemy? Gdybyśmy nie mieli żadnych pragnień, żadnych pożądań, jakże byśmy żyli?

Ma wrażenie, że zadał dobre pytanie, poważne pytanie, takie, jakie może sprawić kłopot najlepiej nawet wyszkolonej młodej zakonnicy.

Jej odpowiedź jest spokojna, tak spokojna i cicha – może ze względu na dziecko – że przez moment Simón jej nie rozumie:

– No, i dokąd cię prowadzą te twoje požądania?

– Moje požądania? A mogę być szczery?

– Możesz.

– Otóż, z całym szacunkiem dla ciebie i twojej gościnności, ale prowadzą mnie do czegoś więcej niż krakersy i pasta z fasoli. Na przykład do czegoś takiego jak befszytk z tłuczonymi ziemniakami i sosem. I jestem pewien, że ten młody człowiek – wyciąga rękę i chwytając chłopca za ramię – czuje tak samo. Prawda?

Chłopiec energicznie poświadcza.

– Befszytk ociekający mięsnym sosem – ciągnie mężczyzna. – A wiesz, co mnie najbardziej zdumiewa w tym kraju?

W jego głosie odzywa się jakaś nieogłędna nuta; rozsądniej byłoby przerwać, ale on mówi dalej.

– Ze jest taki bezkrwisty. Każdy, kogo spotykam, jest taki przyzwoity, taki uprzejmy i pełen dobrych chęci. Nikt nie przeklina ani się nie złości. Nikt się nie upija. Nikt nawet nie podnosi głosu. Żyjecie o chlebie, wodzie i paście z fasoli i twierdzicie, że nie jesteście głodni. Jak to możliwe, po ludzku biorąc? Kłamiecie? I to nawet przed sobą?

Dziewczyna, obejmując rękami kolana, patrzy nań bez słowa, czekając, aż tyrada dobiegnie końca.

– My jesteśmy głodni, ten chłopiec i ja. – Siłą przyciąga do siebie dziecko. – Cały czas jesteśmy głodni. Mówisz mi, że nasz głód jest czymś dziwnym, co przywlekliśmy z sobą; że nie należy do tego miejsca, że musimy go w sobie stłumić. A gdy już pokonamy głód, mówisz, to udowodnimy, że umiemy się przystosować, i odtąd będziemy żyli długo i szczęśliwie. Ale ja nie chcę głodzić tego żarłocznego psa; chcę go karmić! Zgadzasz się ze mną? – Potrząsa Davidem. Ten chowa mu głowę pod pachę, uśmiechając się i przytakując. – Nie zgadzasz się ze mną, mój chłopcze?

Zapada cisza.

– Bardzo się zdenerwowałeś – mówi Ana.

– Nie jestem zdenerwowany, jestem głodny! Powiedz mi: co jest złego w zaspokajaniu zdrowego apetytu? Dlaczego nasze codzienne impulsy, głody i pragnienia muszą być dławione?

– Jesteś pewien, że chcesz dalej mówić w tym stylu przy dziecku?

– Nie wstydzę się tego, co mówię. Nie ma w moich słowach nic, przed czym by trzeba chronić dziecko. Jeśli dziecko może spać pod gołym niebem i na gołej ziemi, to z całą pewnością może też posłuchać ostrej wymiany zdań między dorosłymi.

– Bardzo dobrze, wobec tego odpowiem równie ostro: to, czego chcesz ode mnie, jest czymś, czego ja nie robię.

Simón patrzy ze zdziwieniem.

– To, czego chcę od ciebie?

– Tak. Chcesz, żebym pozwoliła ci się objąć. Oboje wiemy, co to znaczy: objąć. I ja na to nie pozwalam.

– Nic nie mówiłem o obejmowaniu. A zresztą co w tym złego, skoro nie jesteś zakonnica?

– Odrzucanie pragnień nie ma nic wspólnego z byciem czy niebyciem zakonnica. Ja po prostu tego nie robię. Nie lubię tego. Nie mam ochoty. Nie mam ochoty na obejmowanie jako takie ani nie chcę widzieć, co ono robi z ludźmi. Co robi z mężczyzną.

– A co niby robi z mężczyzną?

Dziewczyna wskazuje oczami na dziecko.

– Na pewno chcesz, żebym mówiła dalej?

– Mów. Na naukę o życiu nigdy nie jest za wcześnie.



– Dobrze. No więc uważasz, że jestem atrakcyjna, widzę to. Może nawet myślisz, że jestem piękna. A ponieważ uważasz mnie za piękną, masz ochotę mnie objąć. Czy dobrze odczytuję znaki? Te, które mi wysyłasz? Gdybyś nie uważał, że jestem piękna, nie odczuwałbyś takiej ochoty.

Mężczyzna milczy.

– Im bardziej wydaję ci się piękna, tym bardziej zaostrza się twój apetyt. Tak właśnie funkcjonują wszystkie zachcianki, które uważasz za swoją gwiazdę przewodnią i za którymi ślepo podążasz. A teraz pomyśl i powiedz mi, proszę: co ma wspólnego piękno z obejmowaniem, do którego chcesz mnie nakłonić? Jaki jest związek między jednym a drugim? Słucham.

On siedzi jak oniemiały.

– Śmiało. Podobno nie masz nic przeciwko temu, żeby twój chrzestny syn słuchał, co mówisz. Podobno chcesz, żeby się dowiedział, jakie jest życie.

– Pomiedzy mężczyzną a kobietą – zaczyna w końcu Simón – rodzi się czasem naturalna skłonność, nieprzewidywalna, niezamierzona. Oboje uważają, że ta druga osoba jest atrakcyjna czy nawet, by użyć innego słowa, piękna: kobieta zwykle bardziej niż mężczyzna. Dlaczego jedno wypływa z drugiego, dlaczego pociąg fizyczny i pragnienie objęcia wynikają z piękna – to tajemnica, której nie potrafię wyjaśnić. Mogę tylko powiedzieć, że pociąg do kobiety to jedyny hołd, jaki moje fizyczne „ja” umie złożyć jej urodzie. Nazywam to hołdem, ponieważ czuję, że jest to dar, a nie zniewaga.

Przerywa.

– Mów dalej – zachęca Ana.

– To już wszystko, co chciałem powiedzieć.

– Aha, już wszystko. I w ramach tego hołdu – który jest darem, a nie zniewagą – chcesz mnie ucałować i wepchnąć mi do środka część własnego ciała. I to ma być hołd, jak twierdzisz. Jestem zdumiona. Dla mnie cała ta rzecz zakrawa na absurd – że ty chcesz coś takiego wykonać i że ja miałabym się na to zgodzić.

– To się wydaje absurdalne tylko wtedy, gdy stawiasz sprawę w ten sposób. Samo w sobie nie jest absurdalne. Nie może być absurdalne, bo jest naturalnym pragnieniem naturalnego ciała. To natura przez nas przemawia. W taki sposób rzeczy istnieją. A sposób, w jaki rzeczy istnieją, nie może być absurdalny.

– Doprawdy? A gdybym powiedziała, że dla mnie to brzmi nie tylko absurdalnie, ale i obrzydliwie?

Simón kręci głową z niedowierzaniem.

– Niemożliwe, żebyś tak myślała. Ja sam rzeczywiście mogę się wydawać stary i nieatrakcyjny; ja i moje żądze. Ale z pewnością nie uważasz, że sama natura jest obrzydliwa.

– Owszem, uważam. Natura uczestniczy w tym, co piękne, ale ma również udział w brzydocie. Czy te części ciała, których przez skromność nie wymieniasz w obecności swojego chrzestnego syna, są, twoim zdaniem, piękne?

– Same w sobie? Nie, same w sobie nie są piękne. Piękna jest całość, a nie części.

– I właśnie te części, które nie są piękne, chcesz mi wepchnąć do środka! Co mam o tym myśleć?

– Nie wiem. A co myślisz?

– Ze całe twoje gadanie o składaniu hołdu to *una tontería*. Gdybyś uważał mnie za ucieleśnienie dobra, nie chciałbyś robić ze mną takich rzeczy. Dlaczego więc chcesz je robić, skoro jestem ucieleśnieniem piękna? Czy piękno jest czymś pośledniejszym od dobra? Wyjaśnij.

– Co to jest *una tontería*?

– Bzdura. Nonsens.

Mężczyzna zrywa się na nogi.

– Nie zamierzam się dalej tłumaczyć, Ano. Ta dyskusja do niczego nie prowadzi. Myślę, że nie wiesz, o czym mówisz.

– Tak? Uważasz, że jestem głupim dzieckiem?

– Może i nie dzieckiem, ale owszem, myślę, że nie znasz życia. Chodź – mówi do chłopca, biorąc go za rękę. – Mieliśmy już piknik, a teraz czas podziękować tej pani i udać się na poszukiwanie czegoś do jedzenia.

Ana znów się wyciąga na trawie, rozprostowuje nogi i zaplata ręce na brzuchu, uśmiechając się kpiąco.

– Dopiękło do żywego, co? – mówi.

Simón kroczy przez park w palącym słońcu, a chłopiec drepcze obok, próbując dotrzymać mu kroku.

– Co to jest *padrino*? – pyta.

– *Padrino* to ktoś, kto pełni funkcję twojego ojca, kiedy z jakiegoś powodu ojca nie ma na miejscu.

– Czy ty jesteś moim *padrino*?

– Nie, nie jestem. Nikt mnie nie prosił, żebym nim był. Jestem po prostu twoim przyjacielem.

– Ja cię mogę poprosić, żebyś był moim *padrino*.

– To nie od ciebie zależy, mój chłopcze. Nie można samemu sobie wybrać *padrino*, tak jak nie wybiera się ojca. Nie ma dobrego słowa na to, czym jestem dla ciebie, tak jak nie ma dobrego słowa na to, czym ty jesteś dla mnie. Ale jeśli chcesz, to możesz mnie nazywać wujkiem. Kiedy ludzie będą pytać: „Kim on jest dla ciebie?”, możesz odpowiadać: „To mój wujek. To jest mój wujek i on mnie kocha”. A ja będę mówić: „To mój mały”.

– A czy ta pani będzie moją matką?

– Ana? Nie, jej nie interesuje bycie matką.

– Ożenisz się z nią?

– Oczywiście, że nie. Nie jestem tu po to, żeby szukać żony; jestem tu, żeby pomóc ci znaleźć matkę, prawdziwą matkę.

Stara się mówić spokojnie i lekkim tonem; tak naprawdę jednak atak dziewczyny wstrząsnął nim do głębi.

– Złościłeś się na nią – mówi chłopiec. – Dlaczego?

Mężczyzna przystaje na ścieżce, bierze chłopca na ręce i całuje w czoło.

– Przykro mi, że się złościłem. Nie na ciebie.

– Ale złościłeś się na tę panią, a ona na ciebie.

– Byłem na nią zły, bo ona brzydko nas traktuje i nie rozumiem dlaczego. Posprzeczaliliśmy się, ona i ja, i to ostro. Ale już jest po wszystkim. To nie było nic ważnego.

– Powiedziała, że chcesz jej wcisnąć coś do środka.

Mężczyzna milczy.

– O co jej chodziło? Naprawdę chcesz jej coś wcisnąć?

– Tak się tylko mówi. Miała na myśli, że próbuję ją zmusić do przyjęcia moich zapatrywań. Nie powinno się nikomu narzucać swoich zapatrywań.

– Czy ja tobie narzucam zapatrywania?

– Nie, skądże. A teraz spróbujmy znaleźć coś do jedzenia.

Przeszukują ulice na wschód od parku, wypatrując miejsca, gdzie można by coś zjeść. Jest to okolica skromnych domów jednorodzinnych, między którymi trafia się od czasu do czasu niski blok mieszkalny. Udaje im się znaleźć tylko jeden jedyny sklep. Na szyldzie wielkimi literami wypisano *Naranjas*. Stalowe żaluzje są zasunięte, więc mężczyzna nie może zobaczyć, czy naprawdę sprzedaje się tu pomarańcze, czy też *Naranjas* to tylko nazwa.

Zagaduje przechodnia, starszego człowieka prowadzącego na smyczy psa.

– Przepraszam – mówi – mój mały i ja szukamy kafeterii albo restauracji, gdzie można by coś przekąsić; w ostateczności może być sklep spożywczy.

– W niedzielę po południu? – pyta przechodzień. Jego pies obwąchuje chłopcu buty, a później krocze. – Nie wiem, co podpowiedzieć, chyba że jest pan gotów jechać do centrum miasta.

– Jest jakiś autobus?

– Numer 42, ale w niedzielę nie kursuje.

– Czyli tak naprawdę nie możemy jechać do centrum. A w pobliżu nie ma miejsca, w którym można by coś zjeść. I wszystkie sklepy są zamknięte. Co więc pan radzi?

Twarz przechodnia tężeje. Ciągnie psa za smycz.

– Chodź, Bruno – mówi.

W kwaśnym humorze Simón kieruje się w stronę Ośrodka. Posuwają się wolno, bo chłopiec co chwilę przystaje, a potem przeskakuje z jednej płyty chodnikowej na drugą, tak by nie nadeptać na szczelinę.

– Chodź, chodź, pośpiesz się – mówi z rozdrażnieniem mężczyzna. – Odłóż tę zabawę na inny dzień.

– Nie. Nie chcę wpaść do szczeliny.

– To bzdura. Jakim cudem taki duży chłopak jak ty miałby wpaść w taką małą szczelinę?

– Nie w tę szczelinę. W inną.

– Którą? Pokaż palcem.

– Nie wiem! Nie wiem, w którą szczelinę. Nikt nie wie.

– Nikt nie wie, bo nikt nie może wpaść w szczelinę w chodniku.

– Ja mogę! Ty możesz! Nie znasz się!

## 5

Następnego dnia, podczas południowej przerwy, Simón bierze Álvaro na stronę.

– Wybacz mi, że poruszam prywatne sprawy – mówi – ale coraz bardziej niepokoję się o zdrowie dziecka, a zwłaszcza o jego pożywienie, które, jak widzisz, składa się z chleba, chleba i jeszcze raz chleba.

I rzeczywiście – obaj widzą, jak chłopiec, siedząc wśród sztauerów w cieniu szopy na ubrania, żuje smętnie swoją rozmoczoną w wodzie ćwiartkę chleba.

– Wydaje mi się – ciągnie Simón – że rosnące dziecko potrzebuje bardziej urozmaiconego pożywienia. Nie można żyć samym chlebem. To nie jest uniwersalny pokarm. Nie wiesz, gdzie można kupić trochę mięsa, bez podejmowania wyprawy do centrum miasta?

Álvaro drapie się w głowę.

– Nie tutaj, nie w okolicy doków. Słyszałem o ludziach, którzy łapią szczury. Szczurów nie brakuje. Ale do tego potrzebna jest łapka, a nie wiem, gdzie by można tak od ręki kupić porządną łapkę na szczury. Prawdopodobnie musiałbyś ją sobie zrobić sam. Mógłbyś użyć drutu, z jakimś rodzajem zapadki.

– Szczury?

– Tak. Nie widziałeś ich? Tam, gdzie są statki, zawsze są szczury.

– Ale kto by jadł szczury? Czy ty jesz szczury?

– Nie, nigdy w życiu bym tego nie zrobił. Ale pytałeś, gdzie kupić mięso, a to jest wszystko, co mogę doradzić.

Simón długo patrzy w oczy Álvaro. Nic nie wskazuje, by tamten żartował. Albo jeśli żartuje, jest to bardzo głęboki żart.

Po pracy mężczyzna i chłopiec kierują się prosto do tajemniczego *Naranjas*. Docierają na miejsce w chwili, gdy właściciel zabiera się do zasuwania żaluzji. Okazuje się, że *Naranjas* to rzeczywiście sklep i rzeczywiście sprzedaje się w nim pomarańcze – a także inne owoce i warzywa. Podczas gdy właściciel czeka niecierpliwie, Simón wybiera tyle, ile zdołają unieść: małą torbę pomarańczy, pół tuzina jabłek, kilka marchewek i ogórków.

Po powrocie do ich pokoju w Ośrodku kroi chłopcu jabłko w plastry i obiera ze skórki pomarańczę. Jedząc, kroi marchewkę i ogórek na cienkie krążki i układa je na talerzu.

– Proszę bardzo! – mówi.

Chłopiec podejrzliwie trąca ogórek, wacha go.

– Nie lubię tego – oświadcza. – To śmierdzi.

– Bzdura. Ogórek w ogóle nie ma zapachu. Ta zielona obwódka to po prostu skórka. Spróbuj. Dobrze ci zrobi. Dzięki takiemu jedzeniu będziesz rósł – przekonuje mężczyzna.

Sam zjada pół ogórka, całą marchew i pomarańczę.

Następnego dnia ponownie odwiedza *Naranjas* i kupuje więcej owoców – banany, gruszki, morele – które przynosi do pokoju. Mają teraz spory zapas.

Spóźnia się do pracy, ale Álvaro nie robi żadnej uwagi na ten temat.

Mimo uzupełnienia ich diety o upragnione dodatki, mężczyzny nie opuszcza uczucie fizycznego wyczerpania. Wydaje się, że codzienna harówka polegająca na dźwiganiu i układaniu worków zamiast krzepić, wysysa z niego siły.

Zaczyna czuć się jak widmo; boi się, że któregoś dnia zasłabnie na oczach towarzyszy pracy i narobi sobie wstydu.

Znów nagabuje Álvara.

– Marnie się czuję – mówi. – Od jakiegoś czasu ani przez chwilę nie czuję się dobrze. Mógłbyś mi polecić jakiegoś lekarza?

– Na nabrzeżu numer 7 jest przychodnia, otwarta popołudniami. Idź tam od razu. Powiedz im, że tu pracujesz. Wtedy nie będziesz musiał płacić.

Idzie za znakami na nabrzeże numer 7, gdzie istotnie znajduje się niewielka przychodnia, opatrzona napisem *Clínica*. Drzwi są otwarte, za ladą w recepcji nie ma nikogo. Simón naciska brzęczyk, ale ten nie działa.

– Halo! – woła. – Jest tu kto?

Cisza.

Przechodzi za ladę i stuka do drzwi z napisem *Cirugia*.

– Dzień dobry! – woła.

Drzwi otwierają się i staje twarzą w twarz z tęgim jegomościem o rumianej twarzy, ubranym w biały laboratoryjny fartuch, którego kołnierz ubrudzony jest czymś, co wygląda jak czekolada. Jegomość poci się obficie.

– Dzień dobry – mówi Simón. – Pan jest lekarzem?

– Proszę wejść – mówi tamten. – Niech pan siada – wskazuje krzesło, zdejmuje okulary i starannie przeciera szkła chusteczką. – Pracuje pan tutaj w dokach?

– Na nabrzeżu numer 2.

– Aa, numer 2. Co mogę dla pana zrobić?

– Od jakiegoś tygodnia czy dwóch niedobrze się czuję. Nie mam żadnych konkretnych objawów, ale łatwo się męczę i od czasu do czasu dostaję zawrotów głowy. Myślę, że to z powodu niedożywienia.

– Kiedy miewa pan te zawroty głowy? O określonej porze dnia?

– Nie. Pojawiają się, gdy jestem zmęczony. Jak mówiłem, pracuję jako sztauer, przy załadunku i rozładunku. Nie jestem przyzwyczajony do takiej roboty. W ciągu dnia wielokrotnie muszę wchodzić i schodzić po trapie. Czasem, kiedy popatrzę w dół – na pas wody pomiędzy keją a burtą statku, na fale uderzające o nabrzeże – czuję się oszołomiony. Mam wrażenie, że za chwilę poślizgnę się, przewrócę, uderzę o coś głową i utonę.

– To mi nie wygląda na niedożywienie.

– Może i nie. Ale gdybym się lepiej odżywił, miałbym siłę, żeby zwalczyć te zawroty.

– Miewał pan wcześniej takie lęki przed upadkiem i utonięciem?

– To nie jest sprawa psychiki, doktorze. Jestem robotnikiem. Ciężko pracuję. Godzina po godzinie przenoszę ciężkie ładunki. Serce mi wali jak młotem. Jestem u kresu sił. To najzupełniej naturalne, że któregoś dnia ciało odmówi posłuszeństwa, pociągnie mnie w dół.

– Oczywiście, że to naturalne. Ale skoro tak, to dlaczego przyszedł pan do lekarza? Czego pan ode mnie oczekuje?

– Czy nie powinien pan posłuchać mojego serca? Sprawdzić, czy nie mam anemii? Czy nie powinniśmy omówić niedoborów w mojej diecie?

– Mogę panu zbadać serce, ale nie mogę przeprowadzić testów na anemię. To nie jest laboratorium medyczne, tylko zwykła przychodnia, punkt pierwszej pomocy dla robotników portowych. Niech pan zdejmie koszulę.

Mężczyzna zdejmuje koszulę. Lekarz przyciska stetoskop do jego piersi, patrzy w sufit, słucha. Czuć od niego czosnek.

– Z sercem nic się złego nie dzieje – mówi w końcu. – To dobre serce. Starczy panu na wiele lat. Może pan wracać do pracy.

Simón wstaje z krzesła.

– Jak pan tak może mówić? Jestem wyczerpany. Nie jestem sobą. Stan mojego zdrowia pogarsza się z każdym dniem. Nie tego się spodziewałem, kiedy przybyłem do tego kraju. Choroba, wyczerpanie, zgryzota – nie tak miało być. Mam przeczucie – nie wyrozumowane, ale prawdziwe fizyczne przeczucie – że jestem bliski załamania. Moje ciało na wszelkie możliwe sposoby daje mi znaki, że już długo nie pociągnie. Jak może pan mówić, że nic mi nie jest?

Zapada cisza. Lekarz starannie układa stetoskop w czarnym futerale i chowa do szuflady. Opiera łokcie o biurko, spleta palce, opiera brodę na dłoniach i mówi:

– Miły panie. Jestem pewien, że nie zjawił się pan w tej małej przychodni, oczekując na cud. Jeśli spodziewał się pan cudu, trzeba się było udać do prawdziwego szpitala, z prawdziwym laboratorium medycznym. Jedyne, co mogę panu zaoferować, to dobra rada. Brzmi ona prosto: niech pan nie patrzy w dół. Kręci się panu w głowie, bo patrzy pan w dół. Zawroty głowy to sprawa psychiki, a nie medycyny. Patrzenie w dół wywołuje atak.

– To wszystko, co mi pan radzi: nie patrzeć w dół?

– Wszystko, chyba że ma pan jakieś obiektywne objawy, o których może mi pan opowiedzieć.

– Nie, nie ma takich objawów. W ogóle żadnych objawów.

– No i jak poszło? – pyta go po powrocie Álvaro. – Znalazłeś przychodnię?

– Znalazłem przychodnię i pogadałem z lekarzem. Mówi, że powinienem patrzeć w górę. Dopóki tak będę patrzył, wszystko będzie ze mną dobrze. Jeśli natomiast spojrzę w dół, mogę upaść.

– Wydaje się, że to dobra, zdroworoządkowa rada – stwierdza Álvaro. – Nic specjalnego. A może byś tak wziął wolny dzień i trochę odpoczął?

Pomimo świeżych owoców z *Naranjas*, pomimo zapewnień doktora, że serce ma zdrowe i powinien jeszcze żyć wiele lat, Simón wciąż czuje się wyczerpany. Nie opuszczają go też zawroty głowy. Choć przestrzega rady lekarza, by nie patrzeć w dół podczas schodzenia po trapie, nie może zamknąć uszu na złowieszczy dźwięk, jaki wydają fale, kiedy uderzają o brudne od smarów nabrzeże.

– To tylko zawroty głowy – poklepuje go po plecach Álvaro. – Mnóstwo ludzi na to cierpi. Na szczęście jest to tylko wytwór umysłu. Nic rzeczywistego. Nie zwracaj na to uwagi, a wtedy raz-dwa samo przejdzie.

Simón nie jest przekonany. Nie wierzy, że gnębiąca go przypadłość ustąpi.

– Tak czy owak – ciągnie Álvaro – gdybyś przypadkiem poślizgnął się i wpadł do wody, nie utoniesz. Ktoś cię uratuje. Ja cię uratuję. Od czego w końcu są koledzy?

– Wskoczyłbyś do wody i mnie uratował?

– W razie konieczności. Albo rzuciłbym ci linę.

– O, tak, rzucenie liny byłoby bardziej skuteczne.

Álvaro przemilcza ironię albo jej nie zauważa.

– Bardziej praktyczne – mówi.

– Czy pszenica to wszystko, co rozładujemy? – pyta go innym razem Simón.

– Pszenica i żyto – odpowiada Álvaro.

– Ale czy zboże to wszystko, co sprowadzamy przez doki?

– To zależy, co rozumiesz przez „my”. Nabrzeże numer 2 jest używane do rozładunku zboża. Gdybyś pracował na nabrzeżu numer 7, rozładowywałbyś mieszane towary. A na dziewiątce miałbyś do czynienia ze stalą i cementem. Nie obszedłeś jeszcze doków? Nie zwiedziłeś okolicy?

– Zwiedziłem. Ale te inne nabrzeża były zawsze puste. Tak jak w tej chwili.



– No i ma to sens, prawda? Nie potrzebujesz co dzień nowego roweru. Nie potrzebujesz co dzień nowych butów ani nowego ubrania. Ale musisz co dzień jeść. Potrzebujemy więc mnóstwo zboża.

– Zatem gdybym się przeniósł na siódmkę albo dziewiątkę, miałbym łatwiej. Mógłbym brać całe tygodnie wolnego.

– Zgadza się. Gdybyś robił na siódemce albo na dziewiątce, miałbyś łatwiej. Ale to nie byłaby pełnoetatowa praca. W sumie więc lepiej dla ciebie, że jesteś na dwójce.

– Rozumiem. Koniec końców, nie ma lepszej rzeczy niż to, że jestem tutaj, na tym nabrzeżu, w tym porcie, w tym mieście, w tym kraju. Wszystko dzieje się najlepiej na tym najlepszym z możliwych światów.

Álvaro marszczy brwi.

– To nie jest świat możliwy – mówi. – To świat jedyny. C tym, czy jest najlepszy, nie decydujesz ani ty, ani ja.

Simón ma na to kilka odpowiedzi, ale powstrzymuje się od ich głośnego wyrażenia. Być może na tym świecie, który jest jedyny, roztropniej będzie zapomnieć o ironii.

## 6

Zgodnie z przyrzeczeniem Álvaro uczy chłopca gry w szachy. Kiedy pracy jest niewiele, można ich zobaczyć w jakimś osłoniętym od słońca miejscu, pochylonych nad kieszonkową szachownicą, pochłoniętych grą.

– Właśnie mi dołożył – relacjonuje Álvaro. – Dopiero dwa tygodnie, a już jest lepszy ode mnie.

Eugenio, najbardziej wykształcony ze sztauerów, rzuca chłopcu wyzwanie.

– Błyskawiczna gra – mówi. – Każdy z nas ma pięć sekund na zrobienie ruchu. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć.

Otoczeni wianuszkami widzów, rozgrywają swoją błyskawiczną partię. W ciągu paru minut chłopiec zapędza Eugenia w kozi róg. Eugenio szturcha swojego króla i figura przewraca się na bok.

– Na drugi raz dobrze się namyślę, zanim stanę z tobą do walki – mówi. – Chyba masz diabła w sobie.

Gdy wracają tego wieczoru autobusem, Simón usiłuje porozmawiać o grze i o dziwnych słowach Eugenia; ale chłopiec zbywa jego próby milczeniem.

– Chciałbyś, żebym ci kupił komplet szachów? – pyta mężczyzna. – Wtedy mógłbyś ćwiczyć w domu.

Chłopiec kręci głową.

– Nie chcę ćwiczyć. Nie lubię szachów.

– Ale przecież tak dobrze ci idzie.

Dziecko wzrusza ramionami.

– Jak ktoś jest obdarzony talentem, nie powinien go ukrywać – upiera się Simón.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Bo świat jest lepszym miejscem, tak myślę, gdy każdy z nas może w czymś się wyróżniać.

Chłopiec wygląda markotnie przez okno.

– Dręczysz się tym, co powiedział Eugenio? Niepotrzebnie. On nie miał nic złego na myśli.

– Nie martwię się. Po prostu nie lubię szachów.

– No, cóż, Álvaro będzie rozczarowany.

Następnego dnia w dokach pojawia się jakiś nieznajomy.

Jest niski i żylasty. Ma opaloną na ciemnoorzechowy kolor skórę, głęboko osadzone oczy i haczykowany, podobny do jastrzębiego dzioba nos. Nosi wyblakłe, ubrudzone smarem dzinsy i skórzane popękane buty.

Z kieszeni na piersiach wyjmując kawałek papieru, wręcza go Álvaro i stoi bez słowa, patrząc gdzieś w dal.

– Dobra – mówi Álvaro. – Będziemy rozładowywać przez resztę dnia i przez większą część jutra. Jak będziesz gotowy, dołącz do szeregu.

Z tej samej kieszeni na piersiach nieznajomy wyciąga paczkę papierosów. Nie częstując nikogo, zapala sam i zaciąga się głęboko.

– Tylko pamiętaj – mówi Álvaro – żadnego palenia w ładowni.

Nieznajomy niczym nie zdradza, że usłyszał. Spokojnie rozgląda się dookoła. Dym z jego papierosa unosi się w nieruchomym powietrzu.

Na imię ma Daga, zdradza sztauerom Álvaro. Nikt nie nazywa go inaczej; nie mówią o nim „nowy” ani „ten nowy facet”.

Pomimo niewielkiej postury Daga jest silny. Nie chwieje się ani odrobinę, gdy pierwszy worek opada na jego ramiona; wspina się po drabinie szybko i pewnie; dużymi krokami schodzi po trapie i bez żadnych oznak wysiłku wrzuca worek na czekający wóz. Później jednak wycofuje się w cień pod szopą, przykuca i zapala następnego papierosa.

Álvaro podchodzi do niego.

– Żadnych przerw, Daga – mówi. – Wracaj do roboty.

– Jaka jest norma? – pyta tamten.

– Nie ma normy. Płacą nam za dniówkę.

– Pięćdziesiąt worków dziennie – mówi Daga.

– Przerzucamy więcej.

– He?

– Więcej niż pięćdziesiąt. Nie ma normy. Każdy przenosi tyle, ile da radę.

– Pięćdziesiąt. Nie więcej.

– Wstań. Jak musisz palić, to zaczekaj do przerwy.

Do wybuchu dochodzi w piątkowe południe, podczas wypłacania zarobków. Kiedy Daga podchodzi do służącej za stół deski, Álvaro pochyla się i szepcze coś do ucha kasjerowi. Ten kiwa głową. Kładzie na desce pieniądze Dagi.

– Co to jest? – pyta Daga.

– Twoja zapłata za przepracowane dni.

Daga zbiera monety i szybkim, pogardliwym ruchem ciska je w twarz kasjerowi.

– O co chodzi? – pyta Álvaro.

– Szczurza zapłata.

– Taka jest stawka. Tyle zarobiłeś. Wszyscy tyle zarabiamy. Chcesz powiedzieć, że wszyscy jesteśmy szczurami?

Dookoła nich gromadzą się ludzie. Kasjer zbiera cichcem swoje papiery i zamyka wieczko kasety z pieniędzmi.

Simón czuje, jak chłopiec chwytą go za nogę.

– Co oni robią? – pyta jękliwie. Twarz ma bladą i pełną niepokoju. – Będą się bić?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Powiedz Álvarowi, żeby nie walczył. Powiedz mu! – chłopiec szarpie go za rękę, szarpie i szarpie.

– Chodźmy stąd – mówi Simón. Ciągnie chłopca w stronę falochronu. – Popatrz! Widzisz foki? Ta z nosem do góry to samiec, a te mniejsze to jego żony.

Od strony tłumu dobiega ostry krzyk. Jest jakieś nagłe poruszenie.

– Biją się! – zawodzi chłopiec. – Nie chcę, żeby się bili!

Mężczyźni otaczają półkolem Dagę, który stoi nisko pochylony, z nikłym uśmiechem na marzy i wysuniętą do przodu ręką. W jego dłoni połyskuje ostrze noża.

– Chodźcie! – mówi, robiąc nożem przyzywający gest. – Kto następny?

Álvaro siedzi zgarbiony na ziemi. Przyciska dłoń do piersi. Na jego koszuli widać plamę krwi.

– Kto następny? – powtarza Daga.

Nikt się nie rusza. Daga wyprostowuje się, składa nóż i wsuwa go do tylnej kieszeni, a potem podnosi kasetę z pieniędzmi i przewraca ją dnem do góry na deskę. Monety rozsypują się wszędzie.

– Cioty! – mówi szyderczo Daga. Odlicza sobie tyle, ile chce, kopie beczkę, na której leży deska.

– Reszta dla was – rzuca i odwraca się do wszystkich plecami. Bez pośpiechu wsiada na rower kasjera i odjeżdża.

Álvaro wstaje na nogi. Krew na jego koszuli pochodzi z rozcięcia na dłoni.

Simón czuje, że powinien objąć kierownictwo – jest tu przecież najstarszy.

– Potrzebujesz lekarza – mówi do Álvara. – Chodźmy.

Kiwa na chłopca.

– Chodź, zaprowadzimy Álvara do doktora.

David nie rusza się z miejsca.

– Co z tobą?

Usta chłopca poruszają się, ale nie słyhać żadnego słowa. Mężczyzna pochyła się nad dzieckiem.

– Co ci jest? – pyta.

– Czy Álvaro umrze? – szepcze chłopiec. Całe jego ciało jest sztywne i drży.

– Na pewno nie. Ma ranę na rękę, to wszystko. Trzeba mu zabandażować dłoń, żeby nie krwawiła. Chodź. Weźmiemy go do doktora, a on raz-dwa doprowadzi go do porządku.

W istocie Álvaro jest już w drodze do przychodni, pod opieką innego ze sztauerów.

– Walczył – mówi chłopiec. – Walczył, a teraz doktor utnie mu rękę.

– Nie mów głupstw. Doktorzy nie ucinają rąk. Doktor przemyje ranę i owinie bandażem albo zszyje igłą i nicią. Jutro Álvaro wróci do pracy i zapomnimy o wszystkim.

Chłopiec patrzy na niego przenikliwie.

– Nie zmyślam – mówi mężczyzna. – Nie okłamywałbym cię. Rana Álvara nie jest poważna. Ten człowiek, pan Daga czy jak się tam nazywa, nie chciał go zranić. To był wypadek. Nóż wyslizgnął mu się z ręki. Ostre noże są niebezpieczne. To jest lekcja do zapamiętania: nie bawić się nożami. Kto się bawi nożem, ten się może zranić. Álvaro się zranił, na szczęście niegroźnie. A pan Daga nas opuścił, wziął swoje pieniądze i odjechał. Już nie wróci. Nie należy do nas i wie o tym.

– Tobie nie wolno walczyć – mówi chłopiec.

– Nie będę, przyrzekam.

– Nigdy nie wolno ci walczyć.

– Nie mam zwyczaju walczyć. A Álvaro nie walczył. Po prostu starał się bronić. Starał się bronić i został zraniony. – Simón wyciąga rękę, żeby pokazać, w jaki sposób Álvaro próbował się bronić i jak otrzymał ranę.

– Álvaro walczył – stwierdza chłopiec, wymawiając słowa z podniosłą stanowczością.

– Samoobrona to nie walka. To naturalny instynkt. Gdyby ktoś próbował cię uderzyć, tobyś się bronił. Nie namyślałbyś się dwa razy. Popatrz.

Przez cały czas, jaki spędzili razem, nigdy nie tknął chłopca nawet palcem. Teraz podnosi nagle rękę do ciosu. Chłopiec patrzy bez mrugnięcia okiem. Simón markuje uderzenie w policzek. David nie uchyla się.

– Dobra – mówi mężczyzna. – Wierzę ci. – Opuszcza rękę. – Masz rację, a ja byłem w błędzie. Álvaro nie powinien był próbować się bronić. Powinien być taki jak ty. Powinien być dzielny. To co, może przejdziemy się teraz do przychodni i zobaczymy, co u niego?

Następnego dnia Álvaro pojawia się w pracy ze zranioną ręką na temblaku. Nie chce rozmawiać o zajściu. Inni, idąc za jego przykładem, też nie. Ale chłopiec nie przestaje marudzić.

– Czy pan Daga odda rower? – pyta. – Dlaczego on się nazywa Daga?

– On tu nie wróci – odpowiada Simón. – Nie lubi nas, nie lubi takiej pracy, jaką my wykonujemy, nie ma więc powodu wracać. Nie wiem, czy Daga to jego prawdziwe imię. Nieważne. Imiona nie mają znaczenia. Jeśli chce się tak nazywać, to niech mu będzie.

– Ale dlaczego ukradł pieniądze?

– On ich nie ukraść. I nie ukraść roweru. Kradzież oznacza, że zabierasz coś, co do ciebie nie należy, i robisz to, gdy nikt nie patrzy. A przecież my wszyscy patrzyliśmy, jak brał pieniądze. Mogliśmy go powstrzymać, ale nie powstrzymaliśmy. Postanowiliśmy z nim nie walczyć. Na pewno to pochwalasz. Sam przecież mówiłeś, że nie powinno się walczyć.

– Tamten pan powinien był mu dać więcej pieniędzy.

– Kasjer? Kasjer powinien był mu dać tyle, ile Daga chciał?

Chłopiec przytakuje.

– Nie mógł tego zrobić. Gdyby kasjer płacił każdemu z nas tyle, ile chcemy, zabrakłoby mu pieniędzy.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Bo wszyscy chcemy więcej, niż nam się należy. Taka jest ludzka natura. Chcemy więcej, niż jesteśmy warci.

– Co to jest ludzka natura?

– Oznacza ona sposób, w jaki są zbudowani ludzie, ty i ja, Álvaro i pan Daga, i wszyscy inni. Oznacza sposób, w jaki jesteśmy, kiedy przychodzimy na świat. Oznacza coś, co wszyscy mamy wspólnie. Lubimy wierzyć, że jesteśmy czymś wyjątkowym, mój chłopcze, każdy z nas. Ale, ściśle biorąc, nie może tak być. Gdybyśmy wszyscy byli wyjątkowi, nie byłoby wyjątkowości. Nadal jednak wierzymy w siebie. Schodzimy do ładowni statku, w ten gorący i kurz, zarzucamy worki na plecy i taszczymy je na górę, gdzie w świetle dnia widzimy naszych przyjaciół, którzy mozolą się tak samo jak my, wykonując tę samą robotę, nic specjalnego, i jesteśmy z nich dumni, podobnie jak z samych siebie, wszyscy pracujący razem towarzysze, mający wspólny cel; lecz w zakątku serca, niewidocznym dla innych, szepczemy sobie: „A jednak, a jednak, jesteś wyjątkowy, zobaczysz! Pewnego dnia, kiedy najmniej będziemy się tego spodziewać, rozlegnie się nagle gwizdek Álvaro i wszyscy zbierzemy się na nabrzeżu, gdzie będzie już czekał wielki tłum, a także człowiek w czarnym ubraniu i wysokim kapeluszu; i ten człowiek w czarnym ubraniu wywoła cię przed szereg, mówiąc: »Oto wyjątkowy robotnik, w którym znajdujemy upodobanie!«, po czym uściśnie ci dłoń i przypnie do piersi medal z napisem »Za Służbę Przewyższającą Głos Obowiązku«, a wszyscy będą wiwatować i bić brawo”. Takie właśnie marzenia leżą w naturze ludzkiej, nawet jeśli byłoby mądrzej zachowywać je dla siebie. Tak jak każdy z nas, pan Daga także myślał, że jest wyjątkowy; tylko że nie zachował tej myśli dla siebie. Chciał się wyróżnić. Chciał zdobyć uznanie.

Przerywa. Chłopiec nie zdradza żadnym gestem, że zrozumiał choćby jedno słowo. Czy ma dziś jeden ze swoich głupich dni, czy po prostu jest uparty?

– Pan Daga chciał usłyszeć pochwały i dostać medal – mówi dalej Simón. – Kiedy nie daliśmy mu wymarzonego medalu, wziął zamiast niego pieniądze. Wziął to, na co we własnym przekonaniu zasługiwał. To wszystko.

– Dlaczego nie dostał medalu? – pyta chłopiec.

– Bo gdybyśmy wszyscy dostawali medale, nie byłyby one nic warte. Na medal trzeba zapracować. Tak jak na pieniądze. Nie dostaje się medalu tylko dlatego, że się go chce.

– Ja bym dał panu Dadze medal.

– To może powinniśmy cię poprosić, żebyś został naszym kasjerem. Wtedy wszyscy dostalibyśmy medale i tyle pieniędzy, ile byśmy chcieli, a w następnym tygodniu kaseca na pieniądze świeciłaby pustką.

– W kasecie na pieniądze zawsze są pieniądze – oświadcza chłopiec. – Właśnie dlatego mówi się na nią „kaseca na pieniądze”.

Mężczyzna macha ręką.

– Jak będziesz taki głupi, to przestanę z tobą rozmawiać.

Kilka tygodni po tym jak po raz pierwszy zjawili się w Ośrodku, z biura Ministerio de Reubicación w Novilli przychodzi list informujący Simóna, że jemu i jego rodzinie przyznano mieszkanie na Osiedlu Wschód – odbiór lokalu nastąpi nie później niż w najbliższy poniedziałek w godzinach południowych.

Osiedle Wschód, potocznie zwane Wschodnimi Blokami, to dzielnica mieszkaniowa położona na wschód od parku – skupisko bloków komunalnych oddzielonych od siebie szerokimi trawnikami. Mężczyzna i chłopiec zapuszczali się tam już wcześniej, podobnie jak na teren bliźniaczego Osiedla Zachód. Wszystkie należące do osiedla bloki są tego samego typu. Mają po cztery piętra, na każdym piętrze sześć mieszkań z oknami wychodzącymi na duże podwórko, na którym urządzone jest plac zabaw dla dzieci z basenem ogrodowym i ścieżką rowerową i gdzie wiszą sznury do suszenia bielizny. Osiedle Wschód uchodzi powszechnie za bardziej atrakcyjne niż Osiedle Zachód; Simón i David mogą więc uważać się za szczęściarzy.

Przeprowadzka z Ośrodka przechodzi bezboleśnie, ponieważ mają niewiele własnych rzeczy i nie zdążyli się z nikim zaprzyjaźnić. Za sąsiadów mieli, po jednej stronie, staruszkę, który po całych dniach dreptał w szlafroku i mówił do siebie, po drugiej – pyszałkowatą parę, która udawała, że nie rozumie hiszpańskiego Simóna.

Nowe mieszkanie na drugim piętrze jest niewielkie i skromnie umeblowane: dwa łóżka, stół i krzesła, komoda, metalowy regał. Małe aneks mieści elektryczną kuchenkę na stojaku i umywalkę z bieżącą wodą. Za przesuwными drzwiami kryje się prysznic i toaleta.

Na pierwszą kolację w Blokach Simón robi ulubioną potrawę chłopca – naleśniki z masłem i dżemem.

– Polubimy to miejsce, prawda? – mówi. – To będzie nowy rozdział naszego życia.

Po tym jak zawiadomił Álvara, że kiepsko się czuje, bez skrupułów bierze kilka dni wolnego. Zarabia teraz aż nadto dobrze jak na ich potrzeby, pieniędzy nie ma na co wydawać, nie widzi, dlaczego miałby harować bez powodu. Poza tym zawsze są jacyś nowi przybysze szukający dorywczej pracy, którzy mogą go zastąpić w dokach. Przez kilka dni wyleguje się więc w łóżku, drzemiąc i budząc się na przemian, ciesząc się ciepłym słońcem, które wlewa się do środka przez okna ich nowego domu.

„Zbieram się w sobie – myśli. – Zbieram siły do następnego rozdziału w tym przedsięwzięciu”. Przez następne przedsięwzięcie rozumie poszukiwanie matki chłopca, choć nie wie jeszcze, gdzie je zacząć. „Gromadzę energię; układam plany”.

Podczas gdy on odpoczywa, chłopiec bawi się na podwórzu w piaskownicy albo na huśtawkach bądź też chodzi wśród rozwieszonych na sznurach prania i nucąc coś pod nosem, zawija się w prześcieradła jak w kokon, a potem kręcąc się jak fryga, odwija z powrotem. Zabawa ta nigdy go nie męczy.

– Nie wiem, czy nasi sąsiedzi będą szczęśliwi, gdy zobaczą, jak się obchodzisz z ich świeżo upraną pościelą – mówi mężczyzna. – Co ci się tak w tym podoba?

– Zapach.

Następnym razem, przechodząc przez podwórze, Simón sam nieznacznie wtula twarz w suszące się prześcieradło. Zapach jest czysty, ciepły i kojący.

Gdy później tego samego dnia wygląda przez okno, widzi Davida wyciągniętego na trawniku głowa w głowę z innym, większym chłopcem. Wyglądają na pogrążonych w przyjacielskiej pogawędce.

– Widzę, że masz nowego przyjaciela – mówi przy obiedzie. – Kto to?

– Fidel. Umie grać na skrzypcach. Czy ja też mogę dostać skrzypce?

– Mieszka w Blokach?

– Tak. Mogę też mieć skrzypce?

– Zobaczymy. Skrzypce kosztują mnóstwo pieniędzy i trzeba mieć nauczyciela. Nie możesz, ot, tak po prostu wziąć skrzypiec do ręki i zagrać.

– Mama Fidela uczy go grać. Mówi, że może uczyć i mnie.

– To dobrze, że masz nowego przyjaciela, cieszę się z tego. Co do lekcji skrzypiec, muszę chyba najpierw porozmawiać z matką Fidela.

– To może pójdziemy teraz do nich?

– Możemy pójść później, jak się prześpisz.

Mieszkanie Fidela znajduje się po przeciwnej stronie podwórza. Drzwi otwierają się, zanim mężczyzna zdążył zapukać, i staje w nich Fidel, mocno zbudowany, kędzierzawy, uśmiechnięty.

Choć nie tak duże jak ich, i nie tak słoneczne, mieszkanie Fidela i jego matki jest jakby cieplejsze, być może za sprawą lekkich zasłon okiennych ozdobionych motywem kwitnących wiśni, który powtarza się na okrywających łóżka narzutach.

Matka Fidela wychodzi im na powitanie: jest koścista, wręcz chuda, ma wystające zęby i mocno ściągnięte do tyłu włosy. W jakiś niejasny sposób Simón jest rozczarowany tym pierwszym spotkaniem z nią, choć nie ma powodu.

– Tak – potwierdza kobieta – powiedziałam pańskiemu synowi, że może brać lekcje muzyki razem z Fidelem. Później możemy ocenić, czy ma dryg do muzyki i chęć do pracy.

– To bardzo uprzejme z pani strony. Z tym że David nie jest moim synem. Nie mam syna.

– Gdzie są jego rodzice?

– Jego rodzice... To trudne pytanie. Wyjaśnię, jak będziemy mieć więcej czasu. A wracając do lekcji: czy musi mieć własne skrzypce?

– Z początkującymi zaczynam zwykle od gry na flecie prostym. Fidel – przyciąga syna do siebie, a on przytula się do niej czule – Fidel przez rok uczył się na flecie, zanim przeszedł na skrzypce.

Simón zwraca się do Davida:

– Słyszysz, mój chłopcze? Najpierw będziesz się uczył grać na flecie, a dopiero potem na skrzypcach. Zgoda?

Chłopiec robi minę, rzuca spojrzenie na swojego nowego przyjaciela, milczy.

– Zostać skrzypkiem to nie lada rzecz. Nie uda się, jeśli nie włożysz w to serca. – Simón zwraca się z kolei do matki Fidela: – Czy można wiedzieć, ile bierze pani za lekcję?

Kobieta patrzy na niego ze zdziwieniem.

– Nie biorę nic – mówi. – Robię to dla muzyki.

Ma na imię Elena. Nie jest to imię, którego by się spodziewał. Już prędzej Manuela, a może nawet Lourdes.

Zaprasza Fidela i jego matkę na wycieczkę autobusem do Nowego Lasu, wycieczkę, którą polecał Álvaro („Kiedyś była tam plantacja, ale później pozwolili jej zdiczeć – spodoba ci się”). Od pętli autobusu idą dalej ścieżką – obaj chłopcy pędzą przodem, oni z Eleną podążają za nimi spacerowym krokiem.

– Dużo masz uczniów? – pyta ją.

– Och, ja właściwie nie jestem nauczycielką muzyki. Przychodzi do mnie kilkoro dzieci, którym pokazuję podstawy.

– Z czego żyjesz, skoro nie pobierasz opłat za lekcje?

– Trochę szyję. Robię to i tamto. Dostaję niewielki zasiłek z pomocy społecznej. Wystarcza mi. Są ważniejsze rzeczy niż pieniądze.

– Masz na myśli muzykę?

– Muzykę, owszem, ale też to, jak ktoś żyje. Jak powinien żyć.

Dobra odpowiedź, filozoficzna, poważna. Simón przez chwilę milczy.

– A znajomi? – pyta. – Chodzi mi o to – zrywa pokrzywę – czy jest w twoim życiu jakiś mężczyzna?

Elena marszczy brwi.

– Mam przyjaciół. Są wśród nich i kobiety, i mężczyźni. Nie robię między nimi różnicy.

Ścieżka zwięża się. Ona idzie przodem, on zostaje z tyłu, patrząc na jej kołyszące się biodra. Woli kobiety, które mają więcej ciała na kościach. Niemniej jednak Elena mu się podoba.

– A dla mnie to jest różnica, z której nie mogę zrezygnować – wyznaje. – Nie mogę i nie chcę.

Elena zwalnia, żeby mógł się z nią zrównać, i patrzy mu prosto w oczy.

– Nikt nie powinien być zmuszony do tego, żeby rezygnować z rzeczy, które są dla niego ważne – mówi.

Obaj chłopcy wracają, zziębnięci po biegu, tryskający zdrowiem.

– Mamy coś do picia? – chce wiedzieć Fidel.

Dopiero kiedy znów są w autobusie, w powrotnej drodze do domu, mężczyzna ma następną okazję, żeby porozmawiać z Elena.

– Nie wiem, jak jest z tobą – zaczyna – ale we mnie przeszłość nie umarła. Szczegóły może i się rozmazały, jednak niejasne wspomnienie, jakie kiedyś było życie, jest wciąż żywe. Mężczyźni i kobiety, na przykład: mówisz, że masz już za sobą ten rodzaj myślenia; ale ja nie. Wciąż czuję, że jestem mężczyzną, a ty kobietą.

– Zgoda. Mężczyźni i kobiety są różni. Mają różne role do odegrania.

Obaj chłopcy, siedzący przed nimi, szepczą coś do siebie, chichoczą. Simón ujmuje Elenę za rękę. Ona jej nie zabiera. Niemniej w ten nieodgadniony sposób, w jaki przemawia ciałem, jej ręka daje odpowiedź. Wiednie w jego uścisku jak ryba wyjęta z wody.

– Jeśli wolno spytać – mówi Simón – czy w ogóle nic nie czujesz do mężczyzn?

– Nie, nie jest tak – odpowiada powoli i z namysłem Elena. – Wprost przeciwnie, czuję życzliwość, wiele życzliwości. Wobec ciebie i twojego syna. Ciepło i życzliwość.

– Przez życzliwość rozumiesz, że dobrze nam życzysz? Staram się uchwycić znaczenie tego słowa. Jesteś nam przychylna?

– Tak, właśnie tak.

– To muszę ci powiedzieć, że nieustannie spotykamy się tutaj z życzliwością. Wszyscy nam dobrze życzą, wszyscy są gotowi okazywać nam serce. Unosimy się wręcz na obłoku życzliwości. Wszystko to jednak pozostaje trochę abstrakcyjne. Czy sama życzliwość może zaspokoić nasze potrzeby? Czy nie leży w naszej naturze pragnąć czegoś bardziej dotykającego?

Elena nieśpiesznie wyswabia rękę z jego dłoni.

– Możesz chcieć czegoś więcej niż życzliwość, ale czym jest to coś? Takie właśnie pytanie powinieneś sobie zadać. – Przerzywa. – Zwracasz się zawsze do Davida: „chłopcze”. Dlaczego nie po imieniu?

– David to imię, które nadano mu w obozie. Nie lubi go, mówi, że to nie jest jego prawdziwe imię. Staram się go nie używać, chyba że muszę.

– Przecież imię bardzo łatwo można zmienić. Idziesz do biura meldunkowego i wypełniasz odpowiedni formularz. To wszystko. Żadnych pytań. – Pochyla się do przodu. – A o czym wy tak szepczecie? – pyta chłopców.



Jej syn odpowiada uśmiechem i podnosi palec do ust, udając, że to, co zajmuje ich obu, jest tajemnicą.

Autobus dowozi ich pod same Bloki.

– Powinnam cię zaprosić na herbatę – mówi Elena – ale niestety czas już na kąpiel i kolację Fidelita.

– Rozumiem – odpowiada mężczyzna. – Dobranoc, Fidel. Dzięki za spacer. Było wspaniale.

– Wygląda na to, że dobrze się dogadujecie z Fidelem – odzywa się do chłopca, gdy zostają sami.

– On jest moim najlepszym przyjacielem.

– Czyli okazuje ci życzliwość?

– Mnóstwo życzliwości.

– A ty? Też czujesz wobec niego życzliwość?

Chłopiec energicznie kiwa głową.

– I coś jeszcze?

Mały posyła mu zdumione spojrzenie.

– Nie.

A więc dowiedział się prawdy – z ust damulek i osesków. Że z życzliwości rodzi się przyjaźń i szczęście, wspólne pikniki w parku i miłe popołudnia spędzone razem na spacerowaniu po lesie. Z miłości natomiast, a w każdym razie z tęsknoty za jej bardziej cielesnymi przejawami, rodzi się uczucie niespełnienia, zwątpienie i smutek serca.

Tak czy owak, jakie on sam ma zamiary wobec Eleny, kobiety, której prawie nie zna, a której syn przyjaźni się z chłopcem? Czy ma nadzieję ją uwieść, ponieważ we wspomnieniach, które nie całkiem w nim zgasły, wzajemne uwodzenie się jest czymś, co robią mężczyźni i kobiety? Czy to oznacza, że przedkłada sprawy osobiste – takie jak pragnienie, miłość – nad sprawy powszechne: życzliwość i przychyłność? I dlaczego wciąż zadaje sobie pytania, zamiast po prostu żyć, jak wszyscy inni? Czy jest to część o wiele za wolnego przejścia od tego, co dawne i bezpieczne (osobiste), do tego, co nowe i niepokojące (powszechne)? Czy etap zadawania pytań sobie samemu jest tylko fazą w rozwoju każdego nowo przybyłego, którą ludzie tacy jak Álvaro, Ana i Elena szczęśliwie mają już za sobą? A skoro tak, to ile jeszcze czasu minie, zanim on sam stanie się nowym, w pełni dojrzałym człowiekiem?

## 8

– Mówiłaś mi parę dni temu o życzliwości jako leku na wszystkie nasze bolączki – powiada do Eleny. – Ale czy czasem nie brakuje ci starego, poczciwego kontaktu fizycznego?

Są w parku, obok łąki, na której toczy się równocześnie pół tuzina chaotycznych meczów piłkarskich. Fidelowi i Davidowi pozwolono przyłączyć się do jednej z drużyn, choć naprawdę są za mali. Posłusznie biegają tam i z powrotem wraz z innymi graczami, ale nikt nie podaje do nich piłki.

– Kомуś, kto wychowuje dziecko, nie brak kontaktu fizycznego – odpowiada Elena.

– Przez kontakt fizyczny rozumiem coś innego. Chodzi mi o kochanie i bycie kochanym. O spanie z kimś co noc. Nie brakuje ci tego?

– Czy brakuje? Nie jestem osobą, która cierpi z powodu wspomnień, Simónie. To, o czym mówisz, wydaje mi się bardzo odległe. I bardzo dziwne, jeśli przez spanie z kimś rozumiesz seks. Po co zaprzętać sobie głowę czymś tak dziwnym?

– Ale przecież nic tak nie zbliża ludzi jak seks. Nas też by zbliżył. Na przykład.

Elena odwraca się.

– Fidelito! – woła i macha ręką. – Chodź! Musimy już iść!

Czy mu się zdaje, czy naprawdę się zarumieniła?

Nie da się ukryć, że Elena pociąga go tylko umiarkowanie. Nie podoba mu się jej kościstość, silnie zarysowana szczeka i wystające przednie zęby. Ale jest mężczyzną, a ona kobietą, do tego przyjaźń między dziećmi zacieśnia relacje między nimi, dorosłymi. Pomimo więc jednej uprzejmej odmowy za drugą wciąż pozwala sobie na drobne poufałości, które, jak się zdaje, bardziej bawią, niż złością Elenę. Po trosze wbrew własnej woli ulega marzeniom, w których taki czy inny uśmiech losu wpycha Elenę w jego ramiona.

Uśmiech losu, kiedy w końcu się pojawia, przybiera postać przerwy w dostawie prądu. Takie przerwy nie są w mieście rzadkością. Zwykle ogłasza się je z jednodniowym wyprzedzeniem, według zasady: raz parzyste, raz nieparzyste numery domów. Jeśli chodzi o Bloki, wyłącza się prąd w całych budynkach, według ustalonej kolejności.

Jednak owego wieczoru nie ma wcześniejszego powiadomienia. Po prostu Fidel puka do drzwi i pyta, czy może przyjść odrobić lekcje, bo u nich nie ma światła.

– Jadłeś już? – pyta go mężczyzna.

Fidel zaprzecza ruchem głowy.

– To biegnij z powrotem i powiedz mamie, że ty i ona jesteście zaproszeni na kolację.

Kolacja, którą ich częstuje, składa się po prostu z chleba i zupy (jęczmień plus kabaczek, ugotowane razem z fasolą z puszki; nie znalazł jeszcze do tej pory sklepu sprzedającego przyprawy), ale to wystarcza. Wkrótce lekcje Fidela są już odrobione. Chłopcy oglądają książki z obrazkami; raptem Fidel pada jak kłoda i zasypia.

– Taki już jest od maleńkości – mówi Elena. – Jak zaśnie, nic go nie obudzi. Zaniosę go do domu i położę do łóżka. Dzięki za kolację.

– Nie możesz wracać do ciemnego mieszkania. Zostańcie u nas na noc. Fidel może spać razem z Davidem, a ja na krześle. Jestem przyzwyczajony.

Kłamię, nie jest wcale przyzwyczajony do sypiania na krzesłach, ma zresztą wątpliwości, czy dałoby się w ogóle usnąć na twardym kuchennym krześle. Ale w ten sposób nie daje Elenie szansy na odmowę.

– Wiesz, gdzie jest łazienka. Tutaj masz ręcznik.

Zanim sam wraca z łazienki, ona jest już w łóżku, a chłopcy śpią jeden przy drugim. Owija się w zapasowy koc i gasi światło.

Przez chwilę jest cicho. Potem z ciemności dobiega jej głos:

– Jeśli ci jest niewygodnie, a na pewno jest, to mogę się przesunąć pod ścianę.

Wślizguje się obok niej do łóżka. Po cichu, dyskretnie uprawiają seks, pamiętając o dzieciach śpiących na wyciągnięcie ręki.

Nie tak to sobie wyobrażał. Ona nie wkłada w zbliżenie serca; to się od razu czuje. Co do niego samego, zasoby tłumionego dotąd pożądania, na które liczył, okazują się złudzeniem.

– Teraz już wiesz, co miałam na myśli? – pyta kobieta, kiedy jest po wszystkim. Muska palcem jego usta. – To nas nie wznosi na wyższy poziom, prawda?

Czy ona ma rację? Czy powinien sobie wziąć do serca to doświadczenie i raz na zawsze pożegnać się z seksem, jak najwyraźniej zrobiła Elena? Może. Jednak sam fakt, że trzyma w ramionach kobietę – nawet jeśli nie jest to żadna oszałamiająca piękność – podnosi go na duchu.

– Nie zgadzam się – mruczy w odpowiedzi. – Prawdę mówiąc, myślę, że zupełnie się mylisz. – Przerywa na chwilę. – Zadałaś sobie kiedykolwiek pytanie, czy cena, jaką płacimy za to nowe życie, cena zapomnienia, nie jest aby zbyt wysoka?

Elena nie odpowiada; poprawia na sobie bieliznę i odwraca się tyłem.

Choć nie mieszkają razem, Simón, po tej pierwszej wspólnej nocy, lubi myśleć o sobie i Elenie jako o parze albo przyszłej parze, a tym samym o chłopcach jako braciach bądź braciach przyrodnych. Coraz częściej jadają w czwórkę wieczorny posiłek, a pod koniec tygodnia robią wspólnie zakupy, jeżdżą na pikniki i wycieczki za miasto. I choć on i Elena od tamtej pory nie spędzili razem całej nocy, od czasu do czasu ona, kiedy chłopców nie ma w pobliżu, pozwala mu na pieszczoty. Simón zaczyna przywykać do jej ciała, do sterczących kości biodrowych i drobnych piersi. Elena nie czuje do niego pociągu, to jasne, ale on lubi myśleć o swoich pieszczotach jako o cierpliwym i długotrwałym akcie reanimacji, o przywracaniu do życia kobiecego ciała, które na dobrą sprawę umarło.

Kiedy zaprasza go do łóżka, nie ma w tym cienia kokieterii. „Jeśli chcesz, możesz to zrobić teraz” – mówi wtedy, po czym zamyka drzwi i zdejmuje ubranie.

Dawniej taka rzeczowość pewnie by go zniechęciła, a obojętność Eleny byłaby dla niego upokarzająca. Postanawia jednak, że nie będzie ani zniechęcony, ani upokorzony. To, co ona mu daje, przyjmuje z ochotą i wdzięcznością.

Elena nazywa zbliżenie po prostu „robieniem tego”, ale czasami, kiedy chce się z nim podroczyć, używa słowa „rozmrozić”: „Jak chcesz, to możesz jeszcze raz spróbować mnie rozmrozić”. Słowo to wymknęło mu się kiedyś w chwili nieuwagi: „Pozwól, żebym cię rozmroził”. Pomysł przywrócenia jej do życia poprzez rozmrożenie wydał jej się wtedy, i wydaje nadal, bezgranicznie zabawny.

Rodzi się między nimi dwojgiem jeśli już nie intymność, to przynajmniej przyjaźń, trwała – w jego odczuciu – i niezawodna. Czy przyjaźń połączyłaby ich i tak, na gruncie przyjaźni dzieci i wielu spędzanych razem godzin, czy robienie „tego” w ogóle coś do niej wniosło – tego nie umie powiedzieć.

Czy tutaj, w tym nowym świecie – pyta sam siebie – tak właśnie tworzą się rodziny: w oparciu raczej o przyjaźń niż o miłość? Nie jest to coś, z czym byłby obeznany – bycie jedynie przyjacielem kobiety. Ale widzi dobre strony takiej sytuacji. Zaczyna nawet, ostrożnie, czerpać z niej radość.

– Powiedz mi coś o ojcu Fidela – prosi Elenę.

- Słabo go pamiętam.
- Ale przecież chłopak musiał mieć ojca.
- Oczywiście.
- Czy ten ojciec był taki jak ja?
- Nie wiem. Nie potrafię powiedzieć.
- Czy, hipotetycznie, widziałabyś kogoś podobnego do mnie w roli męża?
- Kogoś podobnego do ciebie? Pod jakim względem?
- Czy poślubiłabyś kogoś takiego jak ja?
- Jeśli chcesz w ten sposób spytać, czy wyszłabym za ciebie za męża, to odpowiedź brzmi: tak, wyszłabym. Byłoby to dobre dla Fidela i dla Davida, dla nich obu. Kiedy byś chciał to zrobić? Bo urząd stanu cywilnego jest otwarty tylko w soboty. Dadzą ci wolne w pracy?

– Na pewno. Nasz brygadzysta jest bardzo wyrozumiały.

Po tej osobliwej propozycji i jej osobliwym przyjęciu (z którym nic już dalej nie robi) mężczyzna wyczuwa ze strony Eleny pewną rezerwę, co wprowadza dodatkowe napięcie w ich wzajemnych relacjach. Nie żałuje jednak zadanego pytania. Szuka swojej drogi. Buduje nowe życie.

- Jak byś się czuła – pyta któregoś dnia – gdybym się spotykał z inną kobietą?
- Przez spotkanie się rozumiesz uprawianie seksu?
- Być może.
- A kogo masz na myśli?
- Nikogo konkretnego. Po prostu rozpatruję różne możliwości.
- Rozpatrujesz możliwości? Czy nie pora, żebyś się ustatkował? Nie jesteś już młodym człowiekiem.

Mężczyzna milczy.

– Pytasz, jak bym się czuła. Odpowiedź ma być krótka czy pełna?

– Pełna. Jak najpełniejsza.

– Proszę bardzo. Otóż nasza przyjaźń służy chłopcom; chyba jesteśmy co do tego zgodni. Dorastają razem. Widzą w nas opiekunów, a może nawet jedną opiekuńczą moc. Nie byłoby więc dla nich dobrze, gdyby nasza przyjaźń miała się skończyć. I nie widzę powodu, żebyśmy się rozstawali tylko dlatego, że spotykasz się z jakąś hipotetyczną inną kobietą.

Podaję jednak, że z tą kobietą będziesz chciał przeprowadzić taki sam eksperyment, jaki przeprowadzasz ze mną, i że w trakcie tego eksperymentu oddalisz się od Fidela i ode mnie.

I dlatego wypowiem teraz słowami coś, co miałam nadzieję, że sam zrozumiesz. Chcesz się spotykać z tą inną kobietą, bo ja nie daję ci tego, czego w swoim przekonaniu potrzebujesz, to znaczy burzliwej namiętności. Sama przyjaźń ci nie wystarcza. Bez namiętnych uniesień jest jakoś wybrakowana.

W moim odczuciu jest to stary sposób myślenia. W tym starym sposobie myślenia ile byś miał, wciąż ci czegoś brakuje. W twoim akurat przypadku imię tego brakującego „czegoś więcej” brzmi: namiętność. Ale daję głowę, że gdybyś jutro dostał całą namiętność, jakiej pragniesz – pełne wiadro namiętności – natychmiast zatęskniłbyś za czymś nowym. To wieczne nienasycenie, wypatrywanie „czegoś więcej”, to, moim zdaniem, sposób myślenia, którego dawno się wyzbyliśmy. Tak naprawdę niczego nam nie brak. To coś, czego w twoim przekonaniu brakuje, jest złudzeniem. Żyjesz złudzeniami.

No więc... Chciałeś wyczerpującej odpowiedzi, to ją masz. Wystarczy, czy czegoś ci jeszcze brakuje?

Dzień jest ciepły – ten dzień pełnej odpowiedzi. Słysząc cicho grające radio; leżą na łóżku w jej mieszkaniu, całkowicie ubrani.

– Z mojej strony... – zaczyna mężczyzna.

Elena przerywa mu.

- Céc... – szepcze. – Nie mówmy już o tym, przynajmniej nie dzisiaj.
- Dlaczego?
- Bo za chwilę się pokłócimy, a tego nie chcę.

Milkną więc i leżą obok siebie w ciszy, słuchając to krzyków krążących nad podwórkiem mew, to śmiejących się przy zabawie chłopców, to znów dobiegającej z radia jednostajnej, spokojnej melodii, która kiedyś przynosiła mu ulgę, a dziś wręcz drażni.

Chce, ze swojej strony, powiedzieć, że życie tutaj jest jak na jego gust zbyt spokojne, pozbawione wzlotów i upadków, dramatyczności, napięcia – tak właśnie jak ta melodia w radio. *Anodina*: czy to hiszpańskie słowo?

Przypomina mu się, jak kiedyś spytał Álvaro, dlaczego radio nigdy nie nadaje wiadomości. „Wiadomości o czym?” – indagował Álvaro. „O tym, co się dzieje na świecie” – odparł. „O – zdziwił się Álvaro – a co się dzieje?”. Tak jak wcześniej, Simón gotów był podejrzewać ironię. Ale nie, nie było żadnej ironii.

Álvaro nie posługuje się ironią. Ani Elena. Elena jest kobietą inteligentną, nie widzi jednak w świecie żadnej dwoistości, żadnej różnicy między tym, czym rzeczy się wydają, a tym, czym są. Jest kobietą inteligentną, a przy tym godną podziwu, która z niesłuchaniem skromnego materiału – krawiectwa, lekcji muzyki, codziennych obowiązków domowych – zbudowała nowe życie, w którym, jak twierdzi (może i słusznie), niczego nie brakuje. Podobnie jest z Álvarezem i sztauerami: nie mają – w jego odczuciu – żadnych potajemnych tęsknot, nie kusi ich inny rodzaj życia. Tylko on jest wyjątkiem, odmieńcem, tylko jemu czegoś brakuje. Co z nim jest nie tak? Czy, jak twierdzi Elena, chodzi po prostu o stary sposób myślenia i odczuwania, który jeszcze w nim nie umarł, który jednak kopie i rzuca się w przedśmiertnych drgawkach?

Rzeczy nie mają tutaj odpowiedniego ciężaru: to właśnie chciałby w końcu powiedzieć Elenie. Muzyka, której słuchamy, nic nie waży, podobnie jak nasze pieszczoty. Jedzenie, które spożywamy – nudna chlebowa dieta – jest pozbawione substancji, nie ma w nim zwierzęcej cielesności, z całym ciężarem przelanej krwi i związanej z tym ofiary. Samym naszym słowom brakuje ciężaru, tym hiszpańskim słowom, które nie pochodzą z naszych serc.

Piosenka grana w radio dobiega swego pełnego wdzięku końca. Simón podnosi się z łóżka.

– Muszę już iść – mówi. – Pamiętasz, jak niedawno powiedziałaś mi, że nie cierpisz z powodu wspomnień?

– Tak powiedziałam?

– Owszem. Kiedy przyglądaliśmy się w parku, jak grają w piłkę. No więc ja nie jestem taki jak ty. Ja cierpię z powodu wspomnień czy raczej ich cieni. Wiem, że przybywając tutaj, powinniśmy być wyprani z wszelkich wspomnień; i to prawda – nie mam ich zbyt wiele. Niemniej jednak te cienie trwają. To jest właśnie powód moich cierpień. Tyle że ja nie używam słowa „cierpieć”. Po prostu trzymam się tych cieni.

– To dobrze – mówi Elena. – Świat składa się z różnych rzeczy.

Fidel i David wbiegają do pokoju, zarumienieni, spoceni, pełni życia.

– Są jakieś ciastka? – pyta Fidel.

– W słoju na kredensie.

Chłopcy znikają w kuchni.

– Dobrze się bawicie? – woła za nimi Elena.

– Uhm – odpowiada Fidel.

– To dobrze – mówi Elena.

## 9

– Jak tam lekcje muzyki? – pyta chłopca. – Podobają ci się?

– Uhm. Wiesz, co? Kiedy Fidel dorośnie, kupi sobie maleńkie skrzypce – pokazuje, jak bardzo maleńkie: zaledwie dwie szerokości dłoni – i będzie nosił strój klauna, i grał na tych skrzypcach w cyrku. Pójdziemy do cyrku?

– Jak przyjedzie następnym razem do miasta, to możemy pójść, wszyscy czworo. Zaprosimy Álvara i może też Eugenia.

Chłopiec robi nadęsaną minę.

– Nie chcę, żeby Eugenio z nami szedł. Wygaduje o mnie różne rzeczy.

– Powiedział tylko jedną rzecz, że masz w sobie diabła, a to jest tylko taki sposób mówienia. Chodziło mu o to, że masz wyjątkową smykałkę do szachów. Ze grasz jak szatan.

– Nie lubię go.

– W porządku, więc nie zaprosimy Eugenia. Czego się uczysz na lekcjach muzyki oprócz gam?

– Śpiewania. Chcesz posłuchać, jak śpiewam?

– Bardzo. Nie wiedziałem, że Elena uczy śpiewu. Wciąż mnie czymś zadziwia.

Są w autobusie jadącym za miasto. Choć oprócz nich jest jeszcze kilkoro pasażerów, chłopiec nie wstydzi się śpiewać. Czystym, młodym głosem intonuje:

*Wer reitet so spät durch Dampf und Wind?*

*Er ist der Vater mit seinem Kind;*

*Er hält den Knaben in dem Arm,*

*Er füttert ihn Zucker, er küsst ihn warm.*

– Tyle. To po angielsku. Mogę się uczyć angielskiego? Nie chcę już mówić po hiszpańsku. Nie cierpię hiszpańskiego.

– Bardzo dobrze mówisz po hiszpańsku. Śpiewasz też pięknie. Może jak dorośniesz, to zostaniesz śpiewakiem.

– Nie. Będę magikiem w cyrku. Co to znaczy: *Wer reitet so?*

– Nie wiem. Nie znam angielskiego.

– Czy mogę pójść do szkoły?

– Musisz jeszcze trochę poczekać, do swoich następnych urodzin. Wtedy będziesz mógł chodzić do szkoły razem z Fidelem.

Wysiadają na przystanku oznaczonym napisem „Koniec”, gdzie autobus zawraca. Mapa, którą Simón wziął z dworca autobusowego, pokazuje trasy i ścieżki wiodące na wzgórze. Zamierza iść krętym szlakiem prowadzącym nad jezioro, obok którego na mapie widnieje eksplodująca gwiazda oznaczająca, że jest to wyjątkowo piękne miejsce.

Są ostatnimi opuszczającymi autobus pasażerami i jedynymi piechurami na ścieżce. Okolica, przez którą idą, jest pusta. Choć kraina wygląda na bujną i żyzną, nie widać śladu ludzkich siedzib.

– Jaki tu spokój na wsi! – mówi do chłopca, mimo że w gruncie rzeczy ta pustka tchnie raczej smutkiem niż spokojem.

Byłoby lepiej, gdyby mógł pokazywać chłopcu różne zwierzęta – krowy, owce albo świnię – zajęte własnymi sprawami. Żeby chociaż jakiś królik. Od czasu do czasu widzą ptaki w locie, ale zbyt daleko i zbyt wysoko na niebie, żeby był pewien, do jakiego należą gatunku.

– Jestem zmęczony – oznajmia chłopiec.

Mężczyzna spogląda na mapę. Domyśla się, że są mniej więcej w połowie drogi do jeziora.

– Poniosę cię przez chwilę – mówi – aż odzyskasz siły.

Sadza sobie chłopca na ramionach.

– Zawołaj, jak tylko zobaczysz jezioro. Czy w ogóle wodę. Albo jakichś wieśniaków.

Idą dalej. Albo jednak źle odczytał mapę, albo mapa jest zła, bo ścieżka – biegnąca najpierw stromo pod górę, a potem równie stromo w dół – kończy się niespodziewanie ceglany murem i zardzewiałą, zarosniętą bluszczem furtką. Obok furtki znajduje się spłowiała od deszczu i słońca tabliczka z napisem. Mężczyzna rozchyła bluszcz. „*La Residencia*” – czyta.

– Co to znaczy? – pyta chłopiec.

– Rezydencja to duży, wspinały dom. Ale ta akurat rezydencja może być już w ruinie.

– Popatrzmy?

Próbują otworzyć furtkę, lecz nie ustępuje. Już mają zawrócić, gdy do ich uszu dobiega cichy, niesiony wiatrem śmiech. Idą za jego dźwiękiem, przedzierając się przez gęste poszycie, aż w końcu docierają do miejsca, gdzie ceglany mur przechodzi w wysokie ogrodzenie z siatki. Po drugiej stronie ogrodzenia widać kort tenisowy, a na korcie troje graczy, dwóch mężczyzn i kobietę, ubranych na biało. Mężczyźni mają na sobie koszule i długie spodnie, kobieta zaś plisowaną spódnicę, bluzkę z wykładanym kołnierzem i zielony daszek przeciwsłoneczny na głowie.

Mężczyźni są wysocy, barczyści, wąscy w biodrach; wyglądają na braci, może nawet na bliźniaków. Kobieta gra w parze z jednym z mężczyzn przeciwko drugiemu. Wszyscy są wytrawnymi graczami – zauważa od razu Simón – zręcznymi i szybko nogami. Szczególnie dobry jest grający w pojedynkę mężczyzna, bez trudu radzący sobie z przeciwnikami.

– Co oni robią? – szepcze chłopiec.

– To taka gra – odpowiada Simón ścisłym głosem. – Nazywa się tenis. Trzeba postać piłkę obok przeciwnika. Tak jak się strzela bramkę w futbolu.

Piłka uderza w ogrodzenie. Kobieta podchodzi, żeby wziąć ją z powrotem, i wtedy ich dostrzega.

– Cześć – mówi i posyła chłopcu uśmiech.

Simón czuje w sercu poruszenie. Kim jest ta kobieta? Jej uśmiech, głos, postać – jest w niej coś mgliście znajomego.

– Dzień dobry – mówi przez zaschnięte gardło.

– Chodź, Inés! – woła jej partner. – Piłka gemowa!

Nie padają żadne dalsze słowa. W istocie, kiedy chwilę później partner kobiety podchodzi po kolejną piłkę, spogląda na nich obu wilkiem, jakby chciał powiedzieć, że nie są tu mile widziani, nawet gdy tylko przyglądają się grze.

– Pić mi się chce – szepcze chłopiec.

Simón wręcza mu butelkę wody, którą przyniósł z sobą.

– Nie mamy nic więcej?

– A co byś chciał – nektar? – syczy mężczyzna, ale zaraz potem żałuje swojego rozdrażnienia.

Wyjmuje z kieszeni pomarańczę i paznokciami robi otwór w skórce. Chłopiec chciwie wysysa sok.

– Teraz lepiej? – pyta Simón.

Chłopiec potakuje.

- Idziemy do tej *La Residencia*?
- To jest właśnie *La Residencia*. Kort tenisowy stanowi jej część.
- Wejdziemy do środka?
- Możemy spróbować.

Zostawiając za sobą kort, zanurzają się w gąszcz i posuwają wzdłuż muru, aż w końcu wychodzą na polną drogę wiodącą do wysokiej żelaznej bramy. Poprzez jej pręty, między drzewami, dostrzegają okazały budynek z ciemnego kamienia.

Skrzydła bramy są zamknięte, ale nie na klucz. Wślizgują się do środka i idą aleją, grzęznąc po kostki w opadłych liściach. Znak z wyobrazeniem strzały wskazuje w stronę łukowatego wjazdu otwierającego się na dziedziniec, pośrodku którego stoi marmurowy posąg – nadnaturalnych rozmiarów figura kobiety czy może anioła w spływających z ramion szatach, ze wzrokiem utkwionym w horyzont i płonąca pochodnią w ręku.

- Witam pana – mówi jakiś głos. – Mogę w czymś pomóc?

Mówiącym jest starszy mężczyzna o pobrużdżonej twarzy i zgarbionych plecach. Ma na sobie wypłowiały czarny uniform; wyłonił się z małej stróżówki obok wjazdu.

– Tak. Przyjechaliśmy przed chwilą z miasta. Gdyby to było możliwe, chcielibyśmy zamienić dwa słowa z jedną z mieszkanek tej posiadłości – panią, która gra właśnie na tyłach domu w tenisa.

- A czy ta pani życzy sobie z panem rozmawiać?

– Tak sądzę. Jest pewna ważna sprawa, którą muszę z nią omówić. Sprawa rodzinna. Ale możemy poczekać, aż gra się skończy.

- Jak brzmi nazwisko tej pani?

– Tego panu nie powiem, bo go nie znam. Ale mogę ją opisać. Powiedziałbym, że ma około trzydziestu lat, jest średniego wzrostu, ma ciemne, zaczesane do tyłu włosy. Jest w towarzystwie dwóch mężczyzn. Cała ubrana na białą.

– W *La Residencia* przebywa wiele pań o podobnym wyglądzie, a kilka z nich grywa w tenisa. Tenis to bardzo popularna forma wypoczynku.

- Chłopiec ciągnie Simóna za rękaw.

- Powiedz mu o psie – szepcze.

- O psie?

Chłopiec kiwa głową.

- O psie, którego mieli z sobą.

– Mój miody przyjaciel mówi, że ci państwo mają psa – powtarza Simón. On sam nie pamięta żadnego psa.

– Aha! – mówi odźwierny. Wycofuje się do swojej budki, zamykając za sobą szklane drzwi. W przytłumionym świetle widzą, jak przekłada różne papiery. Potem bierze do ręki telefon, wykręca numer, nasłuchuje, odkłada słuchawkę i wraca do nich.

- Przykro mi, ale nikt nie odpowiada.

– To dlatego, że ona jest teraz na korcie tenisowym. Czy nie możemy po prostu wejść na korty?

- Niestety, to niedozwolone. Nasze obiekty są niedostępne dla zwiedzających.

- Wobec tego może zaczekamy tu, aż ta pani skończy grać?

- Proszę bardzo.

- A możemy w tym czasie pospacerować po ogrodzie?

- Proszę bardzo.

Przechadzają się po zarośniętym ogrodzie.

- Kim jest ta pani? – pyta chłopiec.

- Nie poznałeś jej?

Chłopiec zaprzecza ruchem głowy.



– Czy nie poczułeś dziwnego poruszenia w piersi, kiedy się do nas odezwała, kiedy powiedziała „cześć” – czegoś w rodzaju szarpnięcia strun serca, tak jakbyś widział ją już kiedyś wcześniej, w jakimś innym miejscu?

Chłopiec z powątpiewaniem kręci głową.

– Pytam, bo ta pani może być osobą, której właśnie szukamy. Takie jest przynajmniej moje odczucie.

– Czy ona będzie moją mamą?

– Tego nie wiem na pewno. Spytamy ją samą.

Kończą obchodzić ogród wkoło. Kiedy znów są obok stróżówki, Simón stuka w szybę.

– Czy mógłby pan jeszcze raz zadzwonić do tej pani? – pyta.

Stróż wykręca numer. Tym razem ktoś odpowiada. Simón słyszy, jak odźwierny mówi: „Jakiś pan przy bramie chce się z panią zobaczyć... Tak... tak”... Teraz wychyla się z budki:

– Mówił pan, że to sprawa rodzinna, prawda?

– Tak, sprawa rodzinna.

Odźwierny zamyka drzwi i wraca do rozmowy. W końcu wychodzi ze stróżówki.

– Ta pani spotka się z panem – mówi. – Jest jednak mały problem. Dzieci nie mają wstępu do rezydencji. Mały będzie musiał poczekać tutaj.

– To dziwne. Dlaczego dzieci nie mają wstępu?

– Żadnych dzieci w rezydencji, proszę pana. Taki przepis. Nie ja ustalam przepisy, ja się tylko do nich stosuję. Chłopiec musi zostać przed wejściem, kiedy pan będzie składał wizytę rodzinną.

– Zostaniesz z tym panem? – pyta Simón chłopca. – Za chwilę wrócę.

– Nie chcę – mówi chłopiec. – Chcę iść z tobą.

– Rozumiem. Ale jestem pewien, że gdy tylko ta pani usłyszy, że czekasz tutaj, będzie chciała wyjść i się z tobą spotkać. Może więc poświęć się i zostań z tym panem, naprawdę przez chwilę.

– Wrócisz? Obiecujesz?

– Oczywiście.

Chłopiec milknie, nie patrzy mężczyźnie w oczy.

– Nie mógłby pan zrobić wyjątku ten jeden raz? – pyta Simón odźwiernego. – On będzie bardzo cicho, nikomu nie będzie przeszkadzał.

– Przykro mi, proszę pana, żadnych wyjątków. Do czego byśmy doszli, gdybyśmy zaczęli robić wyjątki? Zaraz by każdy chciał być wyjątkiem, a wtedy nie byłoby już żadnych reguł, nie uważa pan?

– Możesz się pobawić w ogrodzie – mówi Simón do chłopca. A do odźwiernego: – Mały może chyba pobawić się w ogrodzie?

– Oczywiście.

– Wdrap się na drzewo – radzi chłopcu. – Jest tu mnóstwo świetnych drzew do wspinania. Raz-dwa będę z powrotem.

Kierując się wskazówkami odźwiernego, przechodzi przez czworokątny dziedziniec, mija kolejny wjazd i stuka do drzwi z napisem Una. Nikt nie odpowiada. Wchodzi.

Znajduje się w westybulu. Ściany są wyklejone białą tapetą z bladzielonym motywem liry i lilii. Z ukrytych lamp wypływa dyskretne, skierowane ku górze światło. Pod ścianą sofa z imitacji białej skóry i dwa wygodne krzesła. Na stoliku koło drzwi pół tuzina butelek i kieliszki o różnych kształtach.

Siada, czeka. Mijają minuty. Wstaje i spogląda w głąb korytarza. Żywej duszy. Czyta od niechcienia napisy na butelkach: kremowa sherry, wytrawna sherry, wermut. Zawartość alkoholu 4%. Oblivedo. Gdzie jest Oblivedo?

Potem nagle ona już jest; wciąż w stroju do tenisa, masywniejsza, niż wydawało się na korcie, niemal tęga. Niesie talerz, który stawia na stole. Nie witając się z mężczyzną, siada na sofie i krzyżuje nogi pod swoją długą spódnicą.

– Chciał się pan ze mną widzieć? – pyta.

– Tak. – Serce szybko mu bije. – Dziękuję, że pani przyszła. Mam na imię Simón. Nie zna mnie pani, ale ja tu jestem nieważny. Przychodzę w imieniu kogoś innego, z propozycją.

– Proszę spocząć – mówi kobieta. – Coś do jedzenia? Kieliszek sherry?

Niepewną ręką mężczyzna nalewa sobie kieliszek sherry i bierze jedną z małych trójkątnych kanapek. Ogórek. Siada naprzeciwko kobiety, wlewa w siebie słodki trunek. Alkohol uderza mu do głowy. Napięcie ustępuje, słowa same cisną się na usta.

– Przeprowadziłem tu kogoś z sobą. To ten chłopiec, którego widziała pani na korcie tenisowym. Czekam na zewnątrz.

Odźwierny nie chciał go wpuścić. Bo jest dzieckiem. Czy wyjdzie pani, żeby się z nim spotkać?

– Przeprowadził pan dziecko, żeby się ze mną spotkało?

– Tak. – Nalewa sobie kolejny kieliszek wyzwalającej sherry. – Proszę się nie gniewać – to na pewno jest kłopotliwe: nieznajomi przychodzący bez zapowiedzi. Ale gdyby pani wiedziała, o jak ważną rzecz chodzi. Byliśmy...

Wtem drzwi otwierają się z rozmachem i staje przed nimi chłopiec we własnej osobie, zdyszany, bez tchu.

– Podejdź tutaj – przywołuje go skinieniem mężczyzna. – Teraz poznasz tę panią?

Zwraca się w stronę kobiety. Jej twarz jest ściągnięta przerażeniem.

– Czy on może wziąć panią za rękę? – A do chłopca: – Chodź, weź panią za rękę.

W tej samej chwili na scenę wkracza wyraźnie zirytowany odźwierny.

– Przepraszam pana – mówi – ale to jest wbrew przepisom, jak zresztą ostrzegałem. Jestem zmuszony poprosić, żeby opuścił pan to miejsce.

Simón patrzy na kobietę z prośbą w oczach. Ona z pewnością nie musi okazywać posłuszeństwa odźwiernemu i jego przepisom. Ale kobieta nie protestuje ani słowem.

– Miejsze pan serce – mówi Simón do odźwiernego. – Szliśmy taki kawał drogi. A co by było, gdybyśmy udali się wszyscy do ogrodu? To też by było wbrew przepisom?

– Nie, proszę pana. Ale proszę pamiętać, że brama jest zamykana punktualnie o piątej.

Simón zwraca się do kobiety:

– Czy możemy wyjść do ogrodu? Proszę! Niech mi pani pozwoli wszystko wytłumaczyć.

W ciszy, z chłopcem trzymającym Simóna za rękę, ich trójka przechodzi przez czworokątny dziedziniec do zapuszczonego ogrodu.

– Kiedyś musiała to być wspaniała posiadłość – zauważa mężczyzna, starając się oczyścić atmosferę, starając się, by jego głos brzmiał jak głos rozsądnego, dorosłego człowieka. – Szkoda, że ogród jest taki zaniedbany.

– Mamy tylko jednego ogrodnika na pełnym etacie. Nie daje sobie rady z tym wszystkim.

– A pani? Od dawna pani tu mieszka?

– Od jakiegoś czasu. Jeśli będziemy się trzymać tej ścieżki, dojdziemy nad staw, w którym są złote ryby. Pańskiemu synowi może się tam spodobać.

– Tak naprawdę nie jestem jego ojcem. Opiekuję się nim. Jestem kimś w rodzaju stróża. Tymczasowo.

– Gdzie są jego rodzice?

– Jego rodzice... To jest właśnie powód naszej dzisiejszej wizyty tutaj. Chłopiec nie ma rodziców, w każdym razie w normalny sposób. W drodze do tego kraju, na pokładzie łodzi, przydarzyło się nieszczęście. Zgubiono list, który mógł wszystko wyjaśnić. W rezultacie rodzice są zaginiony, a raczej zaginiony jest ten chłopiec. On i jego matka zostali rozdzieleni; próbujemy ją teraz odnaleźć. Jego ojciec to inna sprawa.

Dochodzą do obiecanego stawu, w którym naprawdę są złote ryby, małe i duże. Chłopiec klęka na brzegu i próbuje je przywabić za pomocą liścia turzycy.

– Wyrażę się jaśniej – mówi cicho i szybko mężczyzna. – Chłopiec nie ma matki. Odkąd zesliśmy ze statku, szukamy jej. Czy rozważy pani możliwość przyjęcia go?

– Przyjęcia go?

– Tak, bycia dla niego matką. Bycia jego matką. Czy weźmie go pani za syna?

– Nie rozumiem. Prawdę mówiąc, niczego nie rozumiem. Czy proponuje pan, żebym adoptowała pańskiego chłopca?

– Nie adoptowała, tylko była jego matką, prawdziwą matką. Mamy tylko jedną matkę, każde z nas. Czy będzie pani dla niego tą jedną jedyną matką?

Do tej chwili kobieta słuchała z uwagą. Ale teraz zaczyna się niespokojnie rozglądać dookoła, jakby miała nadzieję, że ktoś – odzwierny, jeden z jej kompanów od tenisa, ktokolwiek – przyjdzie jej z pomocą.

– A co z jego prawdziwą matką? – pyta. – Gdzie ona jest? Czy jeszcze żyje?

Simón sądził, że dziecko jest zbyt pochłonięte złotymi rybami, żeby słuchać. Ale chłopiec raptem piszczy:

– Nie umarła!

– Więc gdzie jest?

Dziecko milknie. Przez chwilę mężczyzna także zachowuje ciszę. Potem mówi.

– Proszę mi uwierzyć – przyjąć na wiarę – że nie jest to prosta sprawa. Chłopiec jest bez matki. Nie potrafię pani wytłumaczyć, co to znaczy, bo sam tego nie ogarniam. Obiecuję jednak, że jeśli powie pani po prostu „tak” – nie namyślając się zbytnio ani potem tego nie żałując – wszystko stanie się dla pani jasne, jasne jak dzień; wierzę w to mocno. A więc: czy przyjmie pani to dziecko za swoje?

Kobieta zerka na przegub, na którym ma zegarek.

– Robi się późno – mówi. – Moi bracia będą się niepokoić.

Odwraca się i szybkim krokiem odchodzi w stronę rezydencji; jej spódnica szeleści wśród traw.

Mężczyzna biegnie za nią.

– Proszę! – woła. – Jeszcze tylko chwilę. Zapiszę pani jego imię. Nazywa się David. To jest imię, które nosi, imię, które nadano mu w obozie. A mieszkamy tutaj, tuż obok miasta, na Osiedlu Wschód. Proszę o tym pomyśleć.

Wciska jej do ręki skrawek papieru. Potem kobieta odchodzi.

– Czy ona mnie nie chce? – pyta dziecko.

– Oczywiście, że chce. Któż by nie chciał takiego ładnego, mądrego chłopca? Ale najpierw musi się oswoić z tym pomysłem. Zasialiśmy w jej umyśle ziarno; teraz musimy być cierpliwi i pozwolić, by coś z niego wyrosło. Jeśli ty i ona będziecie się nawzajem lubili, ziarno na pewno wyda owoce. Podoba ci się ta pani, prawda? Widzisz przecież, jaka jest dobra; dobra i łagodna.

Chłopiec milczy.

Kiedy docierają do pętli autobusu, jest już prawie ciemno. W autobusie chłopiec usypia w ramionach mężczyzny; Simón musi go nieść, śpiącego, od przystanku autobusowego aż do mieszkania.

W środku nocy budzi się raptem z głębokiego snu. Chłopiec stoi przy łóżku, zalany łzami.

– Jestem głodny! – jęczy.

Mężczyzna wstaje, podgrzewa mleko, smaruje masłem kromkę chleba.

– Będziemy tam mieszkać? – pyta z pełnymi ustami chłopiec.

– W *La Residencia*? Nie sądzę. Nie miałbym tam co robić. Stałbym się jak jedna z tych pszczoł, co tylko latają wokół ula, czekając na porę posiłku. Ale możemy o tym porozmawiać rano. Mamy mnóstwo czasu.

– Ja nie chcę tam mieszkać. Chcę mieszkać tutaj, z tobą.

– Nikt nie będzie cię zmuszał, żebyś mieszkał tam, gdzie nie chcesz. Teraz wracajmy do łóżka.

Siedzi przy chłopcu, głaszcząc go łagodnie, aż ten zasypia. „Chcę mieszkać z tobą”. A co będzie, jeśli to życzenie stanie się gorzką prawdą? Czy on, Simón, da radę być dla dziecka zarówno ojcem, jak i matką, wychowywać go w atmosferze dobroci, pracując jednocześnie w dokach?

Przeklina siebie w myśli. Gdybyż przedstawił ich sprawę spokojniej, bardziej rozumnie! Ale nie, musiał się zachować jak szaleniec, zasypując nieszczęsną kobietę prośbami i żadaniami. „Weź to dziecko! Bądź jego jedną jedyną matką!” Zrobiłby lepiej, gdyby jakimś sposobem doprowadził do tego, że chłopiec znalazłby się w jej ramionach – ciało przy ciele, serce przy sercu. Wtedy wspomnienia, leżące głębiej niż wszelka myśl, mogłyby ożyć i wszystko byłoby dobrze. Ale spadło to na nią, ta wielka chwila, niestety zbyt gwałtownie, tak jak i kiedyś na niego. Wybuchło jak gwiazda, a on to zmarnował.

## 10

Jak się jednak okazuje, nie wszystko jest stracone. Akurat gdy dzwonią na południe, chłopiec wbiega na górę w stanie wielkiego wzburzenia.

– Oni tu są, oni tu są! – krzyczy.

– Kto?

– Ta pani z rezydencji! Ta pani, która będzie moją mamą! Przyjechała samochodem.

Kobieta staje w drzwiach. Ma na sobie dość oficjalną granatową sukienkę, dziwaczny kapelusik z mało gustowną złotą szpilką oraz – Simón nie wierzy własnym oczom – białe rękawiczki, tak jakby przysłała na spotkanie z prawnikiem. Nie jest sama. Towarzyszy jej wysoki smukły mężczyzna – ten sam, który tak umiejętnie radził sobie na korcie z dwójgim przeciwników. „Mój brat Diego” – wyjaśnia kobieta.

Diego kiwa Simónowi głową, ale nie mówi ani słowa.

– Usiądźcie, proszę – mówi Simón do gości. – Może na łóżku, jeśli wam to nie przeszkadza... Nie kupiliśmy jeszcze mebli. Napijcie się wody? Nie?

Pani z *La Residencia* przysiadła na łóżku obok swojego brata; ściąga nerwowo rękawiczki, odchrząkuje.

– Czy może pan powtórzyć to, co mówił pan wczoraj? – pyta. – Proszę zacząć od początku, od samego początku.

– Gdybym zaczął od początku, tobyśmy tu siedzieli cały dzień – mówi Simón, starając się wypowiadać słowa z namysłem, starając się ponad wszystko sprawiać wrażenie człowieka zdrowego na umyśle. – Pozwólcie raczej, że powiem następującą rzecz: my, David i ja, przybyliśmy tutaj, jak wszyscy inni, w imię nowego życia, nowego początku. To, czego chcę dla Davida i czego chce sam David, to normalne życie – takie jakie mają inne dzieci. Ale rzecz jasna, żeby żyć normalnym życiem, chłopiec musi mieć matkę, musi, by tak rzec, narodzić się z matki. Mam rację, prawda? – pyta, zwracając się ku chłopcu. – Tego właśnie chcesz. Chcesz mieć swoją całkiem własną matkę.

Chłopiec potakuje z ożywieniem.

– Byłem zawsze pewien – nie pytajcie dlaczego – że rozpoznam matkę Davida, kiedy ją zobaczę; i teraz, gdy panią spotkałem, wiem, że przeczucie mnie nie myliło. Nie przez przypadek trafiliśmy do *La Residencia*. Musiała nas prowadzić jakaś ręka.

To Diego, widzi Simón, będzie stanowić twardy orzech do zgryzienia. Właśnie on, a nie kobieta, której imienia nie zna i nie chce o nie pytać. Nie byłoby jej przecież tutaj, gdyby nie była gotowa do pertraktacji.

– Jakaś niewidzialna ręka – powtarza. – Naprawdę.

Diego świdruje go wzrokiem. „Kłamca!” – mówi jego spojrzenie.

Simón bierze głęboki oddech.

– Widzę, że ma pani wątpliwości. „Jakże to dziecko, którego nigdy w życiu nie widziałam na oczy, może być moje?” Błagam, niech pani odsunie wątpliwości na bok i zamiast tego posłucha, co mówi pani serce. Proszę spojrzeć na niego. Proszę spojrzeć na chłopca. Co podpowiada pani serce?

Młoda kobieta nie odpowiada, nie patrzy wcale na chłopca, ale na brata, jakby mówiła: „Widzisz? Jest tak, jak ci opowiadałam. Posłuchaj tej jego niewiarygodnej, szalonej propozycji! Co mam zrobić?”.

Brat mówi ściszym głosem:

– Możemy tu gdzieś porozmawiać na osobności, ty i ja?

– Jasne. Wyjdźmy na zewnątrz.

Prowadzi Diega schodami w dół, przez podwórze i trawnik, na ławkę w cieniu drzewa.

Diego opiera nogę na ławce i pochyla się nad Simónem:

– Po pierwsze, kim jesteś i czemu uganiaś się za moją siostrą?

– Kim jestem, to nie ma znaczenia. Nikim ważnym. Kimś w rodzaju sługi. Opiekuję się chłopcem. I nie uganiam się za twoją siostrą. Uganiam się za matką tego dziecka. A to jest różnica.

– Kim jest dziecko? Skąd je wziąłeś? To twój wnuk? Gdzie są jego rodzice?

– Nie jest ani moim wnukiem, ani synem. Zetknęliśmy się przez przypadek na statku, kiedy on zgubił pewien dokument, który miał z sobą. Ale dlaczego to wszystko miałyby mieć jakieś znaczenie? Przybyliśmy tutaj wszyscy – ty, ja, twoja siostra, chłopiec – wyprani do czysta z przeszłości. Tak się składa, że chłopiec jest pod moją opieką. Nie jest to może los, który sam wybrałem, ale przyjmuję go. Z czasem mały nabrał do mnie zaufania. Zbliżyliśmy się. Ale nie mogę być dla niego wszystkim. Nie mogę być jego matką. Twoja siostra – przepraszam, nie znam jej imienia – jest jego matką, jego matką naturalną. Nie umiem wyjaśnić, jak to się dzieje, ale tak jest; po prostu. I ona wie o tym w głębi serca. Bo niby dlaczego, twoim zdaniem, jest dziś tutaj? Na powierzchni może się wydawać spokojna, ale pod powierzchnią, jak widzę, to ją ekscytuje, ten wielki dar, dar dziecka.

– Dzieci nie mają wstępu do *La Residencia*.

– Nikt się nie ośmieli rozłączyć matki z dzieckiem, bez względu na to, co mówią przepisy. Ani też twoja siostra nie musi mieszkać w *La Residencia*. Może przejąć moje mieszkanie. Należy do niej. Ja jej przekazuję. A sam znajdę sobie kwatery gdzie indziej.

Pochylając się do przodu, jakby chciał powiedzieć coś poufnego, Diego uderza go nagle otwartą dłonią w głowę. Simón, zszokowany, próbuje się zasłonić i wtedy dostaje drugi cios. Trzepnięcia nie są silne, ale wstrząsają nim.

– Czemu to robisz? – krzyczy, zrywając się z ławki.

– Nie jestem głupi! – syczy Diego. – Myślisz, że jestem durniem? – Znow wznosi rękę do ciosu.

– Ani przez chwilę nie myślałem tak o tobie. – Musi jakoś udobruchać tego młodego człowieka, który z pewnością jest zirytowany – któż by zresztą nie był? – tym dziwnym wtargnięciem w jego życie. – To niezwykła historia, przyznaję. Ale pomyśl o dziecku. To ono i jego potrzeby są tutaj najważniejsze.

Prośba nie odnosi skutku. Diego spogląda równie wojowniczo jak przedtem. Simón sięga po ostatni atut.

– Słuchaj, Diego – mówi. – Zajrzyj w swoje serce! Jeśli jest tam życzliwość, to przecież nie będziesz bronił dziecku dostępu do matki!

– Nie tobie wątpić w moją życzliwość – odpowiada Diego.

– Dowiedz jej więc! Wróć ze mną i pokaż temu dziecku, do jak wielkiej życzliwości jesteś zdolny. Chodź! – bierze Diega za ramię.

Wita ich dziwna scena. Siostra Diega klęczy na łóżku tyłem do nich, z zadartą sukienką, ukazując pełne, ciężkie uda, między którymi leży na plecach chłopiec.

– Gdzie jest pajaczek, gdzie jest pajaczek...? – zawodzi wysokim głosem kobieta. Jej palce przesuwają się po piersi chłopca w stronę jego paska od spodni; pod wpływem łaskoczącego dotyku dziecko zwija się ze śmiechu.

– Jesteśmy z powrotem – oznajmia głośno Simón.

Kobieta schodzi z łóżka; jest czerwona na twarzy.

– Inés i ja bawimy się w taką grę – mówi chłopiec.

Inés! A więc tak brzmi jej imię! A w imieniu zawiera się prawda!

– Inés! – brat kiwa bezceremonialnie na kobietę.

Obciągając sukienkę, idzie za nim. Z korytarza dobiegają wściekłe szepty.

Inés wkracza z powrotem do pokoju, za nią brat.

– Chcemy, żebyś jeszcze raz wszystko opowiedział – mówi ona.

– Żebym powtórzył moją propozycję?

– Tak.

– Proszę bardzo. Proponuję, żebyś została matką Davida. Zrzekam się wszelkich praw do niego (on ma do mnie prawo, ale to już inna sprawa). Żeby to potwierdzić, podpiszę każdy dokument, jaki mi przedłożycie. Ty i on możecie mieszkać razem jak matka i syn. Może to nastąpić tak szybko, jak tylko chcesz.

Diego parska z irytacją.

– To wszystko nie ma sensu! – krzyczy. – Nie możesz być matką tego chłopca, bo on już ma matkę, tę, która go urodziła! Bez zgody matki nie możesz go adoptować. Posłuchaj mnie!

Simón wymienia w milczeniu spojrzenie z Inés.

– Chcę go – mówi kobieta, zwracając się nie do Simóna, lecz do brata. – Chcę go – powtarza. – Ale nie możemy zostać w *La Residencia*.

– Jak już mówiłem twojemu bratu, możesz zamieszkać tutaj. I to nawet dzisiaj. Ja się od razu wyprowadzę. To będzie twój nowy dom.

– Nie chcę, żebyś odchodził – mówi chłopiec.

– Nie odejdę daleko, mój chłopcze. Zamieszkać z Eleną i Fidelem. Ty i twoja matka będziecie mogli nas odwiedzać, kiedy tylko zechcecie.

– Chcę, żebyś tu został – mówi chłopiec.

– To bardzo ładnie z twojej strony, ale nie mogę wchodzić pomiędzy ciebie i twoją matkę. Będziecie rodziną. Ja nie mogę być częścią tej rodziny. Ale będę pomagał; służył i pomagał. Przyrzekam. – Zwraca się do Inés. – Umowa stoi?

– Tak. – Teraz, gdy podjęła już decyzję, Inés staje się bardzo władczą. – Wrócimy tu jutro. Przyprowadzimy z sobą naszego psa. Czy twoi sąsiedzi będą mieli coś przeciwko psu?

– Nie ośmielią się.

Gdy Inés i jej brat wracają następnego dnia rano, podłogi są już zamiecione, kafelki wyszorowane do czysta, pościel przebrana, rzeczy Simóna spakowane w węzełek i gotowe do zabrania.

Na czele kroczy Diego, niosąc na ramieniu wielką walizę. Rzuci ją na łóżko.

– Będzie tego więcej – obwieszcza ze złośliwym uśmiechem. I rzeczywiście: po chwili pojawia się kufer, jeszcze większy od walizy, oraz sterta pościeli zawierająca ogromną puchową pierzynę.

Simón nie zwleka z odejściem.

– Bądź grzeczny – mówi do chłopca. – On nie jada ogórków – informuje kobietę. – I zostawiaj mu włączone światło, jak idzie do łóżka; nie lubi zasypiać po ciemku.

Inés w żaden sposób nie potwierdza, że go usłyszała.

– Zimno tu – mówi, zacierając ręce. – Zawsze jest tak zimno?

– Kupię piecyk elektryczny. Przyniosę go jutro albo pojutrze.

Podaje Diegowi dłoń, którą tamten niechętnie ścisną. Potem zarzuca na ramię swój węzełek i nie oglądając się za siebie, wychodzi.

Powiedział, że zamieszka u Eleny, ale w rzeczywistości ma inny plan. Zmierza w stronę doków, opustoszałych ze względu na koniec tygodnia, i zostawia swoje rzeczy w małej

szopie, w której robotnicy portowi trzymają narzędzia. Potem wraca do Bloków i stuka do drzwi Eleny.

– Cześć – mówi – możemy chwilę pogadać?

Przy herbacie wyjaśnia jej nową sytuację.

– Jestem pewien, że teraz, pod opieką matki, David rozkwitnie. To, że wychowywałem go sam, nie służyło mu. Był pod zbyt wielką presją, że on też musi stać się małym mężczyzną. A dziecko powinno mieć dzieciństwo, nie uważasz?

– Nie wierzę własnym uszom – odpowiada Elena. – Dziecko to nie kurczak, którego można wepchnąć pod skrzydło obcej kwoce, żeby go wychowywała. Jak mogłeś oddać Davida w ręce kogoś, kogo wcześniej nie widziałeś na oczy, w ręce jakiejś baby, która prawdopodobnie uległa kaprynowi, a przed upływem tygodnia przestanie się interesować dzieckiem i będzie chciała je oddać?

– Proszę cię, Eleno, nie wydawaj sądów o Inés, zanim jej nie poznasz. Ona nie uległa kaprynowi; przeciwnie, uważam, że działa pod wpływem siły potężniejszej niż ona sama. Liczę na to, że nam pomożesz. Inés znalazła się na nieznanym terytorium; nie ma doświadczenia jako matka.

– Nie wydaję sądów o tej twojej Inés. Jeśli poprosi o pomoc, to jej nie odmówię. Ale ona nie jest matką twojego chłopca i powinieneś przestać ją tak nazywać.

– Eleno, ona jest jego matką. Przybyłem do tego kraju, nie mając prawie niczego, z wyjątkiem jednego niewzruszonego przekonania: że rozpoznam matkę chłopca, gdy tylko ją zobaczę. I w chwili kiedy ujrzałem Inés, wiedziałem, że to ona.

– Kierowałeś się intuicją?

– Czymś więcej niż intuicją. Przekonaniem.

– Przekonanie, intuicja, złudzenie – co za różnica, skoro nie da się sprawdzić? Nie przyszło ci do głowy, że gdybyśmy wszyscy kierowali się intuicją, w świecie zapanowałby chaos?

– Nie widzę, dlaczego miałyby się tak stać. A poza tym odrobina chaosu od czasu do czasu nie zaszkodzi, skoro wynikają z tego dobre rzeczy.

Elena wzrusza ramionami.

– Nie chcę się kłócić. Twój syn nie przyszedł wczoraj na lekcję. Nie pierwszy zresztą raz. Jeśli zamierza zrezygnować z muzyki, powiedz mi o tym.

– Ja już o tym nie decyduję. I powtórzę jeszcze raz: to nie jest mój syn; nie jestem jego ojcem.

– Naprawdę? Wciąż temu zaprzeczasz, ale czasem się zastanawiam, czy aby... No nic, mniejsza o to. Gdzie spędzasz dzisiejszą noc? Na łonie swojej nowej rodziny?

– Nie.

– Chcesz spać tutaj?

Simón wstaje od stołu.

– Dziękuję, ale mam inne plany.

W sumie, choć gnieźdzące się w rynnie gołębie nieustannie drapia, szeleszczą i gruchają, śpi tej nocy całkiem nieźle – na posłaniu z worków, w swojej małej kryjówce. Nie je śniadania, ale ma siłę pracować cały dzień i u jego schyłku czuje się dobrze – choć trochę eterycznie, jak duch.

Álvaro pyta o Davida, a on, Simón, jest tak wzruszony troską brygadzysty, iż przez chwilę zastanawia się, czyby mu nie powiedzieć dobrej nowiny – że znalazła się matka chłopca. Potem jednak, mając w pamięci reakcję Eleny na tę samą nowinę, powstrzymuje się i odpowiada kłamstwem: David pojechał ze swoją nauczycielką na wielki konkurs muzyczny.

– Konkurs muzyczny – mówi z niedowierzaniem Álvaro. – A co to takiego i gdzie się odbywa?

– Nie mam pojęcia – odpowiada Simón i zmienia temat.



„Byłoby szkoda – myśli – gdyby chłopiec miał stracić kontakt z Álvarem i nigdy już nie zobaczyć swojego przyjaciela El Reya, konia pociągowego”. Ma nadzieję, że Inés, gdy już umocni się więź między nią a chłopcem, pozwoli Davidowi odwiedzać doki. Przeszłość spowija tak gęsta mgła niepamięci, że Simón nie jest pewien, czy jego wspomnienia są prawdziwymi wspomnieniami, czy tylko historiami, które sam wymyśla. Wie jednak, że byłby przeszczęśliwy, gdyby jemu samemu, kiedy był chłopcem, pozwalano wyruszać rano do pracy w towarzystwie dorosłych mężczyzn i spędzać cały dzień na załadowywaniu i rozładowywaniu statków. Jego zdaniem pewna dawka rzeczywistości nie może zaszkodzić dziecku – dopóki nie jest zbyt gwałtowna ani zbyt duża.

Zamierzał wstąpić do *Naranjas* po wiktuały, ale za późno wyszedł; kiedy dociera na miejsce, sklep jest już zamknięty. Głodny, a także samotny, raz jeszcze stuka do drzwi Eleny. Otwiera mu ubrany w piżamę Fidel.

– Cześć, Fidel – mówi Simón – mogę wejść?

Elena siedzi przy stole, zajęta szyciem. Nie wita go, nie podnosi oczu znad roboty.

– Cześć – mówi mężczyzna. – Coś nie w porządku? Coś się stało?

Kobieta zaprzecza ruchem głowy.

– David już tutaj nie przychodzi – odzywa się Fidel. – Ta nowa pani mu zakazuje.

– Ta nowa pani – dodaje Elena – oznajmiła, że twojemu synowi nie wolno bawić się z Fidelem.

– Ale dlaczego?

Wzruszenie ramion.

– Daj jej czas, żeby okrzepla – mówi Simón. – Bycie matką to dla niej coś nowego. Na pewno z początku będzie trochę nieprzewidywalna.

– Nieprzewidywalna?

– Nieprzewidywalna w swoich sądach. Nadmiernie ostrożna.

– Jak wtedy gdy zabrania Davidowi bawić się z przyjaciółmi?

– Ona nie zna ciebie ani Fidela. Kiedy was pozna, zobaczy, jaki macie dobry wpływ na chłopca.

– A jak sprawisz, że nas pozna?

– Ty i ona na pewno nieraz na siebie wpadniecie. Jesteście przecież bliskimi sąsiadkami.

– Zobaczymy. Jadłeś coś?

– Nie. Zamknęli mi sklep przed nosem.

– Mówisz o *Naranjas*. Oni w poniedziałki nie otwierają; powinnam ci była powiedzieć. Mogę cię poczęstować miską zupy, jeśli nie masz nic przeciwko powtórzeniu wczorajszego wieczoru. Gdzie teraz mieszkasz?

– Mam pokój niedaleko doków. Trochę prymitywny, ale na razie mi wystarcza.

Elena podgrzewa zupę i kroi dla Simóna chleb. On stara się jeść powoli, choć jest głodny jak wilk.

– Niestety, nie możesz tu zostać na noc – mówi kobieta. – Wiesz dlaczego.

– Oczywiście. Nie proszę o to. Moja nowa kwatera jest bardzo wygodna.

– Wyrzucili cię, co? Z twojego domu. Taka jest prawda, widzę to. Biedaku. Odciepli cię od chłopca, którego tak kochasz.

Simón wstaje z miejsca.

– Tak musi być – mówi. – Taka jest natura rzeczy. Dziękuję za kolację.

– Jutro też przyjdź. Nakarmię cię. Tyle przynajmniej mogę zrobić. Nakarmię cię i pocieszyć. Chociaż myślę, że popełniłeś błąd.

Mężczyzna wychodzi. Powinien iść prosto do swojego nowego domu w dokach. Waha się jednak, a potem przechodzi na drugą stronę podwórza, wspina się po schodach i lekko stuka

do drzwi swego dawnego mieszkania. Przez szczelinę pod drzwiami sączy się światło: widocznie Inés jeszcze nie śpi. Po długiej chwili stuka ponownie.

– Inés? – szepcze.

Z drugiej strony drzwi dobiega jej głos:

– Kto tam?

– Simón. Mogę wejść?

– Czego chcesz?

– Mogę go zobaczyć? Tylko przez chwilę.

– On śpi.

– Nie zbudzę go. Chcę po prostu na niego popatrzeć. Cisza. Naciska kławkę. Drzwi są zamknięte. Chwilę później światło gaśnie.

## 11

Zamieszkując w dokach, prawdopodobnie narusza jakieś przepisy. Niewiele go to obchodzi. Nie chce jednak, żeby o sprawie dowiedział się Álvaro, który w dobroci swego serca czułby się pewnie zobowiązany przyjąć go pod własny dach. Toteż każdego ranka, przed opuszczeniem szopy na narzędzia, starannie układa swoje rzeczy na krokwiach, gdzie są niewidoczne.

Problemem jest czystość osobista. Chodzi na salę gimnastyczną we Wschodnich Blokach, żeby wziąć prysznic; ubrania pierze ręcznie i rozwiesza do wysuszenia na osiedlowych sznurach. Robi to bez większych skrępowań – w końcu wciąż znajduje się na liście mieszkańców; z roztropności jednak, żeby nie wpaść na Inés, odwiedza osiedle tylko po zapadnięciu zmroku.

Mija tydzień, w ciągu którego wszystkie siły wkłada w pracę. W piątek, z kieszeniami pełnymi pieniędzy, stuka do drzwi swojego dawnego mieszkania.

Drzwi otwiera uśmiechnięta Inés. Na widok Simóna mina jej rzednie.

– O, to ty – mówi. – Właśnie wychodzimy.

Zza jej pleców wyłania się chłopiec. W jego wyglądzie jest coś dziwnego. Nie tylko dlatego, że ma na sobie nową, białą koszulę (w istocie raczej bluzkę niż koszulę – z falbankami na gorsie i wyłożoną na spodnie), ale dlatego, że stoi, trzymając się spódnicy Inés, i patrzy szeroko rozwartymi oczami na Simóna, nie odpowiadając na jego powitanie.

Czy coś się stało? Czy oddanie go w ręce tej kobiety było katastrofalną pomyłką? I dlaczego godzi się na tę dziwną dziewczęcą bluzkę – on, który był tak bardzo przywiązany do swojego stroju małego mężczyzny: kurtki, czapki i sznurowanych trzewików? Bo trzewiki też znikły, zastąpione niebieskimi półbutami, z paskami zamiast sznurowadeł i mosiężnymi guzikami po bokach.

– To mam szczęście, że was jeszcze złapałem – mówi Simón, starając się zachować lekki ton. – Przyniosłem obiecany grzejnik elektryczny.

Inés patrzy z powątpiewaniem na ofiarowany jej mały, jednożeberkowy grzejnik.

– W *La Residencia* w każdym apartamencie jest kominek – mówi. – Co wieczór posługacz przynosi polana i rozpala ogień. – Zamyśla się na chwilę. – To jest urocze.

– Przykro mi. To, że musisz mieszkać w Blokach, na pewno cię jakoś degraduje. – Zwraca się do chłopca: – Czyli wybieracie się gdzieś na wieczór? A dokąd?

Chłopiec nie odpowiada wprost, ale rzuca spojrzenie na swoją nową matkę, jakby mówił: „Ty mu powiedz”.

– Wybieramy się na weekend do *La Residencia* – wyjaśnia Inés. Jakby na potwierdzenie jej słów w korytarzu zjawia się Diego ubrany w biały strój do tenisa.

– Miło słyszeć – mówi Simón. – Myślałem, że dzieci nie mają wstępu do rezydencji; że przepis tego zakazuje.

– Bo zakazuje – odpowiada Diego. – Ale obsługa ma wolny weekend. Nikt nie pilnuje.

– Nie pilnuje – powtarza jak echo Inés.

– No cóż, tak tylko wpadłem, żeby zobaczyć, czy wszystko w porządku, i ewentualnie dorzucić się do zakupów. Proszę: to mój skromny wkład.

Inés bez słowa podziękowania przyjmuje pieniądze.

– U nas wszystko dobrze – mówi. Mocno przyciska chłopca do siebie. – Zjedliśmy suty obiad, potem drzemka, a teraz jedziemy samochodem po Bolívara; jutro rano będziemy grać w tenisa i pływać.

– Fascynujące – mówi Simón. – I mamy też śliczną nową koszulę, jak widzę.

Chłopiec nie odpowiada. Z kciukiem w ustach, nie przestaje wpatrywać się w Simóna szeroko rozwartymi oczami. Simón ma coraz silniejsze przeświadczenie, że coś jest nie tak.

– Kto to jest ten Bolívar? – pyta.

Po raz pierwszy chłopiec zabiera głos.

– Bolívar to poczwarek.

– Owczarek – poprawia Inés. – Bolívar to nasz pies, alzatczyk.

– Zgadza się, pamiętam Bolívara – mówi Simón. – Był wtedy z wami na korcie tenisowym, prawda? Nie chciałbym wyjść na panikarza, Inés, ale owczarki alzackie nie mają zbyt dobrej opinii, jeśli chodzi o kontakt z dziećmi. Mam nadzieję, że zachowasz należytą ostrożność.

– Bolívar jest najłagodniejszym psem na świecie.

Simón wie, że Inés go nie lubi. Do tej chwili sądził, że to z powodu długu, jaki ma wobec niego. Ale nie, ta jej niechęć jest czymś bardziej osobistym i samorodnym, a przez to trudnym do wytłumaczenia. Dziecko nauczy się patrzeć na niego jak na wroga – wroga ich matczyno-synowskiego szczęścia.

– Baw się dobrze – mówi do chłopca. – Może wpadnę znów w poniedziałek. Wtedy mi wszystko opowiesz. Zgoda?

Chłopiec kiwa głową.

– Do zobaczenia – mówi Simón.

– Do zobaczenia – odpowiada Inés.

Diego milczy głucho.

Simón wlecze się z powrotem do doków, czując, że coś się w nim wypaliło, czując się jak starzec. Miał jedno wielkie zadanie do spełnienia, i to zadanie jest wykonane. Chłopiec został przekazany matce. On, Simón, niczym jeden z tych smętnych owadów, których wyłączna rola polega na przekazaniu nasienia samicy, właściwie mógłby teraz zmarnieć i umrzeć. Nie ma wokół czego budować życia.

Brakuje mu chłopca. Poranne ocknięcie się ze snu, z sobotnio-niedzielną pustką w perspektywie, jest jak przebudzenie po operacji, kiedy człowiek widzi, że odjęto mu rękę czy nogę – a może nawet serce. Spędza dzień, łażąc bez celu, zabijając czas. Włóczy się po pustych dokach, przemierza tam i z powrotem park, gdzie hordy dzieci grają w piłkę albo puszczają latawce.

Wciąż jeszcze czuje w dłoni dotknięcie spoconej rączki dziecka. Nie wie, czy chłopiec kochał go, czy nie, ale na pewno potrzebował go i ufał mu. Dziecko należy do matki: ani przez chwilę temu nie zaprzeczał. Co jednak, jeśli matka nie jest dobrą matką? Co, jeśli Elena ma rację? Jakież to osobiste potrzeby sprawiły, że ta Inés – o której przeszłości nic a nic nie wie – skwapliwie skorzystała z możliwości posiadania własnego dziecka? Być może jest jakaś głęboka mądrość w prawie natury, zgodnie z którym zarodek, ten przyszły byt, zanim wejdzie w świat jako odrębna żywa istota, musi przez pewien czas dojrzewać w łonie matki. Być może – podobnie jak w przypadku długich tygodni zatopienia w sobie, które ptasia matka spędza, wysiadując jaja – okres odosobnienia i pochłonięcia własnym wnętrzem jest niezbędny nie tylko dla żyjątko, które ma stać się ludzką istotą, lecz również dla kobiety, która z dziewicy zmienia się w matkę.

Dzień jakoś mija. Simón myśli o odwiedzeniu Eleny, ale w ostatniej chwili zmienia zdanie, niezdolny do stawienia czoła natarczywym pytaniom, które czekają tam na niego. Nic nie je, nie ma apetytu. Układa się na swoim legowisku z worków z głową pełną niespokojnych myśli i zmartwień.

Następnego dnia już o świcie czeka na przystanku. Mija godzina, zanim przyjeżdża pierwszy autobus. Od pętli idzie wiodącą w górę ścieżką, aż dociera do *La Residencia*, do kortu tenisowego. Kort jest pusty. Simón sadowi się w krzakach i czeka.

O dziesiątej pojawia się w białym stroju drugi z braci – ten, którego Simón nie miał jeszcze przyjemności poznać – i zaczyna rozpinać siatkę. Nie zwraca uwagi na siedzącego o trzydzieści kroków dalej nieznanego o pospolitym wyglądzie. Po chwili na kort wkracza reszta grupy.

Chłopiec natychmiast spostrzega Simóna. Biegnie niezgrabnie przez kort na swoich iksowatych nogach.

– Simón! Będziemy grać w tenisa! – woła. – Chcesz też zagrać?

Mężczyzna chwytając palce chłopca przez ogrodzenie.

– Kiepski ze mnie tenisista – mówi. – Wolę sobie popatrzeć. Dobrze ci tutaj? Masz co jeść?

Chłopiec z ożywieniem kiwa głową.

– Na śniadanie piłem herbatę. Inés mówi, że jestem już wystarczająco duży, żeby pić herbatę. – Odwraca się i krzyczy: – Prawda, Inés, że mogę pić herbatę? – po czym bez żadnej przerwy trąkocze dalej: – I dałem jeść Bolívarowi, i Inés powiedziała, że po tenisie mogę z nim pójść na spacer.

– Z alzaczykiem Bolívarem? Bądź z nim ostrożny. Nie drażnij go.

– Alzaczyki to najlepsze psy. Jak złapią złodzieja, to już się nie wyrwie. Chciałbyś zobaczyć, jak gram w tenisa? Nie idzie mi jeszcze najlepiej, muszę najpierw poćwiczyć. – Mówiąc to, obraca się na pięcie i pędzi z powrotem tam, gdzie Inés naradza się ze swoimi braćmi. – Możemy teraz potrenować?

Wystroili go w białe szorty, a ponieważ ma na sobie białą bluzkę, cały jest ubrany na biało, jeśli nie liczyć niebieskich półbutów z paskami. Ale rakieta tenisowa, którą mu dają, jest o wiele za duża: nawet obiema rękami nie jest w stanie wykonać nią zamachu.

Owczarek Bolívar wślizguje się chyłkiem na kort i układa w cieniu. Bolívar jest samcem, z szerokim kłębem i czarną krezą wokół szyi. Z wyglądu bardzo przypomina wilka.

– Chodź tu, wielkoludzie! – krzyczy Diego. Pochyla się nad chłopcem i obejmuje dłońmi jego ściskające rakiety ręce. Drugi brat rzuca piłkę. Tamci wspólnie wykonują zamach; trafiają czysto. Brat rzuca następną piłkę. Znowu ją uderzają. Diego cofa się o kilka kroków.

– Niczego się ode mnie nie nauczy – woła do siostry. – On ma wrodzony talent.

Brat rzuca trzecią piłkę. Chłopiec robi zamach rakiety i chybia, nieomal przewracając się z wysiłku.

– Grajcie we dwóch – krzyczy Inés do braci. – David i ja pobawimy się w coś innego.

Obaj bracia z niewymuszoną łatwością przebijają piłkę tam i z powrotem nad siatką, podczas gdy Inés i chłopiec znikają za małym drewnianym pawilonem. On, *el viejo*, milczący obserwator, jest po prostu ignorowany. Trudno wyraźniej dać do zrozumienia, że nikt go tutaj nie chce.

## 12

Poprzysiągł sobie, że nikomu nie będzie opowiadał o swoich niedolach, ale kiedy Álvaro pyta po raz wtóry, co się stało z chłopcem („Brakuje mi go – wszystkim nam go brakuje”), wyrzuca z siebie całą historię.

– Wyruszyliśmy na poszukiwanie jego matki i dasz wiarę, znaleźliśmy ją! – mówi. – Teraz oni oboje znów się połączyli i są razem szczęśliwi. Niestety, taki rodzaj życia, jaki Inés przewiduje dla chłopca, nie uwzględnia włączenia się po dokach z robotnikami. Uwzględnia za to ładne ubrania, dobre maniery i regularne posiłki – co zresztą samo w sobie nie jest takie złe.

Oczywiście, że nie jest złe. Jakim prawem miałby się skarżyć?

– To musiało spaść na ciebie jak cios – zauważa Álvaro. – Ten mały jest niezwykły. Wszyscy to widzą. No i byliście z sobą zżyci.

– Tak, byliśmy zżyci. Ale to nie jest tak, że nigdy go już nie zobaczę. Po prostu jego matka czuje, że więź między nimi dwojgiem łatwiej się odbuduje, jeśli ja sam na jakiś czas zniknę ze sceny. Co też nie jest takie złe.

– Zgoda – mówi Álvaro. – Ale pomija potrzeby serca, prawda?

„Potrzeby serca”: kto by pomyślał, że Álvaro potrafi powiedzieć coś takiego. Silny, uczciwy człowiek. Kolega. Dlaczego nie miałby otworzyć serca przed Álvarem? Ale nie:

– Nie mam prawa żądać czegokolwiek – słyszy swój głos.

Hipokryta!

– Poza tym dobro dziecka zawsze jest ważniejsze niż dobro dorosłych. Czy nie tak mówi prawo? Dobro dziecka jako nadziei na przyszłość.

Álvaro patrzy na niego sceptycznie.

– Nigdy nie słyszałem o takim prawie.

– A prawo natury? Krew jest gęściejsza od wody. Dziecko należy do matki. Zwłaszcza małe dziecko. W porównaniu z tym moje pretensje są abstrakcyjne, sztuczne.

– Kochasz go. On kocha ciebie. Nie ma w tym nic sztucznego. To raczej prawo jest sztuczne. Chłopiec powinien być z tobą. Potrzebuje cię.

– Miło z twojej strony, że tak mówisz, Álvaro, ale czy on naprawdę mnie potrzebuje? Może prawda jest taka, że to ja potrzebuję jego? Może mam w nim większe oparcie aniżeli on we mnie? Któż zresztą wie, jak wybieramy tych, których kochamy? To wielka tajemnica.

Tego popołudnia odwiedza go niespodziewany gość – mały Fidel, który przyjeżdża do doków na rowerze, z kartką od Eleny: „Czekamy na Ciebie. Mam nadzieję, że nie spotkało Cię nic złego. Może przyszedłbyś do nas dziś wieczorem na kolację?”.

– Powiedz mamie: „Dziękuję, będę” – mówi do Fidela.

– To twoja praca? – pyta chłopak.

– Tak, tym się właśnie zajmuję. Pomagam ładować i rozładowywać takie statki jak ten. Przykro mi, że nie mogę cię zabrać na pokład, ale to trochę niebezpieczne. Może kiedyś, jak będziesz starszy.

– To jest galeon?

– Nie, nie ma żagli, więc nie można go uznać za galeon. Taki statek nazywamy parowcem węglowym, ponieważ węgiel, spalając się, wytwarza w kotłach parę, a ta wprawia w ruch turbiny, które napędzają statek. Jutro moich kolegów czeka załadunek węgla na rejs powrotny. Nie tutaj, ale na nabrzeżu numer 10. Nie będę w tym uczestniczył. Cieszę się, bo to parszywa robota.

– Dlaczego?

– Przy ładowaniu węgla człowiek cały jest pokryty czarnym pyłem, łącznie z włosami. A poza tym węgiel jest bardzo ciężki do dźwigania.

– Dlaczego Davidowi nie wolno się ze mną bawić?

– To nie jest tak, że mu nie wolno, Fidelu. Po prostu jego matka chce z nim trochę pobyc. Nie widziała go przez bardzo długi czas.

– Mówiłeś chyba, że nigdy go nie widziała.

– Tak mi się powiedziało. Widziała go w marzeniach. Wiedziała, że przyjdzie. Czekala na niego. Teraz, kiedy już przyszedł, jest zachwycona. Raduje się całym sercem.

Chłopiec milczy.

– Fidel, muszę już wracać do pracy. Zobaczymy się u was dziś wieczorem.

– Czy ona ma na imię Inés?

– Matka Davida? Tak, ma na imię Inés.

– Nie lubię jej. Ona ma psa.

– Nie znasz jej jeszcze. Jak ją poznasz, to ją polubisz.

– Nie polubię. A ten pies jest dziki. Boję się go.

– Widziałem tego psa. Nazywa się Bolívar i rzeczywiście powinieneś trzymać się od niego z daleka. To alzaczyk, więc bywa nieprzewidywalny. Dziwię się, że Inés sprowadziła taką bestię do Bloków.

– On gryzie?

– Może ugryźć.

– Gdzie właściwie mieszkasz – pyta Elena – teraz, kiedy porzuciłeś swoją przytulną garsonierę?

– Już ci mówiłem: mam pokój niedaleko doków.

– Tak, ale gdzie dokładnie? W pensjonacie?

– Nie. Nie ma znaczenia, gdzie i jaki to pokój. Dla moich celów jest w sam raz.

– Są tam jakieś urządzenia do gotowania?

– Nie potrzebuję urządzeń do gotowania. Nawet gdyby były, i tak bym ich nie używał.

– Czyli żyjesz o chlebie i wodzie. Myślałam, że chleb i woda już ci obrzydły.

– Chleb to podstawa życia. Kto ma chleb, ten ma wszystko. Eleno, przestań już mnie zamęczać pytaniami. Potrafię świetnie sam o siebie zadbać.

– Akurat. Już to widzę. Czy ludzie z Ośrodka dla Przesiedleńców nie mogą ci dać nowego mieszkania?

– W Ośrodku myślą, że nadal mieszkam w Blokach. Nie mają zamiaru przyznawać mi kolejnego mieszkania.

– A Inés? Czy nie mówiłeś, że Inés ma kilka pokoi w *La Residencia*? Dlaczego ona i dziecko nie mogą tam mieszkać?

– Bo dzieci nie mają wstępu do *La Residencia*. *La Residencia* jest rodzajem domu wypoczynkowego, jeśli dobrze rozumiem.

– Znam to miejsce. Byłam tam. Wiesz, że ona wprowadziła się do Bloków razem z psem? Można od biedy trzymać w mieszkaniu małego pieska, ale to jest wielkie, grube wilczyisko.

– Nie wilczyisko, tylko owczarek alzacki. Owszem, mnie też denerwuje. Mówiłem Davidowi, żeby uważał. Ostrzegłem też Fidela.

- Za nic nie pozwolę, żeby Fidel się do niego zbliżał. Jesteś pewien, że dobrze zrobiłeś, powierzając dziecko takiej kobiecie?
- Kobiecie z psem?
- Bezdzietnej kobiecie po trzydziestce. Kobiecie, która spędza czas, uprawiając sporty z mężczyznami. Kobiecie, która hoduje psy.
- Inés gra w tenisa. Mnóstwo kobiet gra w tenisa. To przyjemna gra. Pozwala zachować dobrą formę. I ma tylko jednego psa.
- Mówiła ci coś o swoim pochodzeniu, swojej przeszłości?
- Nie. Nie pytałem jej.
- Moim zdaniem jesteś niespełna rozumu, oddając dziecko nieznaomej, o której wiesz tylko tyle, że ma za sobą wątpliwą przeszłość.
- Pleciesz głupstwa, Eleno. Inés nie ma za sobą żadnej znaczącej przeszłości. Nikt z nas nie ma. Wszyscy zaczynamy tutaj od nowa. Zaczynamy jako czyste, niezapisane tablice. A Inés nie jest nieznaomą. Rozpoznałem ją od pierwszego spojrzenia, co znaczy, że musiałem mieć jakiś rodzaj wiedzy uprzedniej.
- Przybyłeś tutaj bez wspomnień, z czystym kontem, a jednak twierdzisz, że rozpoznajesz twarze z przeszłości. To nie ma sensu.
- Zgoda: nie mam wspomnień. Ale obrazy wciąż istnieją, cienie obrazów. Nie umiem wyjaśnić, jak to się dzieje. Istnieje też coś głębszego, co nazywam pamięcią posiadania pamięci. Rozpoznaję Inés nie z przeszłości, ale skądinąd. Jest tak, jakbym miał wpojony jej obraz. Ona nie budzi we mnie żadnych wątpliwości, żadnych zastrzeżeń. W każdym razie nie wątpię, że jest prawdziwą matką chłopca.
- A w co wątpisz?
- Mam tylko nadzieję, że będzie dla niego dobra.



We wspomnieniu Simóna ten dzień, w którym Elena przysłała po niego do doków swojego syna, wyznacza moment, kiedy on i ona – o których wcześniej myślał jako o dwóch statkach na niemal bezwietrznym oceanie, może i dryfujących, ale przeważnie ku sobie – zaczęli się od siebie oddalać. Wciąż jest wiele rzeczy, za które lubi Elenę – chociażby jej gotowość do wysłuchiwania jego narzekań. Ale umacnia się w nim przekonanie, że czegoś, co powinno być między nimi, brakuje. I jeśli Elena nie podziela tego przekonania, jeśli uważa, że wszystko w porządku, to widocznie nie ona jest tym czymś, czego brakuje w jego życiu.

Siedząc na ławce przed Wschodnimi Blokami, pisze kartkę do Inés.

„Od jakiegoś czasu przyjaźnię się z kobietą, która mieszka po drugiej stronie podwórza, w bloku C. Ma na imię Elena. Jej syn, Fidel, został najbliższym przyjacielem Davida i wywiera na niego pozytywny wpływ. Sama się przekonasz, że mały Fidel ma dobre serce.

David chodził do Eleny na lekcje muzyki. Spróbuj go namówić, żeby coś ci zaśpiewał. Śpiewa pięknie. Moim zdaniem powinien dalej chodzić na te lekcje, ale oczywiście decyzja należy do Ciebie.

David dobrze też żyje z moim brygadzystą z pracy, Álvarem, jeszcze jednym dobrym przyjacielem. Kiedy się ma dobrych przyjaciół, zachęca to człowieka, żeby sam także był dobry – tak mi się wydaje. Podążanie ścieżką dobroci – czyż nie tego oboje pragniemy dla Davida?

Jeśli jest coś, w czym mógłbym Ci pomóc – pisze na zakończenie – to tylko kiwnij palcem. Przez większość czasu jestem w dokach, na nabrzeżu numer 2. Fidel przyniesie wiadomość; David też zna drogę”.

Wrzuca kartkę do skrzynki na listy Inés. Nie oczekuje odpowiedzi i rzeczywiście jej nie dostaje. Nie ma jasnego wyobrażenia, jakiego rodzaju kobietą jest Inés. Czy taką, która – na przykład – gotowa jest przyjąć dobrze przemyślaną radę, czy też taką, którą irytuje, gdy obcy ludzie mówią jej, jak ma żyć, i która wiadomości od nich wyrzuca do śmieci? Czy ona w ogóle zagląda do skrzynki na listy?

W piwnicy bloku F, tego samego, w którym mieści się osiedlowa sala gimnastyczna, jest niewielka piekarnia, nazywana przez Simóna „Komisariatem”, czynna w dni powszednie od ósmej rano do południa. Oprócz chleba i innych wypieków sprzedają w niej po śmiesznie niskich cenach takie podstawowe produkty, jak cukier, sól, mąkę i olej do smażenia.

Simón kupuje w „Komisariacie” zapas puszkowanej zupy i wraca z tym do swojej kryjówki w dokach. Jego wieczorny posiłek – gdy przygotowuje go sam – składa się z chleba i zupy fasolowej na zimno. Powoli przyzwyczajają się do takiego mało urozmaiconego jedzenia.

Ponieważ większość mieszkańców Wschodnich Bloków korzysta z „Komisariatu”, Simón przypuszcza, że Inés też tam kupuje. Zastanawia się, czyby któregoś ranka nie zabawić dłużej w piekarni, w nadziei zobaczenia kobiety i chłopca; jednak w końcu porzuca ten pomysł. Byłoby to zbyt upokarzające, gdyby wpadła na niego przyczajonego za półkami i szpiegującego ją.

Nie chce się zmienić w upiora niezdolnego porzucić nawiedzanych przez siebie miejsc. Skłonny jest przyznać, że Inés tylko wtedy zdobędzie zaufanie chłopca, gdy przez jakiś czas będzie go miała wyłącznie dla siebie. Dreńczy go jednak uporczywa obawa, której nie umie się pozbyć: że dziecko może czuć się samotne i nieszczęśliwe, usychać z tęsknoty za nim. Nie może zapomnieć bezgłośnego zwątpienia, jakie dostrzegł w oczach chłopca podczas ostatnich odwiedzin. Chciałby go zobaczyć takiego, jaki był kiedyś, w czapce z daszkiem i czarnych trzewikach.

Od czasu do czasu ulega pokusie i krąży po obrzeżach Osiedla. Podczas jednej z takich wypraw widzi Inés ściągającą pranie ze sznura. Choć może wzrok go myli, kobieta wygląda na zmęczoną; zmęczoną i chyba smutną. Czyżby coś jej się źle układało?

Rozpoznaje na sznurze ubrania chłopca, łącznie z białą ozdobioną falbankami bluzką.

Podczas kolejnej – i, jak się okazuje, ostatniej – z tych potajemnych wizyt zauważa, jak cała rodzinna trójka: Inés, dziecko i pies, wyłania się z bloku i zmierza przez trawnik w stronę parku. Zdumiewa go, że chłopiec, ubrany w swoją szarą kurtkę, nie idzie sam, ale jedzie w wózku. Dlaczego pięciolatek wymaga wożenia w wózku? I dlaczego się na to zgadza?

Dogania ich w najbliższej części parku, gdzie drewniany mostek spaja brzegi zarośniętego sitowiem strumienia. „Inés!” – woła.

Inés zatrzymuje się i odwraca. Pies odwraca się również, nadstawiając uszu i naprężając smycz.

Simón podchodzi do nich, przywołując uśmiech na twarz.

– Co za spotkanie! Szedłem właśnie do sklepu, patrzę, a to ty. Jak się miewasz? – Po czym, nie czekając na jej odpowiedź, zwraca się do chłopca: – Cześć. Widzę, że się wybierasz na przejażdżkę. Jak młody książę.

Dziecko zatapia spojrzenie w jego oczach. Na Simóna spływa wielki spokój. Wszystko jest dobrze. Więź między nimi nie została zerwana. Ale kciuk znów jest w ustach. Niedobry objaw. Kciuk w ustach oznacza niepewność, oznacza zamęt w sercu.

– Idziemy na spacer – mówi Inés. – Potrzebujemy trochę powietrza. W mieszkaniu jest straszliwie duszno.

– Wiem – odpowiada Simón. – Jest źle zaprojektowane. Dzień i noc trzymam otwarte okno, żeby je przewietrzyć. To znaczy, trzymałem.

– Ja nie mogę tak robić. Nie chcę, żeby David się przeziębził.

– Och, on tak łatwo się nie przeziębia. To twardy gość – prawda, że taki jesteś?

Chłopiec potakuje. Kurtkę ma zapiętą po samą brodę, niewątpliwie jako zabezpieczenie przed roznoszonymi przez wiatr zarazkami.

Długie milczenie. Simón chciałby podejść bliżej, ale pies nadal czujnie nań spogląda.

– Skąd wzięliście ten – pokazuje ręką – ten pojazd?

– Ze składnicy rodzinnej.

– Składnicy rodzinnej?

– W śródmieściu jest składnica, w której można dostać różne rzeczy dla dzieci. Kupiliśmy mu też łóżeczko.

– Łóżeczko?

– Łóżeczko ze szczebelkami. Zęby w nocy nie wypadł.

– To dziwne. Odkąd pamiętam, sypiał w normalnym łóżku i nigdy z niego nie spadł.

Zanim jeszcze skończył zdanie, widzi, że popełnił błąd. Inés sznuruje usta, zawraca wózek i zamierza odejść, jednak smycz psa wplątuje się w kółka i trzeba ją wyplątać.

– Przepraszam – mówi Simón – nie chciałem się wtrącać.

Inés nie raczy odpowiedzieć.

Wracając potem myślą do tego zdarzenia, Simón zastanawia się, dlaczego tak jest, że nic nie czuje do Inés jako kobiety, nawet najbliższego pociągu, choć przecież trudno coś zarzucić jej urodzie. Czy to dlatego że od samego początku jest wobec niego taka wroga? Czy też

wydaje się nieatrakcyjna po prostu dlatego, że nie chce być atrakcyjna, nie chce się otworzyć? Może naprawdę jest, jak twierdzi Elena, dziewczicą, a w każdym razie typem dziewczicy? To, co on sam wie o dziewczicach, jest spowite mgłą zapomnienia. Czy aura dziewczictwa tłumi męskie pożądanie, czy – przeciwnie – zaostrza je? Myśli o Anie z Ośrodka dla Przesiedleńców – dziewczicy prawdziwie niezłomnej. Ana wydaje mu się atrakcyjna. Co takiego w niej jest, czego nie ma Inés? Czy może należałoby zapytać odwrotnie: co takiego ma Inés, czego brakuje Anie?

– Wpadłem wczoraj na Inés i małego Davida – opowiada Elenie. – Często ich widzisz?

– Spotykam ją koło Bloków. Nie rozmawiamy. Myślę, że niewiele ją łączy z mieszkańcami.

– Przypuszczam, że jak ktoś mieszkał w *La Residencia*, to trudno mu się przyzwyczaić do Bloków.

– To, że mieszkała w *La Residencia*, nie czyni ją lepszą od nas. Wszyscy przyszliśmy znikąd, zaczynaliśmy od niczego. To tylko kwestia szczęścia, że akurat tam wylądowała.

– Jak ona, twoim zdaniem, radzi sobie z macierzyństwem?

– Jest bardzo opiekuńcza wobec chłopca. Powiedziałabym, że nadopiekuńcza. Obserwuje go jak jastrząb, nie pozwala mu bawić się z innymi dziećmi. Wiesz przecież. Fidel nie może tego zrozumieć. Czuje się zraniony.

– Przykro mi. Co jeszcze zauważyłaś?

– Często odwiedzają ją bracia. Mają auto – jeden z tych małych, czteromiejscowych samochodów ze składanym dachem, na który mówi się chyba kabriolet. Jeżdżą gdzieś wszyscy razem i wracają po zmroku.

– Pies też?

– Pies też. Chodzi wszędzie za Inés. Przyprawia mnie to o ciarki. Jest jak zwinięta sprężyna. Któregoś dnia kogoś zaatakuje. Modlę się, żeby to nie było dziecko. Czy nie można by jej przekonać, żeby mu zakładała kaganiec?

– Nie ma szans.

– To szaleństwo trzymać złego psa, kiedy ma się małe dziecko.

– Ten pies nie jest zły, Eleno, tylko trochę nieprzewidywalny. Nieprzewidywalny, ale wierny. I właśnie to jest chyba najważniejsze dla Inés. Wierność, królowa cnót.

– Królowa? Nie nazwałabym jej tak. Nazwałabym ją cnotą średniego rzędu, taką jak umiar. Czymś, czego oczekuje się od żołnierza. Dla mnie Inés sama jest trochę podobna do psa obronnego. Krąży wokół Davida, nie dopuszczając zagrożeń. Dlaczego, u licha, wybrałaś taką kobietę? Byłaś dla chłopca lepszym ojcem, niż ona jest matką.

– To nieprawda. Dziecko nie może się wychowywać bez matki. Czy sama nie mówiłaś, że dziecko zawdzięcza matce swoją substancję, a ojciec daje tylko idee? Z chwilą gdy idea zostanie przekazana, ojciec staje się zbędny. A w tym przypadku ja nawet nie jestem ojcem.

– Dziecko potrzebuje matczynego łona, żeby przyjść na świat. Kiedy już opuści łono, matka traci swoją moc jako dawczyni życia, podobnie jak ojciec. Od tej pory dziecko potrzebuje miłości i opieki, które może mu zapewnić zarówno mężczyzna, jak i kobieta. Twoja Inés nic nie wie o miłości i opiece. Jest jak dziewczynka z lalką – wyjątkowo zazdrosna i samolubna dziewczynka, która nikomu innemu nie pozwala dotknąć swojej zabawki.

– Bzdura. Jesteś gotowa potępić Inés, choć prawie jej nie znasz.

– A ty? Jak dobrze ją znałeś, zanim powierzyłeś jej swój skarb? Sprawdzenie jej kwalifikacji jako matki nie było konieczne, mówiłaś; zawierzyłeś intuicji. Ufałeś, że rozpoznasz prawdziwą matkę w mgnieniu oka, gdy tylko spocznie na niej twój wzrok. Intuicja: jak można na jej podstawie przesądzać o losie dziecka?

– Rozmawialiśmy już o tym wcześniej, Eleno. Co jest złego we wrodzonej intuicji? Czemu innemu mielibyśmy ostatecznie zaufać?

– Zdrowemu rozsądkowi. Rozumowi. Każda rozsądna osoba ostrzegłaby cię, że trzydziestoletnia dziewica, przyzwyczajona do próżniaczego życia, odizolowana od prawdziwego świata, chroniona przez dwóch brutalnych braci, nie może być odpowiedzialną matką. Poza tym każda rozsądna osoba starałaby się dowiedzieć czegoś o tej Inés, zbadać jej przeszłość, ocenić jej charakter. Każda rozsądna osoba wyznaczyłaby okres próbny, żeby się upewnić, czy oni oboje, dziecko i jego opiekunka, dobrze się dogadują.

Simón kręci głową.

– Wciąż nie rozumiesz. Moim zadaniem było doprowadzenie chłopca do matki. Nie jakiegokolwiek matki, nie kobiety, która zdałaby taki czy inny sprawdzian z macierzyństwa. Nie ma znaczenia, że według twoich czy moich mierników Inés nie jest szczególnie dobrą matką. Rzecz w tym, że ona jest matką chłopca. David jest ze swoją matką.

– Ale Inés nie jest jego matką! Nie poczęła go! Nie nosiła go w łonie! Nie wydała go na świat w bólu i krwi! Ona jest po prostu kimś, kogo wybrałeś pod wpływem kaprysu, bo – takie jest moje zdanie – przypominała ci twoją własną matkę.

Simón znów kręci głową.

– W chwili gdy zobaczyłem Inés, wiedziałem. Jeśli nie będziemy ufać wewnętrznemu głosowi, który mówi nam: „To jest ta osoba!”, niczemu już nie będziemy mogli zaufać.

– Nie rozśmieszaj mnie! Wewnętrzne głosy! Ludzie przegrywają wszystkie oszczędności na wyścigach konnych posłuszni wewnętrznym głosom. Pod wpływem wewnętrznych głosów pakują się w katastrofalne związki miłosne. Takie...

– Nie jestem zakochany w Inés, jeśli to chciałaś powiedzieć. Co to, to nie.

– Może nie zakochany, ale masz na jej punkcie jakąś niedorzeczną obsesję, a to jeszcze gorsza rzecz. Jesteś przekonany, że ona jest przeznaczeniem twojego dziecka. A tymczasem tak naprawdę między Inés a chłopcem nie ma żadnego – mistycznego czy jakiegokolwiek innego – związku. Ona jest przypadkową kobietą, na którą rzutujesz własne obsesje. Jeśli, jak twierdzisz, chłopcu było przeznaczone, że połączy się z matką, to dlaczego nie zostawiłeś tego losowi? Dlaczego musiałeś wtrącić się do przeznaczenia?

– Bo nie wystarczy siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż los zrobi swoje, Eleno, tak samo jak nie wystarczy mieć jakąś ideę, a potem usiąść i czekać, aż się zmaterializuje. Ktoś musi tę ideę wprowadzić w świat. Ktoś musi działać na rzecz przeznaczenia.

– O tym właśnie mówię. Przychodzisz z własnym wyobrażeniem tego, czym jest matka, a potem rzutujesz wyobrażenie na tę konkretną kobietę.

– To już nie jest rzeczowa dyskusja, Eleno. To, co słyszę, to niechęć. Niechęć, uprzedzenia i zazdrość.

– Ani niechęć, ani uprzedzenia, a już nazywanie tego zazdrością to kompletny nonsens. Próbuję ci pomóc w zrozumieniu, skąd pochodzi ta twoja święta intuicja, której ufasz bardziej niż świadectwu własnych zmysłów.

Pochodzi z samego ciebie. Ma początek w przeszłości, której nie pamiętasz. Nie ma nic wspólnego z chłopcem ani jego dobrem. Gdyby obchodziło cię dobro Davida, natychmiast byś go odebrał tej kobiecie. Ona jest dla niego niedobra. Chłopiec cofa się w rozwoju pod jej opieką. Ona go zmienia w niemowlę. Mógłbyś go odzyskać już dziś, gdybyś tylko chciał. Po prostu poszedłbyś tam i go zabrał. Ona nie ma do niego żadnych praw. Jest całkowicie obca. Mógłbyś odzyskać dziecko, mógłbyś odzyskać mieszkanie, a ta kobieta mogłaby wrócić do *La Residencia*, gdzie jest jej miejsce – do swoich braci i do gry w tenisa. Dlaczego tego nie robisz? Może za bardzo się boisz – jej braci, jej psa?

– Eleno, przestań. Proszę cię, przestań. Tak, czuję strach przed jej braćmi. Tak, boję się tego psa. Ale nie dlatego nie chcę wykraść im dziecka. Po prostu nie chcę, i już. Jak myślisz, co ja tu robię w tym kraju, gdzie nikogo nie znam, gdzie nie mogę wyrazić własnych uczuć,

bo wszelkie kontakty z ludźmi ogranicza ten hiszpański dla początkujących? Czy przybyłem tu, żeby po całych dniach taszczyć ciężkie worki jak zwierzę pociągowe? Nie, przybyłem tu, żeby doprowadzić to dziecko do jego matki, i zadanie wykonałem.

Elena się śmieje.

– Jak się złościś, to lepiej mówisz po hiszpańsku. Może powinieneś częściej wpadać w gniew. Co do Inés, niech każde z nas pozostanie przy swoim zdaniu. Co do reszty, prawda jest taka, że nie znaleźliśmy się tutaj, żeby wieść szczęśliwe i spełnione życie. Znaleźliśmy się tutaj ze względu na nasze dzieci. My sami nie jesteśmy może zadomowieni w hiszpańskim, ale dla Davida i Fidela to będzie język ojczysty. Będą nim mówić jak rodowici Hiszpanie, z głębi serca. I nie drwij z pracy, którą wykonujesz w dokach. Przybyłeś do tego kraju nagi, nie mając do zaoferowania nic prócz pracy własnych rąk. Mogli cię nie wpuścić, ale wpuścili. Mogli zostawić pod gołym niebem, ale nie zostawili; dostałeś dach nad głową. Masz mnóstwo powodów do wdzięczności.

Simón milczy. W końcu pyta:

– To już koniec kazania?

– Tak.

## 14

Godzina czwarta. Ostatnie worki z frachtowca przy nabrzeżu numer 2 są układane na platformie. El Rey i jej towarzyszka stoją w uprząży, spokojnie przeżuając obrok.

Álvaro przeciąga się z uśmiechem.

– Kolejna robota wykonana – mówi do Simóna. – Takie chwile cieszą człowieka, nie?

– Chyba tak. Ale nie mogę się powstrzymać od pytania, po co miastu tyle zboża, tydzień po tygodniu.

– To przecież żywność. Nie da się żyć bez żywności. Potrzebują jej nie tylko w Novilli, ale i w głębi lądu. Taka jest właśnie istota portu: że służy reszcie kraju.

– Zgoda, ale ostatecznie po co to wszystko? Statek przywozi ziarno zza morza, my wyładujemy je ze statków, ktoś jeszcze inny miele je i wypieka zeń chleb, a w końcu zostaje zjedzone i zmienia się – jak mam to nazwać? – w odchody, i te odchody spływają z powrotem do morza. Z czego tu się cieszyć? Jak to się ma do szerszego obrazu? Nie widzę żadnego szerszego obrazu, żadnego wznioślejszego zamysłu. To jest po prostu żywot zjadaczy chleba.

– Jesteś dzisiaj w złym humorze! Nie potrzeba żadnego wzniosłego planu, aby uzasadnić to, że jest się częścią życia. Życie jest dobre samo w sobie, a pomaganie w przepływie żywności, tak żeby nasi bliźni mogli żyć, jest podwójnie dobre. Jak możesz to podważać? A poza tym co ty masz przeciwko jedzeniu chleba? Pamiętaj, co powiedział poeta: chleb jest sposobem, dzięki któremu do naszych ciał przenika słońce.

– Nie chcę się spierać, Álvaro, ale obiektywnie biorąc, wszystko, co robię, wszystko, co robią dokerzy, jest przenoszeniem różnych rzeczy z punktu A do punktu B, jeden worek za drugim, dzień po dniu. Gdyby wszystek wylany przez nas pot miał służyć jakiemuś wyższemu celowi, to inna sprawa. Ale jedzenie po to, żeby żyć, i życie po to, żeby jeść – to jest coś odpowiedniego dla bakterii, a nie dla...

– ... nie dla czego?

– ... nie dla człowieka. Nie dla korony stworzenia.

Zazwyczaj to przerwa obiadowa jest czasem filozoficznych dysput w rodzaju: Umieramy czy odradzamy się bez końca? Czy odległe planety krążą wokół Słońca, czy też jedne wokół drugich? Czy żyjemy na najlepszym z możliwych światów? Dziś jednak, zamiast zbierać się do domu, sztauerzy nadciągają z różnych stron, żeby przysłuchać się rozmowie. Álvaro zwraca się teraz do nich.

– Co wy na to, koledzy? Czy musimy mieć jakiś wielki zamysł, jak utrzymuje nasz przyjaciel, czy też wystarczy, żebyśmy dobrze wykonywali swoją pracę?

Cisza. Dokerzy od pierwszego dnia traktują Simóna z szacunkiem. Ma tyle lat, że dla niektórych z nich mógłby być ojcem. Ale szanują też swojego brygadzystę, a nawet darzą go czcią. Najwyraźniej nie chcą stawać po żadnej stronie.

– Skoro nie podoba ci się praca, którą wykonujesz, skoro nie uważasz jej za dobrą – mówi jeden z nich (okazuje się, że to Eugenio) – to co byś chciał robić w zamian? Chciałbyś pracować w biurze? Myślisz, że praca w biurze jest czymś lepszym? Albo w fabryce?

– Nie – odpowiada Simón. – Zdecydowanie nie. Postaraj się mnie dobrze zrozumieć. To, co tutaj robimy, samo w sobie jest dobrą, uczciwą pracą. Ale nie ona jest przedmiotem

dyskusji między Álvarem a mną. Dyskutujemy o celu naszych trudów, o ostatecznym celu. Jestem jak najdalszy od lekceważenia wykonywanej przez nas pracy. Przeciwnie, ona wiele dla mnie znaczy. W istocie... – traci wątek, ale to nieważne – ... nie chciałbym być nigdzie indziej niż tutaj, gdzie pracuję ramię w ramię z wami. Odkąd tu przyszedłem, codziennie doświadczam koleżeńskiego wsparcia i braterskiej miłości. Dzięki temu moje życie stało się jaśniejsze. Dzięki temu...

Eugenio przerywa mu niecierpliwie:

– Więc sam odpowiedziałeś na swoje pytanie. Wyobraź sobie, że nie masz pracy. Ze spędzasz czas na ulicznej ławce, nie mając co robić, licząc upływające godziny, bez kolegów, z którymi mógłbyś pożartować, bez ich życzliwego wsparcia. Bez pracy, bez wspólnego trudu koleżeństwo nie jest już możliwe, traci swoją substancjalność. – Odwraca się i patrzy dokoła. – Czy nie tak, koledzy?

Odpowiada mu potwierdzający pomruk.

– A futbol? – replikuje Simón, próbując, choć bez przekonania, zmienić taktykę. – Przecież kochalibyśmy jeden drugiego i wspierali się nawzajem także wtedy, gdybyśmy należeli do jednej drużyny piłkarskiej, razem grając, zwyciężając i przegrywając. Jeśli naszym ostatecznym celem jest koleżeńska miłość, to dlaczego musimy dźwigać te ciężkie wory ze zbożem, zamiast po prostu kopać piłkę?

– Bo futbol cię nie wykarmi – mówi Álvaro. – Żeby grać w piłkę, trzeba żyć; a żeby żyć, trzeba jeść. Poprzez naszą pracę tutaj sprawiamy, że ludzie mogą żyć. – Potrząsa głową. – Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że pracy nie można porównywać z futbolem, że te dwie rzeczy należą do odmiennych dziedzin filozoficznych. Nie rozumiem, naprawdę nie rozumiem, dlaczego tak pogardzasz naszą pracą.

Wszystkie spojrzenia zwracają się na Simóna. Zapada grobowa cisza.

– Wierz mi, nie pogardzam naszą pracą. Na dowód, że mówię szczerze, przyjdę tu jutro rano o godzinę wcześniej i na dodatek skrócę sobie przerwę obiadową. Będę prznosił tyle worków dziennie ile każdy z was. Nadal jednak pytam: Dlaczego to robimy? Po co?

Álvaro robi krok do przodu i obejmuje Simóna swoim krzepkim ramieniem.

– Bohaterskie wyczyny w pracy nie będą potrzebne, mój przyjacielu – mówi. – Wiemy, ile serca wkładasz w robotę. Niczego nie musisz udowadniać.

Pozostali mężczyźni podchodzą i także poklepują go po plecach albo obejmują za szyję. Simón każdego bez wyjątku obdarza uśmiechem; łzy napływają mu do oczu; nie przestaje się uśmiechać.

– Zdaje się, że nie widziałeś jeszcze naszego głównego magazynu zbożowego, co? – pyta Álvaro, wciąż ściskając Simóna za rękę.

– Nie.

– Nie żebym się przechwalał, ale to naprawdę imponujący budynek. Może miałbyś ochotę się tam wybrać? Nawet w tej chwili, jeśli chcesz. – Odwraca się do woźnicy, który przycupnął na koźle, czekając, aż debata dokerów dobiegnie końca. – Nasz kolega może chyba pojechać z tobą do spichrza? Tak, oczywiście, że może. Chodź! – Pomaga Simónowi wdrapać się na wóz obok woźnicy. – Może bardziej docenisz naszą pracę, jak zobaczysz ten magazyn.

Spichlerz jest położony dalej od nabrzeży, niż przypuszczał Simón, na południowym brzegu, w zakolu, gdzie rzeka zaczyna się zwężać. Jadą bez pośpiechu – furman ma bat, ale nie używa go, od czasu do czasu cmokając tylko na konie – toteż dotarcie na miejsce zabiera im większą część godziny, a przez cały ten czas nie pada ani jedno słowo.

Magazyn stoi samotnie na środku pola. Jest ogromny, wielkości boiska piłkarskiego, i wysoki jak dwupiętrowy dom, z wielkimi, przesuwanymi wrotami, w których załadowany po brzegi furgon mieści się bez trudu.

Dzień pracy dobiegł już chyba końca, bo nie widać robotników rozładowujących towar. Podczas gdy woźnica ustawia wóz przy rampie i przystępuje do wyprężania koni, Simón zapuszcza się w głąb olbrzymiego budynku. Światło sączące się przez szczeliny między ścianami a dachem wydobywa z mroku wysoko spiętrzone worki, całe góry ziarna, ciągnące się w głąb ciemnych nisz. Na próżno próbuje robić wyliczenia, traci rachubę. Co najmniej milion worków, może kilka milionów. Czy to możliwe, by w Novilli było wystarczająco wielu młynarzy do zmielenia całego tego ziarna, wystarczająco wielu piekarzy do upieczenia z niego chleba, wystarczająco wiele gąb do zjedzenia go?

Pod stopami suchy chrzęst: rozsypane ziarno. Coś miękkiego uderza go w kostkę i Simón mimo woli wymierza kopnięcie. Pisk; nagle uświadamia sobie, że wszędzie dokoła słychać jakiś stłumiony szmer, podobny do głosu płynącej wody. Krzyczy. Podłoga wokół niego faluje. Szczury! Wszędzie szczury!

– Tu jest pełno szczurów! – woła, biegnąc z powrotem w stronę wejścia, gdzie trafia na woźnicę i strażnika. – Ziarno rozsypało się po całej podłodze i macie tu plagę szczurów! To potworne!

Tamci wymieniają spojrzenia.

– Tak, mamy tu sporo szczurów – mówi strażnik. – Myszy też. Więcej niżbyś potrafił zliczyć.

– I nic z tym nie robicie? To zagraża zdrowiu! One gnieźdzą się w ziarnie, ziarno jest skażone!

Strażnik wzrusza ramionami.

– Co chcesz, żebyśmy zrobili? Gdzie jest zboże, tam są gryzonie. Tak jest urządony świat. Próbowaliśmy sprowadzać tu koty, ale szczury wcale się ich nie bały, a poza tym jest ich zbyt wiele.

– To żaden argument. Mogliście zastawić pułapki. Mogliście wyłożyć truciznę. Mogliście odymić budynek.

– Nie wolno stosować trujących gazów w magazynie z żywnością – miejże rozum! A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym już zamknąć.

Następnego ranka Simón idzie prosto do Álvara.

– Chwaliłeś się elewatozem zbożowym, ale czy sam kiedykolwiek tam byłeś? On się roi od szczurów. Czy można być dumnym z tego, że własną pracą karmi się hordy szkodników? To jest nie tylko bezsensowne, ale przede wszystkim niezdrowe.

Álvaro obdarza go łagodnym, irytującym uśmiechem.

– Wszędzie tam gdzie są statki, są też szczury. Wszędzie gdzie są składy żywności, są i szczury. Gdzie rozkwita nasz własny gatunek, rozkwitają także one. Szczury to inteligentne stworzenia. Można by powiedzieć, że są naszym cieniem. Owszem, zjadają część ziarna, które rozładujemy. I to prawda, że w magazynie zboże ulega zepsuciu. Ale po drodze również: na polach, w pociągach, na statkach, w spichrzach, w magazynach piekarzy. Nie ma sensu denerwować się z tego powodu. Psucie się jest częścią życia.

– Ale to nie znaczy, że nie możemy mu przeciwdziałać! Po co gromadzić tony, tysiące ton zboża, w magazynach opanowanych przez szczury? Dlaczego nie mielibyśmy sprowadzać tylko tyle, ile potrzebujemy, z miesiąca na miesiąc? I dlaczego nie moglibyśmy lepiej zorganizować całego procesu transportu? Dlaczego musimy używać koni i wozów, skoro moglibyśmy korzystać z ciężarówek? Dlaczego zboże przychodzi w workach, które trzeba dźwigać na plecach? Przecież można by po tamtej stronie morza wsypywać ziarno do ładowni, a tutaj wydmuchiwać przez rurę.

Álvaro namyśla się przez chwilę, a potem mówi:

– A jak myślisz, Simónie, co by się stało z nami wszystkimi, gdyby wyładunek zboża odbywał się przy użyciu dmuchaw, jak proponujesz? Co by się stało z końmi? Z El Reyem?



– Zgoda, nie byłoby już wtedy dla nas roboty w dokach – odpowiada Simón. – Ale za to moglibyśmy znaleźć pracę jako operatorzy dmuchaw czy kierowcy ciężarówek. Wszyscy mielibyśmy zajęcie, tak jak przedtem, tylko że byłby to inny rodzaj pracy, wymagający inteligencji, a nie prostackiej siły.

– Chciałbyś więc wybawić nas od życia wypełnionego zwierzęcą harówką. Chciałbyś, żebyśmy porzucili nabrzeże i znaleźli jakieś inne zajęcie. Ale wtedy nie moglibyśmy już zarzucać sobie ładunku na ramiona, czując, jak ziarna przesuwają się i przybierają kształt naszego ciała, słuchając ich szelestu; w tej nowej pracy utracilibyśmy kontakt z rzeczą samą w sobie – z pożywieniem, które nas karmi i daje nam życie.

Dlaczego jesteś taki pewien, że trzeba nas zbawić, Simónie? Czy twoim zdaniem wiemy życie sztauerów tylko dlatego, że jesteśmy zbyt głupi, by robić coś innego – na przykład obsługiwać dmuchawę albo jeździć ciężarówką? Oczywiście, że nie. Przecież nas już poznałeś. Jesteś naszym przyjacielem, towarzyszem. Nie jesteśmy głupcami. Gdybyśmy potrzebowali zbawienia, dawno już sami byśmy się zbawili. Nie, to nie my jesteśmy głupi; głupie jest to sprytnie rozumowanie, na którym się opierasz i które podsuwa mylne odpowiedzi. To jest nasz dok, nasze nabrzeże – prawda? – Spogląda w lewo, spogląda w prawo; sztauerzy wydają pomruk aprobaty. – Nie ma tu miejsca na sprytnie rozumowania, jest tylko miejsce na rzecz samą w sobie.

Simón nie wierzy własnym uszom. Nie wierzy, że osobą wygadującą te mętne brednie jest jego przyjaciel Álvaro. Wygląda na to, że reszta załogi stoi za nim murem – inteligentni młodzi ludzie, z którymi codziennie dyskutuje o różnicy między prawdą a pozorem, dobrem a złem. Gdyby nie to, że tak bardzo ich lubi, po prostu by odszedł – odszedł i zostawił ich razem z tą bezsensowną pracą. Ale to są jego koledzy, którym dobrze życzy, których ma obowiązek przekonać, że idą niewłaściwą drogą.

– Posłuchaj, co mówisz, Álvaro – zaczyna. – „Rzecz sama w sobie”. Myślisz, że rzecz pozostaje zawsze sobą, że się nie zmienia? Nie. Wszystko płynie. Zapomniałeś już, jak przemierzałeś ocean, żeby się tutaj dostać? Woda w oceanie płynie, a płynąc, zmienia się. Nie możesz wstąpić dwa razy do tej samej wody. Jak ryby żyją w oceanie, tak my żyjemy w czasie i razem z czasem musimy się zmieniać. Żebyśmy nie wiem jak solennie ślubowali wierność tradycji sztauerskiej, i tak w końcu dogoni nas zmiana. Zmiana jest jak przyptyw. Można budować zapory, ale woda zawsze przesączy się przez szczeliny.

Dokerzy otaczają teraz Álvaro i Simóna zwartym półkolem. W ich postawie mężczyzna nie wyczuwa żadnej wrogości. Przeciwnie, jest w niej jakby milcząca zachęta. Zachęta, by sięgnął po swój najmocniejszy argument.

– Nie próbuję was zbawiać – ciągnie. – Nie ma we mnie nic szczególnego i nie roszczę sobie pretensji do bycia czymkolwiek zbawcą. Podobnie jak wy sami przebyłem ocean. Podobnie jak wy nie przyniosłem z sobą żadnej historii. Całą swoją historię zostawiłem na tamtym brzegu. Jestem po prostu nowym człowiekiem w nowym świecie, i to jest dobra rzecz. Nie pozbyłem się jednak samej idei historii, idei zmiany bez początku ni końca. Idei nie da się wymazać; nawet czas tego nie potrafi. Idee są wszędzie. Wszechświat jest ich pełen. Bez nich nie byłoby wszechświata, bo nie istniałby żaden byt.

Weźmy, na przykład, ideę sprawiedliwości. Wszyscy pragniemy żyć w sprawiedliwym ustroju, gdzie za uczciwą pracę otrzymuje się należyłą zapłatę; jest to pragnienie słuszne i godne podziwu. Ale to, co robimy tutaj, w dokach, nie pomoże we wprowadzeniu takiego ustroju. To, co tutaj robimy, to tylko ceremonialny pokaz heroicznego trudu. A widowisko to trwa dzięki armii szczurów – które pracują dzień i noc, pożerając tony wyładowywanego przez nas zboża i robiąc w ten sposób miejsce w magazynie dla dalszych dostaw ziarna. Bez szczurów bezsensowność naszej pracy byłaby widoczna jak na dłoni. – Przerzywa. Dokerzy milczą. – Nie widzicie tego? – pyta. – Jesteście ślepi?

Álvaro rozgląda się dokoła.

– Duch agory – mówi. – Kto odpowie naszemu elokwentnemu przyjacielowi?

Jeden z młodych sztauerów podnosi rękę. Álvaro kiwa głową w jego stronę.

– Nasz przyjaciel posługuje się pojęciem rzeczywistości w mylący sposób – oświadcza młody człowiek; mówi płynnie i z pewnością siebie, jak przodujący student. – Aby to okazać, porównajmy historię z klimatem. Zgodzimy się chyba, że klimat, w którym żyjemy, przewyższa nas. Nikt z nas nie może nakazać klimatowi, jaki ma być. Ale to nie cecha przewyższania nas sprawia, że klimat jest czymś rzeczywistym. Klimat jest rzeczywisty, ponieważ ma rzeczywiste przejawy. Te przejawy obejmują wiatr i deszcz. I tak, kiedy pada deszcz, mokniemy; kiedy wieje wiatr, spadają nam czapki z głów. Deszcz i wiatr są przemijające, stanowią rzeczywistość drugiego rzędu: taką, jaka jest dostępna dla naszych zmysłów. Ponad nimi w hierarchii bytów znajduje się sam klimat jako taki.

Zastanówmy się teraz nad historią. Gdyby historia, tak jak klimat, była rzeczywistością wyższego rzędu, wówczas przejawiałaby się w taki sposób, który potrafilibyśmy odbierać zmysłami. Gdzie są jednak te przejawy? – Rozgląda się dokoła. – Czy komuś z nas historia kiedykolwiek zwiła czapkę z głowy? – Cisza. – Nikomu. Bo historia nie ma przejawów. Historia nie jest rzeczywista. Historia to po prostu zmyślona opowieść.

Ściśle biorąc – mówiącym jest Eugenio, który poprzedniego dnia chciał wiedzieć, czy Simón wolałby pracować w biurze – historia nie przejawia się w terażniejszości. Historia to jedynie pewien schemat, który odnajdujemy w tym, co przeminęło. Ma zbyt mało mocy, by dosięgnąć chwili obecnej.

Nasz przyjaciel Simón powiada, że powinniśmy zmusić maszyny, by pracowały za nas, gdyż tak nakazuje historia. Ale to nie historia każe nam porzucić uczciwą pracę, tylko lenistwo, urok lenistwa. Lenistwo, w przeciwieństwie do historii, jest rzeczywiste. Czujemy je zmysłami. Odczuwamy jego przejawy za każdym razem, kiedy kładziemy się na trawie, przymykamy oczy i przysięgamy sobie, że nigdy już nie ruszymy się z miejsca, nawet na dźwięk gwizdka – tak słodka jest nasza przyjemność. Kto z nas, wylegając się na trawie w słoneczny dzień, powie: „Czuję w kościach historię, która mówi mi, żebym nie wstawał”? Nie: w kościach czujemy lenistwo. Oto dlaczego mówi się o kimś: „leniwy do szpiku kości”.

W miarę jak Eugenio przedstawia swoje racje, Simón robi się coraz bardziej podniecony. Być może z obawy, że ich kolega nigdy nie zamilknie, sztauerzy przerywają mówcy gromkimi oklaskami. Eugenio ucina wywód, a Álvaro skwapliwie korzysta z okazji.

– Nie wiem, czy nasz przyjaciel Simón zechce odpowiedzieć – mówi. – Określił on naszą pracę w dokach jako bezużyteczne widowisko, co niektórym z nas mogło się wydać krzywdzące. Jeśli wypowiedź naszego przyjaciela była po prostu nieprzemysłana, jeśli po chwili zastanowienia chciałby ją wycofać czy skorygować, to jego gest – jestem tego pewien – zostanie doceniony.

Teraz ruch Simóna. Słuchacze są niewątpliwie przeciwko niemu. Czy zdoła to zmienić?

– Oczywiście wycofuję moją bezmyślną uwagę – mówi i przeprasza, jeśli sprawiła komuś przykrość. Co do historii, powiem tylko tyle, że choć dziś możemy nie zwracać na nią uwagi, nie da się tak robić w nieskończoność. I dlatego proponuję, żebyśmy spotkali się na tym nabrzeżu za dziesięć, a może nawet za pięć lat i zobaczyli, czy zboże nadal rozładowuje się ręcznie i magazynuje w otwartej szopie ku uciesze naszych wrogów szczurów. Moim zdaniem tak nie będzie.

– A jeśli się okaże, że byłeś w błędzie? – pyta Álvaro. – Jeśli za dziesięć lat będziemy rozładowywać ziarno dokładnie tak samo jak dzisiaj, to przyznasz, że historia nie jest rzeczywista?

– Przyznam – odpowiada Simón. – Skłonię głowę przed potęgą rzeczywistości. I nazwę to podporządkowaniem się wyrokom historii.

Po tym jak wygłosił mowę przeciwko szczurom, atmosfera w pracy jest przez jakiś czas napięta. Choć koledzy są dla niego równie uprzejmi jak zawsze, milkną, gdy pojawia się w pobliżu.

I nic dziwnego; kiedy patrzy wstecz na swój wybuch, rumieni się ze wstydu. Jak mógł umniejszać wartość pracy, z której jego koledzy są tak dumni i za której otrzymanie on sam jest tak bardzo wdzięczny?

Ale potem rzeczy znów zaczynają się dobrze układać. Podczas porannej przerwy Eugenio podchodzi z papierową torbą w wyciągniętej dłoni:

– Herbatniki – mówi. – Weź sobie jednego. Albo dwa. Podarunek od bliźniego.

A kiedy Simón głośno wyraża swą wdzięczność (herbatniki są pyszne, czuje w nich smak imbiru i chyba cynamonu), Eugenio dodaje:

– Wiesz, rozmyślałem o tym, co powiedziałaś niedawno, i doszedłem do wniosku, że może i masz rację. Czemu niby mamy karmić szczury, skoro one nie karmią nas? Są wprawdzie ludzie, którzy jedzą szczury, ale ja z pewnością do nich nie należę. A ty?

– Nie – odpowiada Simón. – Ja też nie jadam szczurów. Wolę herbatniki.

Pod koniec dnia pracy Eugenio wraca do tematu.

– Martwiłem się, że może urażiliśmy twoje uczucia – mówi. – Wierz mi, nie mieliśmy takiego zamiaru. Wszyscy czujemy do ciebie ogromną życzliwość.

– Wcale nie jestem urażony – zapewnia Simón. – Toczyliśmy filozoficzny spór, i to wszystko.

– Filozoficzny spór – zgadza się Eugenio. – Mieszkasz we Wschodnich Blokach, prawda? Pójdę z tobą na przystanek autobusowy.

Tak więc by podtrzymać fikcję, że mieszka w Blokach, musi towarzyszyć Eugeniowi w drodze na przystanek.

– Od pewnego czasu nurtuje mnie pytanie – wyznaje, gdy czekają razem na autobus numer 6. – Jest zupełnie niefilozoficzne: jak ty i inne chłopaki spędzacie wolny czas? Wiem, że wielu z was interesuje się piłką nożną, ale co robicie wieczorami? Wygląda na to, że nie macie żon ani dzieci. Macie dziewczyny? Chodzicie do klubów? Álvaro mówił mi, że jest tu wiele klubów, do których można się zapisać.

Eugenio mieni się na twarzy.

– Nie wiem nic o klubach. Ja chodzę przeważnie do Instytutu.

– Opowiedz mi o tym. Słyszałem, jak ktoś wspominał Instytut w rozmowie, ale nie mam pojęcia, co tam się dzieje.

– Instytut oferuje różne kursy. Wykłady, filmy, grupy dyskusyjne. Powinieneś się zapisać. Podobałoby ci się. Uczęszczają tam nie tylko ludzie młodzi, ale i mnóstwo starszych, a kursy są darmowe. Wiesz, jak tam dojechać?

– Nie.

– To jest na ulicy Nowej, niedaleko tego wielkiego skrzyżowania. Wysoki biały budynek ze szklanymi drzwiami. Pewnie mijaleś go wiele razy, nie wiedząc, że to Instytut. Przyjdź jutro wieczorem. Możesz dołączyć do naszej grupy.

– Dobra.

Jak się okazuje, kurs, na który Eugenio uczęszcza wspólnie z trzema innymi robotnikami portowymi, ma za przedmiot filozofię. Simón zajmuje miejsce w tylnym rzędzie, z daleka od kolegów, tak żeby móc się wyslizgnąć, jeśli zajęcia go znudzą.

Gdy wchodzi nauczycielka, robi się cicho. Jest to kobieta w średnim wieku, ubrana – jak na gust Simóna – raczej niemodnie, o krótko przyciętych stalowoszarych włosach i bez makijażu.

– Dobry wieczór – mówi. – Wróćmy do tego, na czym skończyliśmy zeszłym razem, i kontynuujmy naszą analizę stołu; stołu i jego bliskiego krewnego – krzesła. Jak państwo pamiętacie, omówiliśmy rozmaite rodzaje stołów, jakie istnieją na świecie, a także rozmaite rodzaje krzesel. Zapytujemy o jedność, która leży poza wszelką różnorodnością; o coś, co sprawia, że stoły są stołami, krzesła zaś krzesłami.

Simón wstaje po cichu i wymyka się z sali.

Korytarz jest pusty, jeśli nie liczyć postaci w długiej białej szacie, zmierzającej szybkim krokiem w stronę Simóna. Kiedy postać podchodzi bliżej, Simón widzi, że jest to nikt inny jak Ana z Ośrodka.

– Ana! – woła.

– Cześć – odpowiada Ana. – Przepraszam, że się nie zatrzymuję, ale jestem już spóźniona. Potem jednak przystaje.

– My się znamy, prawda? Zapomniałam twoje imię.

– Simón. Poznaliśmy się w Ośrodku. Miałem ze sobą małego chłopca. Byłaś tak miła, że udzieliłaś nam schronienia na pierwszą noc w Novilli.

– Jasne! Jak się miewa twój syn?

Biała szata okazuje się w rzeczywistości białym frotowym szlafrokiem; dziewczyna ma białe stopy. Dziwny strój. Czy w Instytucie jest basen?

Ana zauważa jego zdumione spojrzenie i wybucha śmiechem.

– Pozuję – mówi. – Dwa razy w tygodniu. Do studiów z natury.

– Studiów z natury?

– W pracowni rysunku. Rysowania z natury. Jestem modelką.

Przeciąga się, jakby ziewała. Szlafrok rozchyła się przy szyi i Simón widzi przez chwilę jej piersi, które w swoim czasie tak podziwiał.

– Powinieneś do nas dołączyć. Jeśli chcesz się czegoś nauczyć o ciele, nie ma lepszego sposobu.

A potem, zanim mężczyźni udaje się pokonać zmieszanie, rzuca:

– Do widzenia, jestem spóźniona. Pozdrów syna.

Simón wędruje pustym korytarzem. Instytut jest większy, niż sądził, kiedy go oglądał z zewnątrz. Zza zamkniętych drzwi dochodzi muzyka: jakaś kobieta śpiewa smutną pieśń z towarzyszeniem harfy. Simón zatrzymuje się przed tablicą ogłoszeń. Lista oferowanych kursów jest długa. Rysunek techniczny, księgowość, rachunki. Mnóstwo kursów hiszpańskiego: hiszpański dla początkujących (dwanaście grup), dla średnio zaawansowanych (pięć grup), dla zaawansowanych, pisanie wypracowań, konwersacja. Dawno powinien był tu przyjść, zamiast samotnie zmagać się z językiem. Nie widzi kursu literatury hiszpańskiej. Ale może literatura piękna podpada pod hiszpański dla zaawansowanych.

Żadnych innych kursów językowych. Nie ma portugalskiego, katalońskiego, galicyjskiego, baskijskiego.

Nie ma esperanto ani wolapiku.

Szuka rysowania z natury. Jest: rysowanie z natury, od poniedziałku do piątku w godzinach 19-21, soboty 14-16; przyjmujemy zapisy do grupy 12. Grupa 1 – lista zamknięta. Grupa 2 – lista zamknięta. Grupa 3 – lista zamknięta. Kurs najwyraźniej cieszy się dużą popularnością.

Kaligrafia. Elementy filozofii. Filozofia: wybrane zagadnienia. Filozofia pracy. Filozofia a życie codzienne.

Rozlega się dzwonek na przerwę. Na korytarzu pojawiają się studenci: najpierw po kilka osób, potem całym strumieniem. Nie tylko młodzież, ale także ludzie w jego wieku i starsi, tak jak mówił Eugenio. Nic dziwnego, że po zmroku miasto wygląda jak wymarłe! Wszyscy są tutaj, zdobywając wiedzę i nowe umiejętności. Wszyscy chcą być lepszymi obywatelami, lepszymi osobami. Wszyscy, tylko nie on.

Jakiś głos woła go po imieniu. To Eugenio, który wyłania się z ciżby, machając do niego ręką.

– Idziemy coś zjeść! Chodź z nami!

Eugenio prowadzi go schodami w dół do jasno oświetlonej stołówki. Są tam już długie kolejki ludzi oczekujących na posiłek. Simón bierze tacę i sztućce.

– Dziś środa, co oznacza makaron – mówi Eugenio. – Lubisz makaron?

– Lubię.

Nadchodzi ich kolej. Simón podstawia talerz, na który kucharka nakłada sporą porcję spaghetti. Druga dodaje łyżkę sosu pomidorowego.

– Weź jeszcze bułkę – radzi Eugenio. – Na wypadek gdyby ci było mało.

– A gdzie się płaci?

– Nigdzie. To za darmo.

Znajdują wolny stolik, do którego przysiadają się po chwili pozostali sztauerzy.

– Jak tam wasz kurs? – pyta Simón. – Udało się wam ustalić, czym jest krzesło?

Miał to być dowcip, ale młodzi ludzie patrzą na niego bez wyrazu.

– Nie wiesz, czym jest krzesło? – odzywa się w końcu jeden z nich. – To popatrz niżej. Właśnie na nim siedzisz. – Zerka na kompanów. Wszyscy wybuchają śmiechem.

Simón próbuje im wtórować, żeby pokazać, że jest równym facetem.

– Chodziło mi o to – mówi – czy odkryliście to, co stanowi jego... nie wiem, jak to powiedzieć...

– *Sillicidad* – podsuwa Eugenio. – Twoje krzesło ucieleśnia *sillicidad*, uczestniczy w niej albo, jak mówi nasza nauczycielka, jest jej urzeczywistnieniem. Na tej podstawie wiemy, że jest to krzesło, a nie stół.

– Albo taboret – dodaje jego kompan.

– A czy nauczycielka opowiadała wam kiedyś o człowieku – pyta Simón – który kiedy go zapytano, skąd wie, że krzesło jest krzesłem, kopnął je i oświadczył: „A stąd, proszę pana!”?

– Nie opowiadała – mówi Eugenio. – Ale w ten sposób nie dowiadujesz się, że krzesło jest krzesłem. W ten sposób dowiadujesz się, że jest ono przedmiotem. Przedmiotem kopnięcia.

Simón milczy. Prawda jest taka, że czuje się w tym Instytucie obco. Filozofowanie sprawia, że traci cierpliwość. Nie obchodzą go krzesła ani ich krzesłowatość.

Spaghetti jest bez przypraw, a sos pomidorowy to po prostu utarte na miazgę i podgrzane pomidory. Rozgląda się za solniczką, jednak niczego takiego nie ma. Pieprzu także nie. Ale przynajmniej spaghetti stanowi jakąś odmianę. Lepsze to niż nieśmiertelny chleb.

– No więc na jaki kurs chciałbyś się zapisać? – pyta Eugenio.

– Jeszcze się nie zdecydowałem. Muszę dokładnie przeczytać listę. Możliwości jest sporo. Myślałem o rysowaniu z natury, ale widzę, że nie ma już wolnych miejsc.

– Czyli nie przyłączysz się do naszej grupy. Szkoda. Jak wyszedłeś, to dyskusja nabrała rumieńców. Rozmawialiśmy o nieskończoności i związanych z nią niebezpieczeństwach. Co bowiem, jeśli za idealnym krzesłem jest jeszcze bardziej idealne krzesło, a za nim jeszcze jedno, i tak w nieskończoność? Ale rysowanie z natury też jest ciekawe. Mógłbyś w tym semestrze zapisać się na kurs zwykłego rysunku, a w przyszłym przejść na rysowanie z natury.

– Rysowanie z natury zawsze się cieszy dużym zainteresowaniem – wyjaśnia inny z chłopców. – Ludzie chcą poznawać ciało.

Simón nasłuchuje w jego słowach ironii, ale jej nie ma – podobnie jak nie ma soli.

– Jeśli chcesz poznać ludzkie ciało, to może lepszy byłby kurs anatomii? – pyta.

Chłopak nie zgadza się z nim.

– Anatomia daje nam wiedzę tylko o częściach ciała. Jeśli ktoś chce poznać całość, musi pójść na taki kurs jak rysowanie z natury albo pozowanie.

– Przez całość rozumiesz...

– Przede wszystkim ciało jako ciało, a następnie ciało w jego formie idealnej.

– A czy zwyczajne doświadczenie tego nie uczy? To znaczy, czy spędzenie kilku nocy z kobietą nie nauczy cię wszystkiego, co trzeba wiedzieć o ciele jako ciele?

Młody sztucer kraśnieje na twarzy i rozgląda się dokoła, jakby szukał pomocy. Simón przeklina siebie. Te jego głupie dowcipy!

– Jeśli chodzi o ciało w jego formie idealnej – brnie dalej chłopak – to żeby móc je oglądać, musimy prawdopodobnie poczekać aż do następnego żywota.

Simón odsuwa niedojedzone spaghetti. To dla niego za dużo, za dużo już tych flaków z olejem.

– Muszę iść – mówi. – Dobranoc. Zobaczymy się jutro w dokach.

– Dobranoc.

Nie robią nic, żeby go zatrzymać. I słusznie. Jakże marnie musi wyglądać w oczach tych wspaniałych młodych ludzi, pracowitych, wzniosłych, niewinnych. Czego mieliby się nauczyć z gorzkich miazmatów, jakie wydziela?

– Jak się miewa twój mały? – pyta Álvaro. – Tęsknimy za nim. Znalazłeś mu jakąś szkołę?

– Za młody jeszcze na szkołę. Jest z matką. Ona nie chce, żeby spędzał ze mną zbyt wiele czasu. Twierdzi, że dopóki dwoje dorosłych będzie sobie rościć prawa do niego, jego serce pozostanie rozszczępione.

– Ale przecież zawsze jest tak, że dwoje dorosłych rości sobie do nas prawa: nasz ojciec i nasza matka. Nie jesteśmy pszczołami ani mrówkami.

– Może to i prawda. Ale tak czy owak, nie jestem ojcem Davida. Jego matka jest matką, ale ja nie jestem ojcem. To duża różnica. Słuchaj, Álvaro, ciężko mi o tym mówić. Może zmienimy temat?

Álvaro bierze go za ramię.

– David nie jest zwyczajnym chłopcem. Wierz mi, przyglądałem mu się i wiem, co mówię. Jesteś pewien, że działasz w jego najlepszym interesie?

– Oddałem go w ręce matki. Pozostaje pod jej opieką. A dlaczego uważasz, że nie jest zwyczajnym chłopcem?

– Mówisz, że go oddałeś – ale czy on chce być oddany? Przede wszystkim – dlaczego matka go porzuciła?

– Nie porzuciła go. Zostali rozdzieleni. Przez pewien czas żyli w innych sferach. Pomogłem mu ją odnaleźć. Odnalazł ją i wrócili do siebie. Teraz łączy ich naturalna więź, więź matki z synem. Natomiast między mną a nim nie ma naturalnej więzi. To wszystko.

– Jeśli więź między wami nie jest naturalna, to jaka jest?

– Abstrakcyjna. Jestem dla Davida kimś, kto troszczy się o niego w ogóle, ale nie jest to opieka wynikająca z naturalnego obowiązku. Co miałeś na myśli, mówiąc, że nie jest zwyczajnym chłopcem?

Álvaro kręci głową.

– Abstrakcyjna, naturalna... Dla mnie to nie ma sensu. Jak to się dzieje, według ciebie, że matka i ojciec w ogóle zbliżają się do siebie – matka i ojciec przyszłego dziecka? Z

naturalnego wzajemnego obowiązku? Oczywiście, że nie. Ich ścieżki przypadkowo się przecinają, a oni zakochują się w sobie. Cóż może być mniej naturalne, bardziej abstrakcyjne niż to? Wskutek ich przypadkowego połączenia na świecie pojawia się nowa istota, nowa dusza. Kto co komu zawdzięcza w tej historii? Nie potrafię powiedzieć i jestem pewien, że ty też nie.

Przyglądałem się tobie i chłopcu, Simónie, i widziałem, że on darzy cię bezgranicznym zaufaniem. Kocha cię. A ty jego. Po co więc oddawać go w czyjeś ręce? Odcinać się od niego?

– Nie odcinałem się. Odsunęła mnie na bok jego matka, bo takie jej prawo. Gdybym miał wybór, nadal bym z nim był. Ale nie mam. Nie mam prawa wybierać. Nie mam w tym przypadku żadnych praw.

Álvaro milczy, wycofuje się jakby w głąb siebie.

– Powiedz mi, gdzie mogę znaleźć tę kobietę – mówi w końcu. – Chciałbym z nią zamienić parę słów.

– Bądź ostrożny. Ona ma brata, ciemnego typu. Nie powinieneś mu wchodzić w drogę. A właściwie są tam dwaj bracia, jeden równie nieprzyjemny jak drugi.

– Będę na siebie uważać – mówi Álvaro. – Gdzie ją znajdę?

– Ma na imię Inés i zajmuje moje dawne mieszkanie we Wschodnich Blokach: blok B, mieszkanie numer 202, na drugim piętrze. Nie mów, że przychodzisz ode mnie, bo byłaby to nieprawda. Nie wysyłam cię do niej. To nie mój pomysł, tylko twój.

– Nie martw się. Wyjaśnię jej, że to mój pomysł i że nie masz z tym nic wspólnego.

Następnego dnia, podczas południowej przerwy, Álvaro znów kiwa na niego.

– Rozmawiałem z Inés – mówi bez zbędnych wstępów. – Zgadza się, żebyś mógł widywać chłopca, tylko jeszcze nie teraz. Pod koniec miesiąca.

– Cudowna nowina! Jak ją przekonałeś?

Álvaro macha lekceważąco ręką.

– Nieważne jak. Ona mówi, że możesz go zabierać na spacer. Sama powie kiedy. Pytała o twój numer telefonu. Nie znałem go, więc podałem jej mój. Obiecałem, że przekażę wiadomość.

– Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem ci wdzięczny. Zapewnij ją, proszę, że nie namieszam chłopcu w głowie, to znaczy nie naruszę łączącej ich więzi.

## 16

Wieści od Inés przychodzą szybciej, niż się spodziewał. Już następnego ranka Álvaro woła go do siebie.

– Coś tam się stało w twoim mieszkaniu – mówi. – Inés zadzwoniła, jak wychodziłem do pracy. Chciała, żebym do niej zajrzał, ale powiedziałem, że nie dam rady. Nie denerwuj się: to nie ma nic wspólnego z chłopcem. Chodzi o jakąś usterkę hydrauliczną. Będą ci potrzebne narzędzia. Weź skrzynkę narzędziową z szopy. I pośpiesz się. Ona jest cała roztrzęsiona.

Inés czeka w drzwiach mieszkania, ubrana (ale dlaczego? nie jest przecież zimno) w gruby płaszcz. Jest rzeczywiście roztrzęsiona, kipi ze złości. Ustęp się zatkał, mówi. Przyszedł dozorca, ale odmówił pomocy, ponieważ ona (powiedział) nie jest prawowitym najemcą, a on pierwszy raz w życiu widzi ją na oczy. Zadzwoniła do swoich braci w *La Residencia*, zbyli ją jednak jakimiś wymówkami, bo są zbyt delikatni (mówi z goryczą), żeby brudzić sobie ręce. Więc dziś rano, doprowadzona do ostateczności, skontaktowała się z jego kolegą o imieniu Álvaro, ponieważ jako robotnik powinien znać się na hydraulice. A teraz zamiast Álvaro zjawia się on.

Mówi i mówi, chodząc gniewnie po pokoju. Schudła, odkąd widział ją ostatni raz. Ma zmarszczki w kącikach ust. Simón słucha jej w milczeniu, ale wzrok utkwił w chłopcu, który siedząc na łóżku – czyżby dopiero się obudził? – wpatruje się w niego z niedowierzaniem, jakby zobaczył kogoś, kto powrócił z krainy zmarłych.

Posyła chłopcu uśmiech.

– Cześć! – mówi samymi ustami.

Mały wyjmuje z buzi kciuk, ale się nie odzywa. Bardzo urosły mu włosy – skrecają się w naturalne loki. Ma na sobie bladoniebieską piżamę z czerwonym wzorem przedstawiającym rozbawione słonie i hipopotamy.

Inés nie przestaje psioczyć.

– Z tym kibelem są problemy, odkąd się tu wprowadziliśmy. Nie zdziwiłabym się, gdyby to była wina tych z dołu. Prosiłam dozorcę, żeby zszedł piętro niżej, ale nawet mnie nie słuchał. Nie spotkałam jeszcze takiego chama. Nie obchodzi go, że śmierdzi już nawet na korytarzu.

Mówi o tych fekalnych szczegółach bez zażenowania. Simóna to dziwi: w końcu rzecz jest dość delikatna, jeśli nie wręcz intymna. Czy ona uważa go po prostu za montera, który przyszedł naprawić ustęp, a po robocie pójdzie, skąd przyszedł, czy też może chce takim gadaniem pokryć zmieszanie?

Przechodzi przez pokój, otwiera okno, wychyla się. Rura odpływowa biegnie wprost do głównego przewodu kanalizacyjnego poprowadzonego wzdłuż ściany budynku. Trzy metry pod nią znajduje się rura z mieszkania na pierwszym piętrze.

– Rozmawiałaś z ludźmi spod numeru 102? – pyta. – Jeśli zablokowany jest cały pion, to i oni będą mieli taki sam problem. Ale pozwól, że najpierw zajrzę do toalety, bo może to jakaś prostsza usterka.

Zwraca się do chłopca:

– Pomożesz mi? Pora już chyba wstać z łóżka, leniuchu! Zobacz, jak wysoko słońce jest na niebie!



Chłopiec zwija się w kłębek i posyła mu pełen zachwytu uśmiech. Serce Simóna bije żywiej. Jakże on kocha to dziecko!

– Chodź tu! – mówi. – Chyba nie jesteś za duży, żeby dać mi całusa?

Malec wyskakuje z łóżka i pędzi, żeby uściskać Simóna.

– Podoba mi się twoja nowa piżama – mówi mężczyzna. – Pójdziemy obejrzeć tę awarię?

Miska klozetowa jest wypełniona niemal po brzegi wodą i nieczystościami. W skrzynce narzędziowej, którą przyniósł z sobą, Simón znajduje zwój stalowego drutu. Wygina koniec drutu w hak, wtyka go w ujście muszli i wyciąga zwitek papieru toaletowego.

– Masz tu gdzieś nocnik? – pyta chłopca.

– Taki do sikania?

Simón kiwa głową. Mały wybiega w podskokach z łazienki i wraca, niosąc przykryty szmatką urynał. Chwilę później wpada Inés, wrywa dziecku naczynie i wychodzi bez słowa.

– Znajdź mi jakąś plastikową torbę – mówi Simón do chłopca. – Tylko żeby nie była dziurawa.

Wyciąga z zatkanej rury sporą kluchę papieru toaletowego, ale poziom wody w muszli nie opada.

– Ubierz się, to zejdziemy na dół – mówi do chłopca. A do Inés: – Jak pod sto dwójką nie będzie nikogo, spróbuję otworzyć drzwiczki na poziomie parteru. Jeśli zator jest poniżej tego punktu, to nic już sam nie poradzę. Trzeba będzie pójść do administracji. Ale zobaczymy, co się da zrobić. – Przerywa. – Nawiasem mówiąc, takie coś może się przytrafić każdemu. Nie jest to niczyja wina. Po prostu pech.

Stara się jakoś pocieszyć i uspokoić Inés i ma nadzieję, że ona to dostrzega. Kobieta jednak unika jego wzroku.

Jest zakłopotana i zła; czy w grę wchodzi coś jeszcze, tego Simón nie umie powiedzieć.

Stukają razem z chłopcem do mieszkania numer 102. Po długim oczekiwaniu rozlega się dźwięk odmykanej zasuwki i drzwi lekko się uchylają. W półmroku Simón widzi jakąś ciemną postać, ale nie wie, czy to mężczyzna, czy kobieta.

– Dzień dobry – mówi. – Przepraszam za najście. Jestem z mieszkania powyżej, gdzie zatkała się toaleta. Chciałem spytać, czy państwo macie podobny problem.

Drzwi otwierają się szerzej. To kobieta, stara i zgarbiona, o szklistoszarych oczach osoby niewidzącej.

– Dzień dobry – powtarza Simón. – Chodzi o pani toaletę. Czy ma pani jakieś kłopoty z toaletą? Jakies zatory, *atascos*?

Żadnej odpowiedzi. Kobieta stoi bez ruchu, z twarzą zwróconą pytająco w stronę Simóna. Czyżby była nie tylko niewidoma, ale i głucha?

Chłopiec robi krok do przodu.

– *Abuela* – mówi.

Kobieta wyciąga rękę, gładzi go po włosach, dotyka palcami twarzy. Mały przez moment przytula się do niej ufnie, a potem wślizguje do mieszkania. Po chwili jest już z powrotem.

– W porządku – oznajmia. – Toaleta jest czysta.

– Dziękuję pani – mówi Simón i kłania się. – Dziękuję za pomoc. Przepraszam za kłopot.

A do chłopca:

– Ich toaleta jest czysta, więc... więc co?

Chłopiec marszczy czoło.

– Tu, na dole, woda spływa swobodnie. Tam, na górze – Simón wskazuje schody biegnące na wyższe piętro – woda nie płynie wcale. Więc co? Gdzie są zatkałe rury?

– Na górze – mówi zdecydowanym głosem chłopiec.

– Brawo! Więc gdzie pójdziemy usunąć awarię: na górę czy na dół?

– Na górę.

– Pójdziemy na górę, bo jak płynie woda – w górę czy w dół?

– W dół.  
– Zawsze?  
– Zawsze. Zawsze płynie w dół. A czasem w górę.  
– Nie. W górę nigdy. Tylko w dół. Taka już jest natura wody. Pytanie, jak woda podchodzi w górę do naszego mieszkania, nie zaprzeczając własnej naturze. Jak to się dzieje, że gdy odkręcamy kran albo pociągamy za łańcuch od spłuczki, woda nas zalewa?  
– Bo u nas woda płynie do góry.  
– Nie, to nie jest dobra odpowiedź. Zapytam inaczej: jakim sposobem woda dostaje się do naszego mieszkania, nie płynąc przy tym w górę?  
– Z nieba. Spada z nieba i wpływa do kranów.  
Prawda. Woda rzeczywiście spada z nieba.  
– Ale – mówi Simón, wznosząc ostrzegawczo palec – ale jak woda dostaje się do nieba?  
Naturalna filozofia. „Zobaczmy – myśli Simón – ile jest w tym dziecku naturalnej filozofii”.  
– Bo niebo wdycha – mówi chłopiec. – Niebo wdycha... – Tu wciąga do płuc wielki haust powietrza i zatrzymuje go, z uśmiechem czysto intelektualnej rozkoszy na twarzy, a potem gwałtownie wypuszcza. – ... I niebo wydycha.  
Drzwi od mieszkania 102 zatrząskują się; słychać szczęk zamykanej zasuw.  
– Czy to Inés opowiadała ci o tym... o tym oddychaniu nieba?  
– Nie.  
– Sam to wszystko wymyśliłeś?  
– Tak.  
– A kto tam jest w niebie, kto wdycha i wydycha, wytwarzając deszcz?  
Chłopiec milczy. Marszczy w skupieniu czoło. W końcu kręci głową.  
– Nie wiesz?  
– Nie pamiętam.  
– Nie szkodzi. Chodźmy przekazać twojej matce najnowsze wiadomości.  
Narzędzia, które przyniósł z doków, są bezużyteczne. Tylko zwykły drut daje jeszcze jakąś nadzieję.  
– Może poszlibyście na spacer – mówi do Inés. – To, co będę robić, nie jest szczególnie apetyczne. Nie widzę powodu, żeby nasz młody przyjaciel musiał to znosić.  
– Wolałabym wezwać prawdziwego hydraulika – odpowiada Inés.  
– Jeśli nie poradzę sobie z tą robotą, pójdę i znajdę fachowca, obiecuję. Tak czy owak, toaleta będzie naprawiona.  
– Ja nie chcę iść na spacer – protestuje chłopiec. – Chcę pomagać.  
– Dziękuję ci, mój chłopcze, doceniam twoje chęci. Ale to nie jest praca wymagająca pomocy drugiej osoby.  
– Mógłbym podsuwać ci idee.  
Simón i Inés wymieniają spojrzenia. Przepływa między nimi coś niewypowiedzianego. „Mój mądry syn!” – mówią jej oczy.  
– To prawda – zgadza się mężczyzna. – Jesteś dobry, jeśli chodzi o idee. Ale toalety nie są podatne na idee. Nie są częścią świata idei. Są po prostu bezdusznymi rzeczami i zajmowanie się nimi też jest bezduszne. Idźcie więc z mamą na spacer, a ja tu trochę popracuję.  
– Dlaczego nie mogę zostać? – pyta chłopiec. – To przecież tylko kupa.  
Jest w jego głosie jakaś nowa nuta, nuta wyzwania, która nie podoba się Simónowi. Widać wszystkie te pochwały uderzyły małemu do głowy.  
– Toalety są po prostu toaletami, ale kupa to nie tylko kupa – mówi mężczyzna. – Istnieją pewne rzeczy, które nie są jedynie sobą, w każdym razie nie przez cały czas. Kupa do nich należy.  
Inés szarpie chłopca za rękę. Jest czerwona ze złości.

– Chodź! – krzyczy.  
Chłopiec kręci przecząco głową.  
– To jest moja kupa – oświadcza. – Chcę zostać.  
– To była twoja kupa – mówi Simón. – Ale ją wydalili. Pozbyłeś się jej. Więc nie jest już twoja. Nie masz do niej prawa.  
Inés prychnie i wycofuje się do kuchni.  
– Kiedy kupa dostaje się do rur ściekowych, nie jest już czyjaś kupa – ciągnie Simón. – W kanałach łączy się ona z kupą wszystkich innych ludzi i staje się kupą w ogóle.  
– To dlaczego Inés się złości?  
Inés. Więc tak do niej mówi, a nie: „mamo”, nie: „matko”?  
– Jest zakłopotana. Ludzie nie lubią mówić o kupie. Kupa śmierdzi. Pełno w niej bakterii.  
Kupa to nic dobrego.  
– Więc dlaczego?  
– Dlaczego co?  
– Dlaczego Inés się wścieka? Przecież to także jej kupa.  
– Nie wścieka się, po prostu jest wrażliwa. Niektórzy ludzie są wrażliwi, wszystkim się przejmują, taka już ich natura – nie wiadomo dlaczego. Ale nie ma co się przejmować takimi sprawami, bo jak ci powiedziałem, z pewnego punktu widzenia to nie jest czyjaś konkretna kupa, tylko zwyczajnie kupa. Porozmawiaj z pierwszym lepszym hydraulikiem, a powie ci to samo. Hydraulik, patrząc na kupę, nie mówi do siebie: „Ach, któż by przypuszczał, że pan Iks czy pani Igrek mają taką kupę!”. Tak samo przedsiębiorca pogrzebowy. On też nie mówi do siebie: „Ach, któż by przypuszczał”...  
Przerywa. „Ponosi mnie – myśli. – Za dużo gadam”.  
– Kto to jest przedsiębiorca pogrzebowy? – pyta chłopiec.  
– Przedsiębiorca pogrzebowy troszczy się o martwe ciała. Jest jak hydraulik. Pilnuje, żeby martwe ciała dotarły we właściwe miejsce.  
„A teraz pewnie spyta: »Co to jest martwe ciało?«”.  
– Co to jest martwe ciało? – chce wiedzieć chłopiec.  
– Martwe ciała to ciała, które zostały dotknięte śmiercią i którymi nie możemy się już posługiwać. Ale nie musimy zaprzętać sobie głowy śmiercią. Po śmierci zawsze jest jakieś inne życie. Widziałeś przecież. My, ludzie, mamy pod tym względem szczególne szczęście. Nie jesteśmy jak kupa, która po nas zostaje i miesza się z ziemią.  
– Więc jacy jesteśmy?  
– Jacy jesteśmy, skoro nie jesteśmy jak kupa? Jesteśmy jak idee. Idee nigdy nie umierają. Będziesz się o tym uczył w szkole.  
– Ale wytwarzamy kupę.  
– To prawda. Mamy udział w tym, co idealne, ale wytwarzamy również kupę. To dlatego, że mamy podwójną naturę. Nie wiem, jak to prościej wyrazić.  
Chłopiec milczy. „Niech się trochę nad tym pogłowi” – myśli Simón. Klęka obok muszli klozetowej i podwija wysoko rękawy.  
– Idź z matką na spacer – mówi. – Idź.  
– A przedsiębiorca pogrzebowy? – pyta chłopiec.  
– Przedsiębiorca pogrzebowy? To taki sam zawód jak każdy inny. Przedsiębiorca pogrzebowy nie różni się od nas. Też ma podwójną naturę.  
– Mogę go zobaczyć?  
– Nie teraz. Mamy co innego do roboty. Następnym razem jak będziemy w mieście, spróbujmy znaleźć jakiś zakład pogrzebowy. Wtedy zobaczysz przedsiębiorcę.  
– I martwe ciała też?

– Nie, oczywiście, że nie. Śmierć to sprawa osobista. Zawód przedsiębiorcy pogrzebowego wymaga dyskrecji. Przedsiębiorcy pogrzebowi nie wystawiają martwych ciał na widok publiczny. Ale dość już o tym.

Wsuwa drut w głąb muszli. Musi nim tak manewrować, żeby przyjął esowaty kształt syfonu. Jeśli syfon okaże się drożny, to znaczy, że przeszkoda tkwi w złączu na zewnątrz. Ale w takim wypadku nie będzie sobie umiał z nią poradzić. Trzeba będzie dać za wygraną i znaleźć hydraulika. Albo ideę hydraulika.

Woda, w której wciąż pływają grudki kału Inés, oblepia mu dłoń, nadgarstek, przedramię. Wcisną drut w esowaty syfon. „Mydło antybakteryjne – myśli. – Po wszystkim muszę umyć ręce mydłem antybakteryjnym, dokładnie szorując pod paznokciami. Bo kupa to kupa, a bakterie to bakterie”.

Nie czuje się jak istota o podwójnej naturze. Czuje się jak mężczyzna przepychający zatkaną rurę kanalizacyjną przy użyciu prymitywnych narzędzi.

Wyciąga z muszli rękę, wyciąga drut. Haczyk na końcu rozprostował się. Wygina drut z powrotem.

– Możesz użyć widelca – odzywa się chłopiec.

– Widelec jest za krótki.

– Ale tego długiego, co wisi w kuchni. Możesz go zgiąć.

– Pokaż mi, o czym mówisz.

Chłopiec biegnie truchtem do kuchni i wraca z długim widelcem do grilla, który został po poprzednich lokatorach i którego Simón nigdy wcześniej nie używał.

– Możesz go zgiąć, jeśli masz siłę – mówi dziecko.

Simón wygina widelec w kształt litery S i wpycha w głąb syfonu tak daleko, jak tylko się da. Kiedy próbuje wyciągnąć widelec z powrotem, czuje opór. Najpierw powoli, potem coraz szybciej z ujścia syfonu wynurza się przeszkoda: kłęb waty w foliowej osłonie. Wypełniająca muszlę ciecz opada. Simón pociąga za łańcuch od spłuczki. Czysty strumień wody spływa z szumem w dół. Czeką chwilę, znów pociąga za łańcuch. Odpływ jest drożny. Wszystko w porządku.

– Znalazłem to – mówi do Inés. Wyciąga w jej stronę ociekający wodą przedmiot. – Poznajesz?

Kobieta oblewa się pasem, stoi przed nim jak ucieleśnienie winy, nie wiedząc, gdzie podziąć oczy.

– Tak zwykle postępujesz? Wyrzucasz je do ustępu? Nikt ci nie powiedział, że tak się nie robi?

Inés kręci przecząco głową. Policzki jej płoną. Chłopiec szarpie ją niespokojnie za spódnicę.

– Inés! – mówi.

Ona poklepuje go w roztargnieniu po ręce.

– To nic, to nic, kochanie – szepcze.

Simón zamyka drzwi do łazienki, ściga ubrudzoną koszulę i pierze ją w umywalce. Nie ma mydła antybakteryjnego, tylko zwykłe mydło z „Komisariatu”, używane przez wszystkich. Wyżyma koszulę, płucze i znów wykręca. Będzie musiał chodzić w mokrej. Myje ręce, myje się pod pachami, wyciera ręcznikiem. Może nie jest tak czysty, jak by chciał, ale przynajmniej nie śmierdzi gównem.

Inés siedzi na łóżku, kołyszając chłopca przytulonego do jej piersi jak niemowlę. Mały drzemie, z ust wycieka mu strużka śliny.

– Idę już – mówi szeptem Simón. – Daj znać, jakbym ci był potrzebny.

Gdy wspomina później w myślach wizytę u Inés, uderza go niezwykłość, nieprzewidywalność całego wydarzenia. Kto by przypuścił – wtedy gdy po raz pierwszy ujrzał na korcie tenisowym tę młodą kobietę, tak szykowną, tak jasną – że przyjdzie dzień,

gdy będzie musiał zmywać z własnego ciała jej gówno! Jak by to zinterpretowali w Instytucie? Czy dama o staloszarych włosach znalazłaby odpowiednie słowo: kupowatość kupy?

– Jeśli tym, czego szukasz, jest ulga – mówi Elena – jeśli zaznanie ulgi sprawi, że łatwiej ci się będzie żyło, to przecież istnieją miejsca, do których może pójść mężczyzna. Twoi koledzy nie mówili ci o nich?

– Ani słowa. Co właściwie rozumiesz przez ulgę?

– Ulgę seksualną. Jeżeli tym, czego szukasz, jest ulga seksualna, to nie muszę być twoją jedyną przystanią.

– Przepraszam – mówi sztywno Simón – nie zdawałem sobie sprawy, że tak na to patrzysz.

– Nie obrażaj się. Takie jest życie: mężczyźni potrzebują sobie ulżyć, wszyscy to wiemy. Mówię tylko, że coś z tym możesz zrobić. Istnieją miejsca, gdzie możesz pójść. Spytaj swoich przyjaciół w dokach, a jeśli się krępujesz, to poproś o informację w Ośrodku Przesiedleńczym.

– Mówisz o burdelach?

– Możesz je tak nazywać, chociaż z tego, co wiem, nie ma w nich nic obscurnego; są całkiem czyste i przyjemne.

– Czy dziewczęta z obsługi noszą mundurki?

Elena patrzy na niego ze zdziwieniem.

– Chodzi mi o to, czy są jednolicie ubrane, jak pielęgniarki? Łącznie z bielizną?

– O tym będziesz się musiał przekonać sam.

– I to zajęcie – praca w burdelu – jest akceptowane przez społeczeństwo?

Wie, że ją drażni swoimi pytaniami, ale znów jest w nim ten nastrój, zuchowaty, gorzki nastrój, nawiedzający go, odkąd oddał dziecko.

– Czy dziewczyna może uprawiać taki zawód i pokazywać się potem ludziom z podniesioną głową?

– Nie mam pojęcia – odpowiada Elena. – Idź i sprawdź. A teraz muszę cię przeprosić, bo za chwilę spodziewam się ucznia.

W rzeczywistości skłamał, kiedy powiedział Elenie, że nic nie wie o miejscach, do których mógłby pójść mężczyzna. Álvaro wspominał niedawno o klubie niedaleko doków, zwanym *Salon Confort*.

Z mieszkania Eleny idzie prosto do *Salon Confort*. „Centrum Wypoczynku i Rekreacji” – informuje grawerowana tablica przy wejściu. „Godziny otwarcia: od 2 po południu do 2 po północy. W poniedziałki nieczynne. Prawo wstępu zastrzeżone. Członkostwo przyznawane na podstawie podania”. I mniejszymi literami: „Doradztwo osobiste. Łagodzenie stresu. Terapia cielesna”.

Popycha drzwi i wchodzi do środka. Jest w pustej poczekalni. Pod jedną ścianą wyściełana ławka. Na biurku z napisem „Recepcja” tylko telefon. Siada i czeka.

Po dłuższej chwili z zaplecza wyłania się kobieta w średnim wieku.

– Przepraszam, że kazałam panu czekać – mówi. – Czym mogę służyć?

– Chciałbym zostać przyjęty na członka.

– Oczywiście. Poproszę pana tylko o wypełnienie tych dwóch formularzy, a potem o jakiś dowód tożsamości. – Podaje mu podkładkę do pisania i długopis.

Simón rzuca okiem na pierwszy formularz. Nazwisko, adres, wiek, zawód.

– Na pewno często tu goście marynarzy ze statków – zauważa. – Oni też muszą wypełniać formularze?

– Pan jest marynarzem? – pyta kobieta.

– Nie. Pracuję w dokach, nie jestem marynarzem. Wspominam o nich, bo są na łodzi tylko przez jedną albo dwie noce. Czy muszą się starać o członkostwo, kiedy was odwiedzają?

– Żeby korzystać z usług naszego ośrodka, musi pan być przyjęty na członka.

– A jak długo trwa takie przyjmowanie?

– Samo przyjmowanie niedługo. Ale potem musi pan ustalić godziny spotkań z terapeutką.

– Godziny spotkań?

– Jedna z naszych terapeutek musi pana wciągnąć na listę. To może potrwać jakiś czas. Często brak już miejsca na listach.

– Czyli gdybym był jednym z tych marynarzy, o których rozmawialiśmy – spędzającym na łodzi tylko noc lub dwie – to nie miałbym po co tu przychodzić. Zanim umówiłbym się na wizytę, mój statek dawno już byłby na pełnym morzu.

– *Salon Comfort* nie jest dla marynarzy, señor. Marynarze mają własne ośrodki rekreacyjne tam, skąd pochodzą.

– Może i mają, ale podczas rejsu nie mogą przecież z nich korzystać. Bo są tutaj, a nie tam.

– Tak, to prawda: my mamy swoje ośrodki, a oni swoje.

– Rozumiem. Jeśli mogę pozwolić sobie na uwagę: mówi pani jak absolwentka znajdującego się w śródmieściu Instytutu, Instytutu Studiów Uzupełniających – tak chyba brzmi jego nazwa.

– W rzeczy samej.

– No, właśnie. Jak absolwentka któregoś z prowadzonych tam kursów filozoficznych. Może logiki. Albo retoryki.

– Nie, nie jestem absolwentką Instytutu. No i jak – zdecydował się pan? Zamierza pan ubiegać się o członkostwo? Jeśli tak, to proszę wypełnić formularze.

Drugi formularz sprawia mu więcej kłopotów niż pierwszy. Nosi nagłówek: „Podanie o przydzielenie osobistego terapeuty. Opisz poniżej siebie i swoje potrzeby”.

„Jestem zwyczajnym człowiekiem o zwyczajnych potrzebach”, pisze Simón. „To znaczy moje potrzeby nie są wygórowane. Do niedawna byłem całodobowym opiekunem dziecka. Od czasu oddania dziecka w inne ręce (okres opieki dobiegł końca) czuję się nieco samotny. Nie wiem, co z sobą robić”. Powtarza się. To dlatego, że używa długopisu. Gdyby miał ołówek z gumką, mógłby przedstawić swoją osobę bardziej zwięźle. „Potrzebuję kogoś, kto by mnie wysłuchał, przed kim mógłbym się wywnętrzyć. Mam bliską przyjaciółkę, ale ona jest ostatnio myślami gdzie indziej. W naszych wzajemnych relacjach brakuje prawdziwej intymności. A tylko w atmosferze intymności człowiek może się otworzyć przed drugim, tak uważam”.

Co jeszcze?

„Tęsknię za pięknem”, pisze. „Kobiecym pięknem. Bardzo mi go brakuje. Pragnę piękna, które budzi we mnie nabożny podziw i wdzięczność – wdzięczność wobec losu za to, że trzyma się w ramionach piękną kobietę”.

Zastanawia się, czyby nie wykreślić całej wzmianki o pięknie, ale ostatecznie zostawia tak, jak jest. Jeśli mają go oceniać, to niech wezmą pod uwagę raczej poruszenia jego serca niż klarowność myśli. Albo logikę.

„Co nie znaczy, że nie jestem mężczyzną, z normalnymi męskimi potrzebami” – kończy mocnym akcentem.

*Que tontería!* Co za mętnik! Jakie moralne pomieszanie!

Oddaje formularze recepcjonistce. Ta czyta je uważnie – nie udając, że jest inaczej – od początku do końca. Są w poczekalni sami. O tej porze dnia ruch jest niewielki. Piękno budzi nabożny podziw: czy mu się zdaje, że widzi na jej twarzy cień uśmiechu, kiedy dochodzi w formularzu do tego miejsca? Czy jest tylko i wyłącznie recepcjonistką, czy też ma za sobą własne doświadczenia nabożnego podziwu i wdzięczności?

– Nie zaznaczył pan tej kratki – mówi kobieta. – „Czas trwania sesji: 30 minut, 45 minut, 60 minut, 90 minut”. Która możliwość najbardziej by panu odpowiadała?

– Powiedzmy, maksimum ulgi: dziewięćdziesiąt minut.

– Być może będzie pan musiał jakiś czas poczekać na dziewięćdziesięciominutową sesję. Ze względu na harmonogram. Niemniej zapiszę pana na długą pierwszą sesję. Może pan to później zmienić, jeśli tak pan uzna za stosowne. Dziękuję, to wszystko. Będziemy w kontakcie. Napiszemy do pana, informując o dacie pierwszej wizyty.

– Skomplikowana procedura. Teraz już rozumiem, dlaczego marynarze nie są tu mile widziani.

– Tak, nasz Salon nie jest przeznaczony dla przejezdnych. Ale bycie przejezdnym samo w sobie jest stanem przejściowym. Ktoś, kto tutaj jest przejezdnym, tam, skąd pochodzi, jest u siebie; podobnie jak ktoś, kto tutaj jest u siebie, byłby przejezdnym gdzie indziej.

– Z samej definicji – mówi Simón. – Pani logika jest nienaganna. Będę oczekiwał listu od pani.

W formularzu podał jako swój adres mieszkanie Eleny. Mijają dni. Pyta Elenę: nie ma dla niego żadnego listu.

Wraca do Salonu. Dyżur ma ta sama recepcjonistka.

– Pamięta mnie pani? – pyta Simón. – Byłem tu dwa tygodnie temu. Powiedziała pani, że dostanę od was wiadomość. Ale nie dostałem.

– Zaraz sprawdzę – mówi kobieta. – Pańskie nazwisko? – Otwiera szafkę i wyciąga skoroszyt. – Z tego, co widzę, to podanie jest w porządku. Zwłoka pochodzi zapewne stąd, że trzeba pana ożenić z właściwą terapeutką.

– Ożenić? Może źle się tamtym razem wyraziłem. Proszę zignorować to, co napisałem w formularzu na temat piękna i tak dalej. Nie szukam jakiejś idealnej partii, szukam po prostu towarzystwa, damskiego towarzystwa.

– Rozumiem. Będę pytać. Proszę mi dać kilka dni.

Dni mijają. Żadnego listu. Nie powinien był używać określenia „nabożny podziw”. Któż młoda kobieta próbująca dorobić na boku parę reali chciałaby wziąć na siebie tak wielką odpowiedzialność? Prawdopodobnie może i popłaca, ale czasami lepiej nie mówić całej prawdy. A więc: „Dlaczego ubiega się pan o członkostwo w *Salon Comfort*?”. Odpowiedź: „Bo jestem nowy w tym mieście i brak mi kontaktu z ludźmi”. Pytanie: „Jakiego rodzaju terapeutki pan szuka?”. Odpowiedź: „Kogoś młodego i ładnego”. Pytanie: „Jak długich sesji pan sobie życzy?”. Odpowiedź: „Trzydzieści minut wystarczy”.

Eugenio, jak się zdaje, chce pokazać, że ich spór na temat szcurów, historii i organizacji pracy w dokach nie zostawił w nim żadnych wrogich uczuć. Raczej częściej niż rzadziej Simón, wychodząc z pracy, widzi, jak Eugenio idzie w trop za nim, musi więc znowu powtarzać całą farsę i udawać, że niby to zmierza na autobus numer 6do Bloków.

– Podjąłeś jakąś decyzję w sprawie Instytutu? – pyta Eugenio podczas jednej z takich wędrówek do przystanku autobusowego. – Jest nadzieja, że się zapiszesz?

– Niestety, nie myślałem ostatnio zbyt wiele o Instytucie. Starłem się o przyjęcie do ośrodka rekreacyjnego.

– Ośrodka rekreacyjnego? Takiego jak *Salon Comfort*? Dlaczego chciałbyś tam być przyjęty?



– A ty i twoi koledzy nie korzystacie z jego usług? Jak sobie radzicie – nie wiem, czy się dobrze wyrażę – z popędami fizycznymi?

– Z popędami fizycznymi? Popędami ciała? Omawialiśmy to na zajęciach z filozofii. Chciałbyś wiedzieć, do jakich doszliśmy wniosków?

– Owszem.

– Otóż na początku zauważyliśmy, że popędy, o których mowa, nie mają określonego przedmiotu. To znaczy tym, ku czemu nas popychają, nie jest jakaś konkretna kobieta, ale kobieta w ogóle, kobiecego ideału. Kiedy więc aby uśmierzyć popęd, udajemy się do tak zwanego ośrodka rekreacyjnego, w istocie zdradzamy ów popęd. Dlaczego? Ponieważ oferowane w takich miejscach przejawy kobiecego ideału są marnymi imitacjami, a współżycie z marną imitacją może pozostawić w sercu poszukiwacza ideału jedynie rozczarowanie i smutek.

Simón próbuje wyobrazić sobie Eugenia – tego poważnego młodzieńca z jego podobnymi do sowych oczu okularami – w ramionach jakiejś marnej imitacji.

– Winą za swoje rozczarowanie obarczysz kobiety, które spotykasz w Salonie – ripostuje – ale może powinieneś zastanowić się nad samym popędem. Skoro do natury pragnienia należy sięganie po coś, co jest dlań niedostępne, to czy powinno nas dziwić, że popęd pozostaje niezaspokojony? Czy nauczycielka w Instytucie nie mówiła wam, że obściskiwanie marnych imitacji może być nieodzownym krokiem we wstępowaniu ku dobru, prawdzie i pięknu?

Eugenio milczy.

– Pomyśl o tym. Zapytaj sam siebie, gdzie byśmy byli, gdyby nie istniały takie rzeczy jak drabiny. O, jest już mój autobus. Do jutra, przyjacielu.

– Czy jest we mnie jakaś skaza, z której nie zdaję sobie sprawy? – pyta Elenę. – Chodzi mi o klub, do którego próbuję się zapisać. Jak myślisz, dlaczego nie chcą mnie przyjąć? Możesz być szczerą.

W ostatnim, fiołkowym świetle odchodzącego dnia siedzą oboje przy oknie, patrząc, jak jaskółki wzlatują w niebo i pikują w dół. Zażyłość – oto co wytworzyło się między nimi wraz z upływem czasu. *Compañeros* na mocy wzajemnej umowy. Koleżeńskie małżeństwo: czy Elena zgodziłaby się, gdyby jej coś takiego zaproponował? Mieszkanie u Eleny i Fidela z pewnością byłoby przyjemniejsze niż wegetowanie w samotnej szopie na terenie doków.

– Nie wiadomo, czy nie chcą cię przyjąć – mówi Elena. – Prawdopodobnie mają bardzo długą listę kandydatów. Z drugiej strony, dziwię się, że tak się przy nich upierasz. Może spróbowałbyś się zapisać do jakiegoś innego klubu? Albo po prostu daj sobie spokój.

– Dać sobie spokój?

– Z seksem. Masz już swoje lata. Czas poszukać spełnienia gdzie indziej.

Simón kręci głową.

– Za wcześniej, Eleno. Jeszcze jedna przygoda, jeszcze jedna porażka, dopiero wtedy pomyśle może o odejściu. Ale nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Czy jest we mnie coś, co odpycha ludzi? Na przykład sposób, w jaki mówię: czy dlatego się ode mnie odsuwają? Czy mój hiszpański jest zupełnie do niczego?

– Twój hiszpański nie jest doskonały, ale poprawia się z każdym dniem. Słyszę mnóstwo nowych, którzy mówią gorzej od ciebie.

– Kochana jesteś, że tak mówisz, ale w rzeczywistości mam kiepskie ucho. Często nie łapię, co ludzie mówią, i muszę się domyślać. Na przykład ta kobieta w Salonie: z jej słów zrozumiałem, że chce mnie ożenić z jedną z pracujących tam dziewcząt; pewnie się przesłyszałem. Powiedziałem jej, że wcale nie szukam żony, a ona spojrzała na mnie, jakbym był wariatem.

Elena milczy.

– To samo z Eugeniem – ciągnie Simón. – Zaczynam się zastanawiać, czy jest coś w mojej mowie, co zdradza człowieka tkwiącego w dawnych obyczajach, człowieka, który nie zapomniał.

– Żeby zapomnieć, trzeba czasu – mówi Elena. – Kiedy już na dobre zapomnisz, twoje poczucie niepewności ustąpi i wszystko stanie się łatwiejsze.

– Wypatruję tego błogosławionego dnia. Dnia, w którym zostanę przyjęty z otwartymi rękami w *Salon Confort*, w *Salon Relax* i wszystkich innych salonach Novilli.

Elena patrzy na niego ostro.

– Albo możesz czepiać się wspomnień, jeśli tak wolisz. Ale wtedy nie przychodź do mnie się użalać.

– Eleno, posłuchaj. Nie przykładam żadnej wagi do moich zmęczonych, starych wspomnień. Zgadza się z tobą: to tylko brzemień. Nie, tym, czego nie chcę się wyrzec, jest coś innego: nie same wspomnienia, ale poczucie zdomowienia w dawnym ciele, ciele przesiąkniętym przeszłością. Rozumiesz to?

– Nowe życie to nowe życie – mówi Elena – a nie stare życie w nowym otoczeniu. Popatrz na Fidela...

– Ale co nam z nowego życia – przerywa jej Simón – jeśli nie jesteśmy przez nie przemienieni, przeobrażeni, tak jak z pewnością ja nie jestem?

Elena daje mu czas, żeby powiedział więcej, ale on już skończył.

– Popatrz na Fidela – mówi kobieta. – Popatrz na Davida. Oni nie są tworamami pamięci. Dzieci żyją w teraźniejszości, a nie w przeszłości. Dlaczego nie miałbyś brać z nich przykładu? Zamiast czekać, aż zostaniesz przeobrażony, może warto spróbować znów być jak dziecko?

## 18

Simón i chłopiec spacerują po parku. To pierwsza z wycieczek, na które zezwoliła Inés. Mężczyzna idzie sprężystym krokiem, smutek ustąpił z jego serca. Kiedy jest z dzieckiem, ubywa mu lat.

– A jak tam Bolívar? – pyta.

– Bolívar uciekł.

– Uciekł! To ci niespodzianka! Myślałem, że jest bez reszty oddany tobie i Inés.

– Bolívar mnie nie lubi. Lubi tylko Inés. To jej pies.

– Ty jesteś synem Inés, ale kochasz nie tylko ją. Kochasz także mnie. Kochasz Diega i Stefana. Kochasz Álvara.

– Nie kocham.

– Przykro mi to słyszeć. A więc Bolívar zniknął. Jak myślisz, dokąd poszedł?

– On wrócił. Inés wystawiła mu jedzenie i wrócił. Teraz ona w ogóle go nie wypuszcza.

– Jestem pewien, że pies po prostu nie przyzwyczał się jeszcze do swojego nowego domu.

– Inés mówi, że to z powodu zapachu psów rodzaju żeńskiego. Bolívar chce stworzyć parę z jakimś psem rodzaju żeńskiego.

– Tak, to jedno z utrapień, jakie się wiąże z trzymaniem w domu psa pana; on chce przebywać z psami paniami, taka już jego natura. Gdyby psom panom i psom paniom odechciało się łączyć w pary, nie przychodziłyby na świat małe pieski, a wtedy po jakimś czasie w ogóle nie byłoby psów. Lepiej więc dać Bolívarowi trochę wolności. A jak sypiasz w nocy? Lepiej? Złe sny odeszły?

– Śniła mi się łódź.

– Jaka łódź?

– Ogromna. Zobaczyliśmy na niej człowieka w kapeluszu. Pirata.

– Pilota, nie pirata. I co z tą łodzią?

– Zatonęła.

– Zatonęła? I co było dalej?

– Nie wiem. Nie pamiętam. Przypląnęły ryby.

– Aha. To powiem ci, co było dalej. Zostaliśmy uratowani, ty i ja. Musieliśmy zostać uratowani, bo inaczej nie mogłoby nas być tutaj. To był więc tylko zły sen. Tak czy inaczej, ryby nie zjadają ludzi. Nie robią krzywdy. Ryby są dobre.

Pora wracać. Słońce już zachodzi, na niebie pojawiają się pierwsze gwiazdy.

– Widzisz te dwie gwiazdy, tam gdzie pokazuję – dwie jasne gwiazdy? To Bliźnięta. Nazywają się tak dlatego, że zawsze są razem. A ta gwiazda tam, tuż nad widnokregiem, czerwona, to Gwiazda Wieczorna, pierwsza, która się zapala, gdy słońce gaśnie.

– Czy to są bracia bliźniacy?

– Tak. Nie pamiętam ich imion, ale dawno, dawno temu byli oni tak sławni, że zostali zamienieni w gwiazdy. Może Inés będzie pamiętała tę opowieść. Czy ona opowiada ci historie?

– Tak, na dobranoc.

– To dobrze. Jak już się nauczysz czytać, nie będziesz potrzebować pomocy Inés ani mojej, ani niczyjej innej. Będziesz mógł czytać wszystkie historie na świecie.

– Ja umiem czytać, tylko nie chcę. Lubię, jak Inés mi opowiada.

– Nie jest to trochę krótkowzroczne? Czytanie otworzy ci nowe okna. A jakie historie opowiada ci Inés?

– O Trzecim Bracie.

– Historie o Trzecim Bracie? Nie znam żadnej z nich. O czym są?

Chłopiec przystaje, składa ręce, patrzy w dal i zaczyna mówić.

– Dawno, dawno temu żyło trzech braci i była zima, padał śnieg i matka powiedziała: „Trzej Bracia, Trzej Bracia, czuję w brzuchu wielki ból i boję się, że umrę, zanim któryś z was odnajdzie Mądrą Kobiętę, która strzeże drogocennego, uzdrawiającego ziele”.

Wtedy Pierwszy Brat rzekł: „Matko, Matko, ja odnajdę tę Mądrą Kobiętę”. Włożył płaszcz, wyszedł w śnieżycę i spotkał lisa, i lis zapytał: „Dokąd idziesz, Bracie?”, a Brat odparł: „Szukam Mądrej Kobiety, która strzeże drogocennego, uzdrawiającego ziele, więc nie mam czasu, żeby z tobą rozmawiać, z drogi, Lisie”, po czym kopnął Lisa, wszedł w las i nigdy więcej o nim nie słyszano.

Wtedy Matka powiedziała: „Dwaj Bracia, Dwaj Bracia, czuję w brzuchu wielki ból i boję się, że umrę, zanim któryś z was odnajdzie Mądrą Kobiętę, która strzeże drogocennego, uzdrawiającego ziele”.

Na co Drugi Brat rzekł: „Matko, Matko, ja pójdę”, włożył płaszcz, wyszedł w śnieżycę i spotkał Wilka, i Wilk powiedział: „Daj mi jeść, to pokażę ci drogę do Mądrej Kobiety”, a Brat odparł: „Z drogi, Wilku”, dał Wilkowi kopniaka, wszedł w las i słuch o nim zaginął.

Wtedy Matka powiedziała: „Trzeci Bracie, Trzeci Bracie, czuję w brzuchu wielki ból i boję się, że umrę, zanim przyniesiesz mi drogocenne, uzdrawiające ziele”.

Trzeci Brat zaś rzekł: „Nie lękaj się, Matko, odnajdę Mądrą Kobiętę i przyniosę uzdrawiające ziele”. Po czym wyszedł w śnieżycę i spotkał Niedźwiedzia, a ten powiedział: „Daj mi jeść, to pokażę ci drogę do Mądrej Kobiety”. Trzeci Brat odparł: „Chętnie, Niedźwiedziu. Dam ci wszystko, o co poprosisz”. Wtedy Niedźwiedź rzekł: „Daj mi swoje serce”. A Brat na to: „Chętnie dam ci swoje serce”. I dał Niedźwiedziowi serce, a Niedźwiedź je pożarł.

Potem Niedźwiedź pokazał mu tajemną ścieżkę i Brat dotarł do chaty Mądrej Kobiety. Zakołatał do drzwi, a Mądra Kobieta spytała: „Dlaczego krwawisz, Trzeci Bracie?”. A Trzeci Brat powiedział: „Dałem Niedźwiedziowi serce na pożarcie, żeby pokazał mi drogę, bo muszę zdobyć drogocenne ziele, które uleczy moją matkę”.

Wtedy Mądra Kobieta rzekła: „Oto jest drogocenne ziele, które zwą eskamel, a ponieważ miałeś wiarę i oddałeś swoje serce na pożarcie, matka twoja będzie uzdrowiona. Idź przez las po śladach krwi, a zajdziesz do domu”.

I tak Trzeci Brat dotarł do domu i rzekł do swej matki: „Matko, oto ziele eskamel, a teraz żegnaj, bo Niedźwiedź pożarł moje serce”. Matka skosztowała ziele eskamel i od razu wyzdrowiała. „Synu, mój synu – powiedziała – widzę, że jaśniejesz wielkim blaskiem”, bo tak było naprawdę. Trzeci Brat jaśniał wielkim blaskiem, a potem został uniesiony do nieba.

– I co...?

– To już wszystko. Koniec opowieści.

– Ostatni brat został więc zamieniony w gwiazdę, a matka została sama.

Chłopiec nie odzywa się.

– Nie podoba mi się ta historia. Koniec jest za smutny. Tak czy owak, ty nie możesz być trzecim bratem i zostać uniesiony do nieba, bo jesteś jednym jedynym – czyli pierwszym – bratem.

– Inés mówi, że mogę mieć więcej braci.

– Czyżby? A skąd się wezmą ci bracia? Czy ona oczekuje, że przyprowadzę ich tak jak ciebie?

– Mówi, że wyjdą z jej brzuszka.

– No więc ja ci powiem, że żadna kobieta nie może sobie zrobić dzieci sama. Potrzebny jest jakiś ojciec. Inés powinna o tym wiedzieć. Takie jest prawo natury, jednakowe dla nas, psów, wilków i niedźwiedzi. Ale nawet jeśli będzie miała więcej synów, i tak będziesz jej pierwszym synem, a nie drugim ani trzecim.

– Nie! – w głosie chłopca słychać gniew. – Ja chcę być trzecim synem! Powiedziałem to Inés i ona się zgodziła. Mówi, że mogę wrócić do jej brzuszka, a potem znowu wyjść.

– Inés tak powiedziała?

– Tak.

– No, cóż, jeśli wam się uda, to będzie cud. Nigdy nie słyszałem, żeby taki duży chłopiec jak ty wrócił do brzucha matki, nie mówiąc już o wyjściu z powrotem. Inés musiała mieć na myśli coś innego. Może próbowała powiedzieć, że zawsze będziesz jej najbardziej ukochanym dzieckiem.

– Nie chcę być najbardziej ukochany, chcę być trzecim synem. Obiecała mi!

– Jeden jest wcześniejsze od dwóch, Davidzie, a dwa od trzech. Inés może sobie obiecywać do utraty tchu, ale tego akurat nie zmieni. Jeden, dwa, trzy. To jest prawo silniejsze nawet od prawa natury. Nazywa się prawem liczb. Tak czy inaczej, chcesz być trzecim synem tylko dlatego, że trzeci syn jest bohaterem tych historii, które ona ci opowiada. Istnieje mnóstwo innych historii, gdzie bohaterem jest najstarszy, a nie trzeci syn. Zresztą synów nie musi być trzech. Może być po prostu jeden syn i wcale nie musi oddawać serca na pożarcie. Albo matka może mieć córki, a nie synów. Istnieje wiele, wiele opowieści i wiele typów bohatera. Gdybyś nauczył się czytać, sam byś się o tym przekonał.

– Umie czytać, tylko nie chcę. Nie lubię czytać.

– To niezbyt mądrze. Poza tym niedługo skończysz sześć lat, a wtedy będziesz musiał pójść do szkoły.

– Inés mówi, że nie muszę chodzić do szkoły. Mówi, że jestem jej skarbem i że mogę sam się uczyć w domu.

– Zgadzam się, że jesteś jej skarbem. Ma ogromne szczęście, że cię znalazła. Ale czy jesteś pewien, że chciałbyś siedzieć z Inés w domu po całych dniach? Gdybyś poszedł do szkoły, spotkałbyś inne dzieci w swoim wieku. Mógłbyś nauczyć się porządnie czytać.

– Inés mówi, że w szkole nikt nie poświęcałby mi indywidualnej uwagi.

– Indywidualnej uwagi? A cóż to jest?

– Inés mówi, że wymagam indywidualnej uwagi, bo jestem zdolny. Mówi, że w szkole nie poświęca się zdolnym dzieciom indywidualnej uwagi i one się nudzą.

– A dlaczego uważasz, że jesteś taki zdolny?

– Znam wszystkie liczby. Chcesz je usłyszeć? Znam 134, i 7, i jeszcze – bierze głęboki oddech – 4 623 551, i 888, i 92, i...

– Dość! To nie jest znajomość liczb. Znajomość liczb oznacza, że umie się liczyć. Ze zna się kolejność liczb – które są niższe, a które wyższe. Później uczy się także dodawać i odejmować, to znaczy przechodzić od jednej liczby do drugiej jednym skokiem, bez liczenia wszystkich stopni pośrednich. Wymienianie liczb to nie to samo co radzenie sobie z nimi. Mógłbyś tu stać i wymieniać liczby przez cały dzień i nie doszedłbyś do końca, bo liczby nie mają końca. Nie wiedziałeś o tym? Inés ci nie powiedziała?

– To nieprawda!

– Co nieprawda? Ze liczby nie mają końca? Ze nikt nie potrafi wymieniwać ich wszystkich?

– Ja potrafię.

– Świetnie. Mówisz, że znasz liczbę 888. To powiedz, jaka jest następna?

– 92.

– Źle. Następna liczba to 889. A która z tych dwóch jest większa: 888 czy 889?

– 888.

– Źle. 889 jest większa, bo 889 jest po 888.

– Skąd wiesz? Nigdy tam nie byłeś.

– Co to znaczy: „nie byłeś”? Oczywiście, że nigdy nie byłem w 888. Nie muszę tam być, żeby wiedzieć, że 888 jest mniejsze od 889. Dlaczego? Bo nauczyłem się, jak są konstruowane liczby. Nauczyłem się reguł arytmetyki. Kiedy pójdziesz do szkoły, też się ich nauczysz, a wtedy liczby nie będą już tak bardzo – szuka słowa – komplikować ci życia.

Chłopiec nie odpowiada, patrzy na Simóna nieruchomym wzrokiem. Mężczyzna ani przez chwilę nie sądzi, że mały puszcza jego słowa mimo uszu. Nie, wchłania je, wszystkie: wchłania, a potem odrzuca. Dlaczego to dziecko – tak bystre, tak skore do pójścia przez świat własną ścieżką – nie chce zrozumieć?

– Mówisz, że odwiedziłeś wszystkie liczby – próbuje jeszcze raz Simón. – To powiedz mi, jaka jest ostatnia, najbardziej ostatnia liczba ze wszystkich. Tylko nie mów: omega. Omega się nie liczy.

– Co to jest omega?

– Mniejsza o to. Po prostu nie mów omega. Powiedz mi ostatnią liczbę, najbardziej ostatnią.

Chłopiec zamyka oczy i bierze głęboki oddech. W skupieniu marszczy czoło. Jego usta poruszają się, ale nie wychodzi z nich żadne słowo.

Dwa ptaki przysiadają na gałęzi nad ich głowami, gruchają, szykują się do nocnego odpoczynku.

Po raz pierwszy przychodzi Simónowi na myśl, że to dziecko ma w sobie nie tylko bystrość – dużo jest bystrych dzieci na świecie – ale coś jeszcze, czego on sam nie potrafi w tej chwili nazwać. Wyciąga rękę i potrząsa lekko chłopcem.

– Wystarczy – mówi. – Wystarczy tego liczenia.

Chłopiec wzdryga się. Otwiera oczy, jego twarz traci swój urzeczony wygląd i wykrzywia ją skurcz.

– Nie dotykaj mnie! – krzyczy dziwnym, wysokim głosem. – Przez ciebie zapomniałem! Nienawidzę cię!

– Jeśli nie chcesz, żeby chodził do szkoły, to przynajmniej pozwól, żebym nauczył go czytać – mówi Simón do Inés. – Dojrzał już do tego, raz-dwa wszystko podłapie.

W osiedlowym domu kultury znajduje się maleńka biblioteka z kilkoma półkami książek: *Naucz się stolarstwa*, *Szydełkowanie*, *Sto jeden kuchennych przepisów na lato* i tak dalej. Ale pod innymi książkami leży na płask tom ze zniszczonym grzbietem: *Ilustrowany Don Quixote dla dzieci*.

Simón z tryumfem pokazuje Inés swoje znalezisko.

– Kto to jest Don Quixote? – pyta kobieta.

– Rycerz z dawnych czasów. – Simón otwiera książkę na pierwszej ilustracji: wysoki chudy mężczyzna z kosmykową brodą, odziany w zbroję, siedzi na utrudzonej szkapie; obok niego korpulentny jegomość na ośle. – To komedia – mówi. – Spodoba się Davidowi. Nikt nie tonie, nikt nie zostaje zabity, nawet koń.

Sadowi się przy oknie z chłopcem na kolanach.

– Ty i ja będziemy razem czytać tę książkę, jedną stronę każdego dnia, a czasem dwie. Najpierw przeczytam głośno opowieść, a potem przejdziemy ją słowo po słowie, patrząc, jak wyrazy łączą się z sobą. Zgodna?

Chłopiec kiwa głową.

– „Żył raz pewien człowiek w La Manchy...” – La Mancha jest w Hiszpanii, skąd wywodzi się język hiszpański – „... ani już młody, ani jeszcze stary, który pewnego dnia

wpadł na pomysł, że zostanie rycerzem. Zdjął więc ze ściany zardzewiałą zbroję, przywdział ją, gwizdnął na swego konia Rosynanta, przywołał przyjaciela imieniem Sancho i mówi doń: »Sancho, zamierzam wyruszyć w poszukiwaniu rycerskich przygód – czy przyłączysz się do mnie?«. Zobacz, tu jest napisane „Sancho” i tutaj znowu to samo słowo rozpoczynające się na literę S. Postaraj się zapamiętać, jak wygląda.

– Co to są rycerskie przygody? – pyta chłopiec.

– Przygody, jakie ma rycerz, *caballero*. Ratowanie pięknych dam w niebezpieczeństwie. Staczanie walk z ogami i olbrzymami. Zobacysz. Ta książka jest pełna rycerskich przygód.

„Otóż Don Quixote i jego druh Sancho...” – popatrz, „Don Quixote” pisze się przez Q z takim ogonkiem, a tu jeszcze raz „Sancho” – „... nie ujechali daleko, gdy ujrzeli stojącego przy drodze olbrzyma o czterech ramionach zakończonych czterema ogromnymi pięściami, którymi wygrażał podróżnym. »Spójrz, Sancho, to nasza pierwsza przygoda – rzekł Don Quixote. – Dopóki nie zgładzę tego olbrzyma, żaden wędrowiec nie będzie bezpieczny«. Sancho wytrzeszczył oczy na przyjaciela. »Nie widzę żadnego olbrzyma – powiedział. – Jedyne, co widzę, to wiatrak o czterech skrzydłach obracających się na wietrze«”.

– Co to jest wiatrak? – pyta chłopiec.

– Popatrz na obrazek. Te wielkie ramiona to skrzydła wiatraka. Kiedy wiatr nimi porusza, napędzają koło, a to koło obraca wewnątrz wiatraka wielki kamień, zwany młyńskim, ten kamień zaś miele pszenicę na mąkę, z której piekarz może upiec dla nas chleb.

– Ale to nie jest tak naprawdę wiatrak, prawda? – mówi chłopiec. – Czytaj dalej.

– „»Może i widzisz wiatrak, Sancho – rzekł Don Quixote – ale tylko dlatego, że zły czarnoksiężnik Maladuta rzucił na ciebie czar. Gdyby twoje oczy nie były przesłonięte mgłą, widziałbyś czteroramiennego olbrzyma rozkraczonego na drodze«. Chcesz wiedzieć, kto to jest czarnoksiężnik?

– Znam się dobrze na czarnoksiężnikach. Czytaj dalej.

– „Z tymi słowy Don Quixote nastawił kopię, spiał Rosynanta ostrogami i skoczył na olbrzyma. Jedną ze swoich czterech pięści olbrzym bez trudu sparował uderzenie. »Ha, ha, ha, żałosny rycerzynie – zaśmiał się szyderczo – naprawdę wierzyłeś, że mnie pokonasz?«

Wówczas Don Quixote dobył miecza i zaatakował ponownie. Ale olbrzym z równą łatwością odbił drugą pięścią miecz, razem z rycerzem i jego rumakiem.

Rosynant zdołał wstać na nogi, lecz Don Quixote był oszołomiony po ciosie w głowę. »Ach, Sancho – rzekł rycerz – jeśli pani mojego serca, cudna Dulcynea, własnymi rękami nie opatrzy moich ran, okładając je leczniczym balsamem, to obawiam się, że nie doczekam jutrzejszego poranka«. »Głupstwo, wasza wielmożność – odparł Sancho – to tylko guz na głowie, będziesz zdrow jak rydz, gdy tylko odciągnę cię od tego wiatraka«. »Nie wiatraka, lecz olbrzyma, Sancho« – poprawił Don Quixote. »Gdy tylko odciągnę cię od tego olbrzyma« – rzekł Sancho”.

– Dlaczego Sancho również nie walczy z olbrzymem? – pyta chłopiec.

– Bo Sancho nie jest rycerzem. Nie jest rycerzem, nie ma więc miecza ani kopii, tylko kozik do obierania ziemniaków. Wszystko, co może zrobić – jak zobaczymy jutro – to załadować Don Quixote’a na swego osła i zawieźć go do najbliższej gospody, żeby tam odpoczął i nabrał sił.

– Ale dlaczego Sancho nie uderzył olbrzyma?

– Bo Sancho wie, że olbrzym jest w rzeczywistości wiatrakiem, a z wiatrakami się nie walczy. Wiatrak to nie jest żywe stworzenie.

– To nie wiatrak, to olbrzym! On tylko na obrazku jest wiatrakiem.

Simón odkłada książkę.

– Davidzie – mówi. – *Don Quixote* to niezwykła książka. Pani w bibliotece, która nam ją wypożyczyła, myśli, że to prosta książka dla dzieci, ale w rzeczywistości ona wcale nie jest taka prosta. Ukazuje nam świat poprzez dwie pary oczu, oczu Don Quixote’a i oczu Sancha.

Dla Don Quixote'a to, z czym walczy, jest olbrzymem. Dla Sancha – wiatrakiem. Większość z nas – może ty nie, ale jednak większość – zgodzi się z Sanchem, że to wiatrak. Do tak myślących osób należy artysta, który narysował na obrazku wiatrak. Ale również człowiek, który napisał tę książkę.

– A kto ją napisał?

– Niejaki Benengeli.

– Czy on mieszka w bibliotece?

– Chyba nie. Nie jest to niemożliwe, ale powiedziałbym, że nieprawdopodobne. W każdym razie nie zauważyłem go tam. Łatwo byłoby go rozpoznać. Nosi długą szalę, a na głowie turban.

– Czemu czytamy książkę Bengeliego?

– Benengelego. Bo trafiłem na nią w bibliotece. Bo pomyślałem, że ci się spodoba. Bo dobrze zrobi twojej hiszpańszczyźnie. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

Chłopiec milczy.

– Przerwijmy teraz, a jutro przeczytamy sobie następną przygodę Don Quixote'a i Sancha. Spodziewam się, że do jutra nauczysz się rozpoznawać słowo „Sancho”, przez duże S, i „Don Quixote” przez Q z ogonkiem.

– To nie są przygody Don Quixote'a i Sancha. To są przygody Don Quixote'a.



## 19

Do doków zawinął jeden z większych statków towarowych, które Álvaro nazywa frachtowcami o podwójnym brzuchu, z ładowniami na dziobie i na rufie. Dockerzy rozdzielają się na dwie grupy. Simón jest w zespole pracującym w ładowni dziobowej.

Przed południem pierwszego dnia wyładunku słyszy z dołu jakieś zamieszanie na pokładzie i przenikliwy dźwięk gwizdka.

– To alarm pożarowy – mówi jeden z jego towarzyszy. – Wychodzimy, szybko!

Gdy wspinają się po drabinie, czuje zapach dymu. Wydobywa się on kłęбами z ładowni na rufie.

– Wszyscy na zewnątrz! – krzyczy Álvaro ze swojego stanowiska na mostku obok kapitana statku. – Wszyscy na brzeg!

Ledwie sztauerzy wciągnęli za sobą drabiny, załoga statku zamyka olbrzymie pokrywy luków.

– Nie będą gasić ognia? – pyta Simón.

– Dławią go – odpowiada jego towarzysz. – Za godzinę albo dwie sam zgaśnie. Ale ładunek pójdzie na straty, bez dwóch zdań. Równie dobrze możemy nim nakarmić ryby.

Sztauerzy gromadzą się na kei. Álvaro zaczyna odczytywać listę obecności.

– Adriano... Augustin... Alexandre...

– Jest... jest... jest... – słychać w odpowiedzi.

Aż dochodzi do Marciana.

– Marciano...

Cisza.

– Ktoś widział Marciana?

Cisza. Spod zamkniętej pokrywy luku wypływa w nieruchome powietrze smużka dymu.

Marynarze znów odciągają pokrywy luków. Natychmiast spowija ich gęsty szary dym.

– Zamykać! – wydaje komendę kapitan statku; a do Álvaro: – Jeśli twój człowiek tam został, to już po nim.

– Nie zostawimy go tak – odpowiada Álvaro. – Ja zejść na dół.

– Dopóki ja tu rozkazuję, nie zejdziesz.

W południe pokrywy luków na rufie zostają na chwilę otwarte. Dym jest tak samo gęsty jak przedtem. Kapitan nakazuje zalać ładownie wodą. Dockerzy są zdruzgotani.

Simón zdaje Inés relację z wydarzeń dnia:

– Co do Marciana, nie będziemy nic wiedzieć na pewno, dopóki rano nie wypompują wody z ładowni.

– Dlaczego nic nie wiecie o Marcianie? Co mu się stało? – wtrąca się do rozmowy chłopiec.

– Myślę, że zapadł w sen. Był nieostrożny i nałykał się zbyt wiele dymu. Jeśli człowiek wchłonie zbyt wiele dymu, robi się słaby, kręci mu się w głowie i zapada w sen.

– A później?

– Później, niestety, nie budzi się już w tym życiu.

– Umiera?

– Tak, umiera.

– Jeśli umarł, to przejdzie do następnego życia – mówi Inés. – Więc nie ma się co o niego martwić. Czas na kąpiel. Chodź.

– Czy Simón może mnie wykapać?

Simón nie widział Davida nago od długiego czasu. Z przyjemnością zauważa, że malec nabrał ciała.

– Wstań – mówi. Spłukuje z chłopca ostatnie ślady mydła i zawija go w ręcznik.

– Teraz się szybko powycieramy, a potem włożymy piżamę.

– Nie – protestuje dziecko. – Chcę, żeby Inés mnie wytarła.

– On chce, żebyś ty go wytarła – przekazuje kobiecie. – Widocznie ja się nie nadaję.

Rozciągnięty na łóżku chłopiec pozwala, by Inés krzątała się koło niego, wycierając mu ręcznikiem wilgoć między palcami stóp i w szczelinie między nogami. Trzyma kciuk w buzi; jego oczy, odurzone przemożną rozkoszą, leniwie śledzą ruchy kobiety.

Inés pudruje go talkiem, jakby był niemowlęciem; pomaga mu ubrać się w piżamę.

Pora już spać, ale chłopiec nie może się uwolnić od myśli o Marcianie.

– Może nie umarł – mówi. – Pójdziemy tam zobaczyć, ty, Inés i ja? Nie będę wdychał dymu, przysięgam. Pójdziemy?

– To nie ma sensu, Davidzie. Za późno, żeby uratować Marciana. A zresztą ładownia statku jest pełna wody.

– Nie za późno! Ja dam nura do wody, jak foka, i uratuję go. Mogę pływać, gdzie zechcę, mówię ci. Jestem mistrzem ucieczek.

– Nie, mój chłopcze, nurkowanie w zalanej wodą ładowni jest zbyt niebezpieczne, nawet dla mistrza ucieczek. Utkniesz gdzieś i nigdy nie wypłyniesz. Poza tym mistrzowie ucieczek nie ratują innych ludzi, tylko samych siebie. I nie jesteś foką. Nie uczyłeś się pływać. Czas, żebyś zrozumiał, że nie zostaje się pływakiem ani mistrzem ucieczek tylko dlatego, że się chce. Zresztą Marciano nie chce być uratowany, nie chce wrócić do tego życia. Marciano znalazł spokój. W tej chwili prawdopodobnie przepływa na drugą stronę morza, wypatrując nowego życia. To będzie dla niego wielka przygoda – zmyć z siebie to, co było, i zacząć wszystko od nowa. On nie chce już być sztauerem i dźwigać na barkach ciężkich worków. Może być ptakiem. Może być, czym tylko zechce.

– Na przykład foką.

– Ptakiem albo foką. Albo nawet wielkim grubym wielorybem. Nic nie ogranicza tego, czym można być w następnym życiu.

– Czy ty i ja przejdziemy do następnego życia?

– Dopiero gdy umrzemy. A nie zamierzamy przecież umierać. Zamierzamy żyć przez długi czas.

– Jak bohaterowie. Bohaterowie nie umierają, prawda?

– Nie, bohaterowie nie umierają.

– Czy w następnym życiu będziemy musieli mówić po hiszpańsku?

– Na pewno nie. Niewykluczone jednak, że będziemy musieli uczyć się chińskiego.

– A Inés? Czy Inés też tam będzie?

– To zależy od niej. Ale jestem pewien, że jeśli ty przejdiesz do następnego życia, to Inés pośpieszy za tobą. Ona bardzo cię kocha.

– Spotkamy się z Marcianem?

– Jasne. Możemy go jednak nie rozpoznać. Będzie nam się zdawać, że widzimy ptaka, fokę albo wieloryba. A Marciano będzie myślał, że patrzy na hipopotama, choć to będziesz ty.

– Nie, mnie chodzi o prawdziwego Marciana, w dokach. Czy spotkamy się z prawdziwym Marcianem?

– Jak tylko zostanie wypompowana woda z ładowni, kapitan pošle ludzi, żeby wydobyli ciało Marciana. Ale prawdziwego Marciana nie będzie już wśród nas.

- Mogę go zobaczyć?
- Prawdziwego Marciana – nie. Prawdziwy Marciano jest dla nas niewidoczny. Co się tyczy ciała – tego, z którego Marciano się oswobodził – to nim dotrzemy do doków, zostanie już stamtąd zabrane. Marynarze zrobią to o świcie, gdy będziesz jeszcze spał.
- Zabrane dokąd?
- Żeby je pochować.
- A jeśli on nie umarł? Co, jeśli go pochowają, a on nie będzie martwy?
- Tak się nie zdarzy. Ludzie, którzy grzebią umarłych – grabarze – bardzo uważają, żeby nie pochować kogoś żywcem. Nasłuchują bicia serca. Nasłuchują oddechu. Jeśli wyczują choćby najslabsze bicie serca, nie zakopią go. Nie ma więc potrzeby się martwić. Marciano odpoczywa w pokoju...
- Nie, nie rozumiesz! Co, jeśli on ma w brzuchu pełno dymu, ale nie jest naprawdę martwy?
- W płucach. Oddychamy płucami, nie brzuchem. Jeśli Marciano wciągnął dym do płuc, to z pewnością jest martwy.
- To nieprawda! Tylko tak mówisz! Możemy pójść do doków, zanim przyjdą tam grabarze? Możemy pójść teraz?
- Teraz, po ciemku? Nie, nie możemy. Dlaczego tak się rwiesz, żeby zobaczyć Marciana, mój chłopcze? Martwe ciało nie jest ważne. Ważna jest dusza. Dusza Marciana jest prawdziwym Marcianem; i ta dusza jest właśnie w drodze do następnego życia.
- Chcę zobaczyć Marciana! Chcę wyssać z niego dym! Nie chcę, żeby go zakopali!
- Davidzie, gdyby dało się uratować Marciana, wysysając dym z jego płuc, marynarze dawno by już to zrobili, daję ci słowo. Marynarze są tacy sami jak my, pełni dobrej woli. Ale nie można człowiekowi przywrócić życia, usuwając dym z jego płuc; nie wtedy, gdy umarł. To jedno z praw natury. Gdy jesteś martwy, to jesteś martwy. Ciało nie powraca do życia. Tylko dusza żyje dalej: dusza Marciana, moja dusza, twoja dusza.
- Nieprawda! Ja nie mam duszy! Ja chcę ratować Marciana!
- Nie pozwolę na to. Pójdziemy wszyscy na pogrzeb Marciana i przed tym pogrzebem będziesz miał sposobność, jak każdy z nas, ucałować go na pożegnanie. Tyle. Nie zamierzam ani chwili dłużej rozmawiać z tobą o śmierci Marciana.
- Nie będziesz mi mówił, co mam robić! Nie jesteś moim ojcem! Zapytam Inés!
- Zapewniam cię, że Inés nie podrażuje z tobą w nocy do doków. Bądź rozsądny. Wiem, że lubisz ratować ludzi, i to jest godne podziwu, ale czasami ludzie nie chcą, żeby ich ratowano. Daj spokój Marcianowi. On odszedł. Zachowajmy o nim dobre wspomnienia i pozwólmy, żeby opuścił swoją skorupę. A teraz Inés opowie ci historię na dobranoc.

Kiedy przychodzi następnego rana na swoją zmianę, wypompowywanie wody z ładowni na rufie dobiega już prawie końca. W ciągu godziny zastęp marynarzy jest gotów do zejścia; wkrótce potem na oczach milczących, zgromadzonych na kei dokerów ciało ich nieżyjącego towarzysza, przypięte pasami do noszy, zostaje wyniesione na pokład.

Álvaro zwraca się do kolegów:

– Za dzień albo dwa będziemy mogli godnie pożegnać naszego przyjaciela, chłopcy. Ale na razie czeka nas, jak co dzień, praca. W ładowni jest piekielny bałagan i musimy to wszystko posprzątać.

Resztę dnia sztauerzy spędzają – po kostki w wodzie – w ładowni wypełnionej gryzącym zapachem mokrego popiołu. Wszystkie worki ze zbożem popękały; robotnicy ładują szuflami lepką maź do wiader, podają sobie z rąk do rąk na pokład i wylewają za burtę. Jest to praca pozbawiona radości, wykonywana w milczeniu, w miejscu śmierci. Kiedy Simón dociera wieczorem do mieszkania Inés, jest wyczerpany i w mrocznym nastroju.

– Nie masz przypadkiem czegoś mocniejszego? – pyta.

– Nie, wszystko się skończyło. Zrobię ci herbaty.

Rozwalony na łóżku chłopiec jest pochłonięty swoją książką. Marciano poszedł w niepamięć.

– Cześć – wita go mężczyzna. – Jak tam dzisiaj nasz Don? Co porabia?

Chłopiec ignoruje pytanie.

– Co mówi to słowo? – pyta, wskazując palcem.

– Mówi: *Aventuras*, przez duże A. Przygody. Przygody Don Quixote’a.

– A to?

– *Fantástico*, przez F. A to słowo – pamiętasz dużą literę Q? – to *Quixote*. Zawsze możesz rozpoznać Quixote’a po tym dużym Q. Mówiłeś chyba kiedyś, że znasz litery.

– Nie chcę czytać liter. Chcę czytać opowieść.

– To niemożliwe. Opowieść składa się ze słów, a słowa z liter. Bez liter nie byłoby żadnej opowieści, żadnego Don Quixote’a. Musisz znać litery.

– Pokaż mi, gdzie jest *Fantástico*.

Simón naprowadza palec chłopca na słowo.

– Tutaj.

Paznokcie Davida są czyste i starannie obcięte, podczas gdy jego własna dłoń, niegdyś gładka i czysta, jest spękana i usmolona, z brudem głęboko wżartym w skórę.

Chłopiec zaciska mocno powieki, bierze oddech, znów otwiera oczy.

– *Fantástico*.

– Doskonale. Nauczyłeś się rozpoznawać słowo *Fantástico*. Czytania można się uczyć na dwa sposoby. Pierwszy sposób jest taki, że uczysz się słów, jedno po drugim, tak jak ty to robisz. Drugi, szybszy, polega na uczeniu się liter tworzących słowa. Jest ich dwadzieścia siedem. Kiedy już się ich nauczysz, będziesz mógł sam odczytywać nieznane słowa, bez mojej pomocy.

Chłopiec potrząsa głową.

– Ja chcę się uczyć w ten pierwszy sposób. Gdzie jest olbrzym?

– Olbrzym, który w rzeczywistości jest wiatrakiem? – Simón odwraca kartkę. – Tu jest olbrzym. – Umieszcza palec chłopca na słowie *gigante*.

Dziecko zamyka oczy.

– Czytam palcami – oświadczają.

– Nie ma znaczenia, w jaki sposób czytasz – oczami czy palcami, jak osoba nie widząca – byłeś tylko naprawdę czytały. Pokaż mi słowo *Quixote*, przez Q.

Chłopiec dźga palcem w kartkę.

– To.

– Nie. – Simón przesuwa palec chłopca na właściwe miejsce. – To jest *Quixote*, przez duże Q.

Malec wyrywa ze złością rękę.

– To nie jest prawdziwe imię, nie wiesz?

– Może nie pod takim znali go sąsiedzi, ale jest to imię, które sam sobie wybrał i pod którym my go znamy.

– To nie jest jego prawdziwe imię.

– A jakie jest prawdziwe?

Chłopiec raptem wycofuje się w siebie.

– Idź już – mruczy. – Będę czytać sam.

– Świetnie, już idę. Kiedy oprzytomniejesz i dojdiesz do wniosku, że chcesz się uczyć, jak należy, to mnie zawołaj. Zawołaj i powiedz, jakie jest prawdziwe imię Dona.

– Nie powiem. To tajemnica.

Inés jest zajęta w kuchni. Nie podnosi nawet głowy, gdy Simón wychodzi.

Mija dzień, zanim znów ich odwiedza. Zastaje chłopca zatopionego w książce, jak poprzednio. Próbuje coś zagadać, ale David robi tylko niecierpliwy gest – ććć...! – i odwraca kartkę szybkim, nerwowym ruchem, jakby krył się za nią wąż, który może go ukąsić.

Ilustracja ukazuje Don Quixote'a obwiązanego powrozem i opuszczanego do otworu w ziemi.

– Chcesz, żebym ci pomógł? Powiedzieć ci, co się dzieje? – pyta mężczyzna.

Chłopiec kiwa głową.

Simón bierze książkę.

– To jest rozdział pod tytułem *Jaskinia Montesinos*. Nasłuchawszy się wiele o jej słynnych skarbach, Don Quixote postanowił zobaczyć je na własne oczy. Poprosił więc swego przyjaciela Sancho i pewnego uczonego w piśmie męża – to musi być ten w kapeluszu – żeby spuścili go w głąb ciemnej czeluści, a później czekali na sygnał, by wyciągnąć go z powrotem.

„Pełną godzinę Sancho wraz uczonym mężem siedzieli i czekali u ujścia jaskini...”

– Kto to jest uczony w piśmie?

– To człowiek, który czyta mnóstwo książek i wie mnóstwo rzeczy. „Pełną godzinę Sancho wraz z uczonym mężem siedzieli i czekali u ujścia jaskini, aż poczuli szarpnięcie na końcu sznura i zaczęli ciągnąć, i takim sposobem Don Quixote wynurzył się na powierzchnię”.

– Więc Don Quixote nie umarł?

– Nie, nie umarł.

Chłopiec wydaje westchnienie ulgi.

– To dobrze, prawda? – pyta.

– Oczywiście, że dobrze. Ale dlaczego myślałeś, że umarł? To przecież Don Quixote. Bohater.

– Bohater i sztukmistrz. Można go związać sznurem i włożyć do skrzyni, a gdy się otworzy skrzynię, jego tam nie ma, uciekł.

– Ach, więc myślałeś, że Sancho i uczony związali Don Quixote'a? Nie, nie. Gdybyś czytał książkę, zamiast tylko oglądać obrazki i domyślać się treści, tobyś wiedział, że oni użyli sznura, żeby go spuścić do jaskini, a nie żeby go związać. Mam czytać dalej?

Chłopiec przytakuje.

– „Z całego serca podziękował Don Quixote swoim przyjaciołom. Później zaś uraczył ich opowieścią o wszystkim, co przeżył w jaskini Montesinos. W ciągu trzech dni i trzech nocy, które spędził pod ziemią – powiedział – oglądał wiele dziwów, jak choćby wodospady, których kaskady nie były kroplami wody, lecz skrzącymi się diamentami. Spotkał orszak księżniczek w jedwabnych szatach, a także – o, największy ze wszystkich cudów! – nadobną Dulcyneę dosiadającą białego rumaka z nabijaną klejnotami uzdą i onaż Dulcynea zatrzymała się i uprzejmie z nim rozmawiała. »Ależ, panie – zawołał Sancho – zapewne się pomyliłeś, bo spędziłeś pod ziemią nie trzy dni i trzy noce, lecz co najwyżej godzinę!« »Nie, Sancho – odparł z powagą Don Quixote – nie było mnie przez trzy dni i trzy noce; jeśli zdawały wam się one ledwie godziną, to dlatego że czekając, zapadliście w drzemkę i zapomnieliście o upływie czasu«.

Sancho już miał zaoponować, ale ugryzł się w język, pamiętając, jak uparty potrafi być Don Quixote. »Tak, panie – powiedział, mrugając znacząco do uczonego w piśmie – najwyraźniej masz rację: przez trzy pełne dni i trzy pełne noce byliśmy pogrążeni we śnie, aż do twojego powrotu. Ale powiedz nam, proszę, coś więcej o cudnej Dulcynei i o tym, co zaszło między wami dwojgiem«.

Don Quixote spojrział na Sancha surowo. »Sancho – rzekł – człowiecze małej wiary, dlaczego wątpisz, dlaczego wątpisz?« I umilkł.

Sancho podrapał się w głowę. »Wasza wielmożność – powiedział – nie będę zaprzeczał, że trudno uwierzyć, iż spędziłeś w jaskini Montesinos trzy dni i trzy noce, które nam się wydały ledwie godziną; nie będę też zaprzeczał, że trudno uwierzyć, iż w tej akurat chwili pod naszymi stopami przechodzą procesje księżniczek, paradują na śnieżnobiałych rumakach piękne damy i co tam jeszcze. Gdyby jednak nadobna Dulcynea ofiarowała ci jakąś pamiątkę – powiedzmy, rubin czy szafir z uzdy jej wierzchowca – pamiątkę, którą ty, panie, mógłbyś pokazać takim nędznym niedowiarkom jak my, byłaby to zupełnie inna sprawa«. »Rubin albo szafir – zadumał się Don Quixote. – Powiniennem więc pokazać wam jakiś rubin albo szafir na dowód, że nie kłamię«. »Można to tak ująć – potwierdził Sancho. – Można to tak ująć«. »A gdybym ci pokazał, Sancho, taki rubin czy szafir, to co wtedy?« »Wtedy, panie, padłbym na kolana, ucałował twą dłoń i błagał cię, abyś mi wybaczył, iż kiedykolwiek wątpiłem w twoje słowa. I byłbym twoim wiernym wyznawcą aż do kresu czasów«”.

Simón zamyka książkę.

– I co? – pyta chłopiec.

– I nic. Koniec rozdziału. Dalszy ciąg jutro.

Chłopiec wyjmując książkę z jego rąk, ponownie otwiera ją na rysunku przedstawiającym obwiązane sznurem Don Quixote’a i wbija wzrok w wydrukowany obok tekst.

– Pokaż mi – mówi cicho.

– Co mam pokazać?

– Pokaż mi koniec rozdziału.

Simón wskazuje miejsce, w którym rozdział się kończy.

– A to już jest, zobacz, początek nowego rozdziału, pod tytułem *Don Fedro y las marionetas, Don Pedro i lalki. Jaskinię Montesino* mamy już za sobą.

– Ale Don Quixote nie pokazał Sanchowi rubinu?

– Nie wiem. Pan Benengeli tego nie mówi. Może tak, a może nie.

– Ale czy naprawdę miał rubin? Naprawdę był pod ziemią trzy dni i trzy noce?

– Nie wiem. Może dla Don Quixote’a czas nie jest taki jak dla nas. Może to, co dla nas jest mrugnięciem oka, dla niego jest całym eonem. Skoro jednak jesteś przekonany, że Don Quixote wyszedł z jaskini z kieszeniami pełnymi rubinów, to może powinieneś napisać o tym własną książkę. Wtedy moglibyśmy zwrócić do biblioteki książkę pana Benengelego, a czytać twoją. Ale zanim będziesz potrafił napisać książkę, musisz wprawdzie nauczyć się czytać, niestety.

– Umieć czytać.

– Nie, nie umiesz. Umiesz patrzeć na stronę w książce, poruszać ustami i układać sobie w głowie różne historie, ale to nie jest czytanie. Żeby naprawdę czytać, musisz się podporządkować temu, co jest napisane na tej stronie. Musisz się wyrzec swoich fantazji. Musisz przestać być głupi. Musisz przestać być małym dzidziusiem.

Nigdy jeszcze nie mówił do chłopca tak bezpośrednio, tak ostro.

– Nie chcę czytać po twojemu – mówi dziecko. – Chcę czytać po swojemu. Żył raz gdzieś tam jeden zuch, który przygód miał za dwóch. Kiedy jeździł, to był koniem, a gdy chodził, to był proniem.

– To jakaś brednia. Nie ma czegoś takiego jak próń. Don Quixote nie jest brednią. Nie możesz po prostu zmyślać głupstw i udawać, że czytasz o nim.

– Mogę! To nie jest bzdura, a ja umiem czytać! Moja książka, nie twoja!

Marszczy brwi i znów z furją przewraca kartki.

– Wprost przeciwnie, to jest książka pana Benengelego, którą on dał światu i dlatego należy do nas wszystkich – do nas wszystkich w jednym sensie, a do biblioteki w drugim, ale w żadnym razie do ciebie samego. I przestań szarpać kartki. Dlaczego tak się obchodzisz z książką?

– Bo tak. Bo jak się nie będę śpieszył, to otworzy się dziura.

- Gdzie?
- Między stronami.
- Bzdura. Nie ma czegoś takiego jak dziura między stronami.
- Jest. Wewnątrz strony. Nie widzisz jej, bo ty nic nie widzisz.
- Przestań już! – krzyczy Inés.

Przez moment Simón myśli, że kobieta zwraca się do chłopca. Ze dojrzała wreszcie do tego, by ofuknąć małego za samowolę. Ale nie, ona patrzy na niego.

- Chciałaś przecież, żeby chłopiec uczył się czytać – mówi.
- Nie za cenę całej tej awantury. Znajdź jakąś inną książkę. Łatwiejszą. Ten *Don Quixote* jest za trudny dla dziecka. Zanieś go z powrotem do biblioteki.
- Nie! – chłopiec kurczowo przyciska książkę do siebie. – Nie zabierzesz jej! To moja książka!

Odkąd Inés przejęła mieszkanie, straciło ono swą dawną surową atmosferę. W istocie stało się zagracone, i to nie tylko jej licznymi rzeczami. Najgorszy jest kąć przy łóżku chłopca, gdzie z kartonowego przeładowanego pudła wysypują się przedmioty, które malec zbiera i przynosi do domu: kamyki, szyszki, zwiędłe kwiaty, kości, muszle, poszczerbione naczynia stołowe i stare żelastwo.

– Może by już wyrzucić te paskudztwa? – proponuje Simón.

– Tylko nie paskudztwa – obrusza się David. – To są rzeczy, które ratuję.

Mężczyzna trąca pudło nogą.

– To zwykłe śmieci. Nie możesz ratować wszystkiego, na co się natkniesz.

– To jest moje muzeum – mówi chłopiec.

– Sterta starych rupieci nie tworzy muzeum. Żeby trafić do muzeum, rzeczy muszą mieć jakąś wartość.

– Co to jest wartość?

– Jeśli rzecz ma wartość, to znaczy, że ogół ludzi ceni ją, uważa za wartościową. Stary pęknięty kubek nie ma żadnej wartości. Nikt go nie ceni.

– Ja go cenię. To moje muzeum, nie twoje.

Mężczyzna zwraca się do Inés:

– Ma na to twoje błogosławieństwo?

– Daj mu spokój. Mówi, że jest mu żal starych rzeczy.

– Nie można się litować nad starą filiżanką bez uszka.

Chłopiec patrzy na niego, jakby nie rozumiał.

– Filiżanka nie ma ucuć. Jeśli ją wyrzucisz, nie zrobi to na niej wrażenia. Nie poczuje się dotknięta. Jeśli litujesz się nad starą filiżanką, to równie dobrze możesz się litować nad – rozgląda się z irytacją – niebem, powietrzem, ziemią pod swoimi nogami. Równie dobrze możesz się litować nad wszystkim.

Chłopiec wciąż patrzy.

– Rzeczy nie mogą trwać wiecznie – ciągnie Simón. – Każda rzecz ma swój naturalny kres. Ta stara filiżanka miała dobre życie; teraz nadszedł czas, żeby sobie odpoczęła i zrobiła miejsce nowej.

Twarz dziecka przybiera zacięty wyraz, ostatnio tak dobrze znany Simónowi.

– Nie! – mówi chłopiec. – Zatrzymam ją! Nie dam ci jej wyrzucić! Jest moja!

Inés ustępuje mu na każdym kroku, więc mały robi się coraz bardziej uparty. Nie ma dnia bez kłótni, bez podniesionych głosów i tupania nogami.

Simón nalega na kobietę, żeby posłała chłopca do szkoły.

– Mieszkanie robi się dla niego za ciasne – tłumaczy. – On musi stanąć twarzą w twarz z realnym światem. Potrzebuje szerszych horyzontów.

Ale Inés nie słucha.

– Skąd się biorą pieniądze? – pyta chłopiec.

– To zależy, jakie pieniądze masz na myśli. Monety pochodzą z miejsca, które się nazywa mennica.

– Czy tam właśnie dostajesz pieniądze?



- Nie, ja dostaję pieniądze od kasjera w dokach. Widziałeś przecież.
- Dlaczego nie chodzisz do mennicy?
- Bo mennica nie daje pieniędzy ot, tak. Musimy na nie zapracować. Musimy je zarobić.
- Dlaczego?
- Bo taki jest świat. Gdybyśmy nie pracowali za pieniądze, gdyby mennica po prostu dawała je każdemu, przestałyby mieć jakąkolwiek wartość.

Zabiera chłopca na mecz piłki nożnej; przy wejściu płaci.

- Dlaczego musimy zapłacić? – pyta dziecko. – Przedtem wchodziliśmy za darmo.
- To jest mecz o mistrzostwo, ostatni w sezonie. Po zakończeniu gry zwycięzcy dostaną tort i wino. Ktoś musi na to zebrać pieniądze. Jeśli cukiernik nie dostanie pieniędzy za tort, to nie będzie mógł kupić mąki, cukru i masła na następne ciasto. Taka jest reguła: jeśli chcesz zjeść tort, musisz za niego zapłacić. To samo z winem.
- Dlaczego?
- Dlaczego? Odpowiedź na wszystkie twoje „dlaczego”, dawne, dzisiejsze i przyszłe, brzmi: „Bo taki jest świat”. Świat nie powstał dla naszej wygody, mój mały przyjacielu. To my się musimy do niego dostosować.

Chłopiec otwiera usta, żeby coś odpowiedzieć. Simón szybkim ruchem przykłada mu palec do warg:

- Koniec pytań. Siedz cicho i oglądaj mecz.

Po meczu wracają do mieszkania. Inés uwija się w kuchni; w powietrzu unosi się swąd przypalonego mięsa.

- Kolacja! – woła kobieta. – Umyjcie ręce!
- Na mnie już czas – mówi Simón. – Do widzenia, zobaczymy się jutro.
- Musisz iść? – pyta Inés. – Nie chciałbyś zostać i popatrzeć, jak David je kolację?

Stół jest nakryty dla jednej osoby, dla małego księcia. Inés przynosi z patelni na talerz dwie cienkie parówki. Obok nich pieczolowicie układa połówki ugotowanego ziemniaka, plasterki marchwi i cząstki kalafiora, po czym polewa to wszystko tłuszczem z patelni.

- Mmm, parówki! – cieszy się mały. – To najlepsze jedzenie na świecie.
- Nie widziałem parówek od wieków – mówi mężczyzna do Inés. – Gdzie je kupiłaś?
- Diego przyniósł. Ma kogoś znajomego w kuchni w *La Residencia*.

Chłopiec kroi parówki i ziemniaka na małe kawałki, zajada. Najwyraźniej nie przejmuje się ani dwojgiem stojących nad nim dorosłych, ani psem, który opiera mu głowę na kolanach i śledzi każdy jego ruch.

- Nie zapomnij o marchewce – mówi Inés. – Dzięki niej będziesz widział po ciemku.
- Jak kot – odpowiada chłopiec.
- Jak kot.

Dziecko zjada marchewkę.

- A na co jest dobry kalafior? – pyta.
- Daje zdrowie.
- Kalafior daje zdrowie, a mięso siłę, prawda?
- Zgadza się, mięso daje siłę.
- Muszę już iść – mówi Simón do Inés. – Mięso daje siłę, ale może powinnaś pomyśleć dwa razy, zanim podsuniesz dziecku do zjedzenia parówkę.
- Dlaczego? – pyta chłopiec. – Dlaczego Inés powinna pomyśleć dwa razy?
- Z powodu tego, co dają do parówek. To, co parówki mają w środku, nie zawsze jest dobre.
- A co do nich dają?
- Jak myślisz?
- Mięso.

- Tak, ale jakie mięso?
- Z kangura.
- Teraz to się wygłupiasz.
- No to ze słonia.
- Otóż dają do parówek mięso ze świni, nie zawsze, ale czasem, a świni nie są czystymi zwierzętami. Nie jedzą trawy, tak jak owce czy krowy. Jedzą wszystko, na co się natkną. – Patrzy na Inés. Ona oddaje mu spojrzenie; ma zaciśnięte usta. – Na przykład jedzą kupę.
- Z ustępu?
- Nie, nie z ustępu. Ale jeśli trafią na podwórzu na kupę, to ją zjedzą. Bez namysłu. Są wszystkożerne, to znaczy jedzą co popadnie.
- To nieprawda – mówi Inés.
- Czy w parówkach jest kupa? – pyta David, odkładając widelec.
- Nie słuchaj Simóna, on plecie głupstwa, nie ma w parówkach żadnej kupy.
- Nie mówię, że w parówce jest prawdziwa kupa – odparowuje mężczyzna. – Ale jest w niej gówniane mięso. Świnie nie są czystymi zwierzętami. Świńskie mięso jest gównianym mięsem. Ale to tylko moja opinia. Nie wszyscy muszą się z nią zgodzić. Każdy musi podjąć decyzję sam.
- Już nie chcę – mówi chłopiec, odsuwając od siebie talerz. – Niech Bolívar to zje.
- Dokończ, to dam ci czekoladę – obiecuje Inés.
- Nie.
- Mam nadzieję, że czujesz się dumny z siebie – zwraca się Inés do Simóna.
- To sprawa higieny. Higieny moralnej. Kto je swinię, ten staje się swinią. Częściowo. Nie w całości, tylko w części. Ma w sobie coś ze świni.
- Oszalałeś – mówi Inés. A do chłopca: – Nie słuchaj go, on oszalał.
- Nie oszalałem. To się nazywa konsubstancjacja. A jak myślisz, skąd się biorą kanibale? Kanibal jest osobą, która traktuje konsubstancjację bardzo poważnie. Jeśli zjem inną osobę, wcielę ją w siebie. Tak właśnie wierzą kanibale.
- Co to jest kanibal? – pyta chłopiec.
- Kanibale to dzikusy – mówi Inés. – Nie martw się, tu nie ma kanibali. Kanibale są tylko w bajkach.
- A co to jest bajka?
- Opowieść z dawnych czasów, która już nie jest prawdziwa.
- Opowiedz mi bajkę. Chcę usłyszeć bajkę. Opowiedz mi bajkę o Trzech Braciach. Albo o braciach na niebie.
- Nic nie wiem o braciach na niebie. A teraz dokończ kolację.
- Skoro nie o braciach, to opowiedz mu o Czerwonym Kapturku – mówi mężczyzna. – Opowiedz, jak wilk pożera babcie dziewczynki, i zmienia się w nią, w wilczą babcie. Przez konsubstancjację.
- Chłopiec wstaje od stołu, zsuwa jedzenie z talerza do psiej miski i wkłada talerz do zlewu. Pies w gnieniu oka pożera parówki.
- Zostanę ratownikiem – oznajmia chłopiec. – Diego będzie miał ze mną lekcje na basenie.
- Pięknie – mówi Simón. – A kim jeszcze planujesz być, oprócz ratownika, mistrza ucieczek i iluzjonisty?
- Nikim. To już wszystko.
- Wyciąganie ludzi z basenu, wydostawanie się z zamkniętych skrzyń i robienie magicznych sztuczek to nie jest prawdziwa praca. Jak zamierzasz zarabiać na życie?
- Chłopiec zerka na matkę, jakby czekał na odpowiedź. Potem, ośmielony, mówi:
- Ja nie muszę zarabiać na życie.

- Wszyscy musimy zarabiać na życie. To jest część ludzkiego losu.
- Dlaczego?
- „Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?” Nie da tak się prowadzić rozmowy. A co będziesz jadł, jeśli przez cały czas będziesz tylko ratował ludzi, wyswobadzał się z łańcuchów i odmawiał pracy? Skąd weźmiesz jedzenie, żeby mieć siłę?
- Ze sklepu.
- Pójdiesz do sklepu, a tam ci dadzą jedzenie. Za nic.
- Tak.
- A co się stanie, jak sklepikarz rozda całe jedzenie za darmo? Co będzie, kiedy sklep zostanie pusty?
- Pogodnie, z dziwnym uśmiechem na twarzy, dziecko odpowiada:
- Dlaczego?
- Dlaczego co?
- Dlaczego sklep jest pusty?
- Bo jak masz  $x$  bochenków chleba i rozdasz je wszystkie za darmo, to nie będziesz miał ani chleba, ani pieniędzy na nowe bochenki. Bo  $x$  odjąć  $x$  równa się zero. Równa się nic. Równa się pustka. Równa się pusty brzuch.
- Co to jest  $x$ ?
- Dowolna liczba: dziesięć, sto albo tysiąc. Jeśli coś masz i oddasz to za darmo, to już tego nie masz.
- Chłopiec mruży oczy i robi śmieszny minę. Potem zaczyna chichotać. Chwyta matkę za spódnicę, przyciska twarz do jej uda i chichocze, chichocze, aż twarz mu czerwienieje.
- Co tam, kochanie? – pyta Inés.
- Ale chłopiec nie przestaje się śmiać.
- Idź już lepiej – zwraca się Inés do mężczyzny. – Wytrącasz go z równowagi.
- Wychowuję go. Gdybyś go posłała do szkoły, te domowe lekcje byłyby niepotrzebne.

Chłopiec zaprzyjaźnił się ze staruszką z bloku E, który ma na dachu gołębnik. Według znajdującej się w sieni skrzynki na listy jego nazwisko brzmi Palamaki, ale chłopiec nazywa go señor Paloma, pan Gołąb. Staruszek pozwala chłopcu karmić ptaki z ręki. Podarował mu na własność gołębia, całego białego, któremu chłopiec dał na imię Blanco.

Blanco jest spokojnym, wręcz nieruchawym ptakiem, który pozwala, by chłopiec zabierał go na spacer, siedzącego mu na wyciągniętej dłoni albo na ramieniu. Nie wykazuje ochoty do ucieczki ani w ogóle do latania.

– Myślę, że Blanco ma podcięte skrzydła – mówi Simón. – To by tłumaczyło, dlaczego nie lata.

– Nie – odpowiada David. – Popatrz! – Podrzuca ptaka do góry. Ten, niespiesznie poruszając skrzydłami, zatacza w powietrzu parę kręgów, po czym znów przysiadł na ramieniu chłopca i wygładza dziobem pióra.

– Pan Paloma mówi, że Blanco może przynosić wiadomości. Mówi, że gdybym się zgubił, to mogę przywiązać list do nóżki Blanca, a on poleci do domu i wtedy pan Paloma przyjdzie i mnie znajdzie.

– To bardzo ładnie ze strony pana Palomy. Musisz tylko pamiętać, żeby nosić przy sobie ołówek, papier i kawałek sznurka, żebyś mógł przymocować wiadomość do nóżki Blanca. A co napiszesz? Pokaż mi, co napiszesz, gdybyś potrzebował pomocy.

Przechodzą akurat przez pusty plac zabaw. Chłopiec kuca w piaskownicy, wygładza piasek i zaczyna pisać na nim palcem. Mężczyzna próbuje czytać ponad jego ramieniem: O, potem E, znowu O, za nim X i jeszcze raz X.

Chłopiec wstaje.

– Przeczytaj to – mówi.

– Mam problemy. To po hiszpańsku?

Dziecko kiwa głową.

– Nie, poddaję się. Co tu jest napisane?

– Jest napisane: „Idź za Blankiem, on jest moim najlepszym przyjacielem”.

– Ciekawe. Kiedyś Fidel był twoim najlepszym przyjacielem, a wcześniej El Rey. Co się stało, że Fidel nie jest już twoim przyjacielem i że zastąpił go ptak?

– Fidel jest dla mnie za stary. I w dodatku grubiański.

– Nigdy nie widziałem, żeby Fidel był grubiański. To Inés tak o nim mówi?

Mały kiwa głową.

– Fidel jest bardzo miłym chłopcem. Lubię go i ty też go kiedyś lubiłeś. Coś ci powiem. Fidel czuje się urażony, bo już się z nim nie bawisz. Moim zdaniem źle go traktujesz. Uważam, że to ty jesteś wobec niego grubiański. Powinieneś mniej czasu spędzać z panem Palomą na dachu, a więcej z Fidelem.

David głaszcze siedzącego mu na ramieniu ptaka. Przyjmuje naganę bez sprzeciwu. A może po prostu słowa Simóna spływają po nim jak woda.

– Poza tym powinieneś powiedzieć Inés, że czas już, abyś poszedł do szkoły. Nalegaj na to. Wiem, że jesteś bardzo zdolny, że sam nauczyłeś się czytać i pisać, ale w prawdziwym życiu musisz umieć pisać tak jak inni ludzie. Nie ma sensu wysyłać Blanca z przywiązaną do nogi wiadomością, jeśli nikt nie będzie umiał jej odczytać, nawet pan Paloma.

– Ja będę ją umiał odczytać.

– Tak, bo sam ją napiszesz. Ale sens przekazywania wiadomości polega na tym, że musi ona dotrzeć do innych ludzi. Jeśli się zgubisz i wyślesz panu Palomie wiadomość, żeby przyszedł i cię uratował, to on musi umieć odczytać twój list. W przeciwnym razie sam się będziesz musiał przywiązać do nogi ptaka i powiedzieć mu, żeby poleciał z tobą do domu.

Chłopiec patrzy na niego z namysłem.

– Ale... – mówi. Potem spostrzega, że to żart, i obaj zaśmiewają się do rozpuku.

Są na placu zabaw przy Wschodnich Blokach. Jeszcze przed chwilą Simón popychał huśtawkę z siedzącym na niej chłopcem tak wysoko, że mały aż piszczał ze strachu i z zachwytu. Teraz siedzą obok siebie, łapiąc oddech, chłonąc wieczorną zorzę.

– Czy Inés może mieć bliźnięta? – pyta chłopiec.

– Oczywiście, że może. To się rzadko zdarza, ale jest możliwe.

– Gdyby Inés miała bliźnięta, wtedy mógłbym być Trzecim Bratem. Czy bliźnięta zawsze muszą być razem?

– Nie muszą, ale zwykle tak wolą. Są z sobą związane w naturalny sposób – jak bliźniacze gwiazdy, które w przeciwnym razie bląkałyby się samotnie po niebie i mogły zgubić. Jednak wzajemna miłość sprawia, że trzymają się razem. I będą razem aż do kresu czasów.

– Ale przecież te bliźniacze gwiazdy nie są tak naprawdę razem.

– To prawda, nie przylegają ściśle jedna do drugiej na niebie, jest między nimi maleńki odstęp. Tak działa natura. Pomyśl o ludziach, którzy się kochają. Jeżeli przez cały czas byłiby z sobą spleceni, nie potrzebowaliby już nawzajem się kochać. Stanowiliby jedność. Niczego by im nie brakowało. Dlatego właśnie w naturze są odstępy. Gdyby wszystko we wszechświecie było ciasno upakowane, wtedy nie byłoby ciebie, mnie ani Inés. Ty i ja nie rozmawialibyśmy teraz z sobą; byłaby po prostu cisza – jedność i cisza. W sumie więc to dobrze, że istnieją odstępy między rzeczami, że ty i ja jesteśmy dwiema osobami, a nie jedną.

– Ale możemy wpaść. Możemy wpaść w ten odstęp. W pęknięcie.

– Odstęp to nie to samo co pęknięcie, mój chłopcze. Odstępy są częścią natury, częścią sposobu, w jaki istnieją rzeczy. Nie możesz wpaść w odstęp i zniknąć. To się po prostu nie zdarza. Co innego z pęknięciem. Pęknięcie jest wyłomem w porządku natury. To tak jakby skaleczyć się nożem albo przedrzeć kartkę na pół. Wciąż powtarzasz, że musimy uważać na

pęknięcia i szczeliny, ale gdzie one są? Gdzie widzisz pęknięcie między sobą a mną? Pokaż mi.

Chłopiec milczy.

– Bliźnięta na niebie są jak bliźnięta na ziemi. Są też jak liczby.

Czy to wszystko jest za trudne dla dziecka? Pewnie tak. Ale chłopiec – ma nadzieję – wchłonie jego słowa; wchłonie, przetrawi i być może zacznie w nich dostrzegać jakiś sens.

– Jak 1 i 2. 1 i 2 nie są tym samym, zachodzi między nimi różnica, która jest jak odstęp, nie jak pęknięcie. To właśnie sprawia, że możemy liczyć – czyli przechodzić od 1 do 2, nie martwiąc się, że runiemy w przepaść.

– Możemy któregoś dnia tam się wybrać i je zobaczyć, te bliźnięta na niebie? Możemy tam dotrzeć statkiem?

– Przypuszczam, że tak, jeśli tylko znajdziemy właściwy rodzaj statku. Ale długo by to trwało. Bliźnięta są bardzo daleko. Nikt ich jeszcze nie odwiedził, o ile mi wiadomo. To jest – tupie nogą w ziemię – jedyna gwiazda, jaką my, ludzie, kiedykolwiek odwiedziliśmy.

Chłopiec patrzy na niego w zdumieniu.

– To nie jest gwiazda – mówi.

– Jest. Tylko że z bliska nie wygląda jak gwiazda.

– Nie świeci.

– Z bliska nic nie świeci. Za to z odległości – wszystko. Ty świecisz, ja świecę. I oczywiście gwiazdy świecą.

Chłopiec wygląda na zadowolonego.

– Czy wszystkie gwiazdy są liczbami? – pyta.

– Nie. Powiedziałem, że bliźnięta są jak liczby, ale to był tylko taki zwrot. Nie, gwiazdy nie są liczbami. Gwiazdy i liczby to całkiem różne rzeczy.

– Myślę, że gwiazdy są liczbami. To na przykład liczba 11 – wycelowuje palec w niebo – to 50, a to 33 333.

– Ach, chodzi ci o to, że każdej gwiazdzie można przypisać liczbę? Z pewnością byłby to jeden ze sposobów rozpoznawania ich, ale dosyć nudny, mało inspirujący. Lepiej chyba, że mają własne imiona, takie jak Niedźwiedzica, Gwiazda Wieczorna i Bliźnięta.

– Nie, głuptasie, powiedziałem, że każda gwiazda jest liczbą.

Simón kręci przecząco głową.

– Gwiazdy pod kilkoma względami przypominają liczby, ale poza tym są do nich całkiem niepodobne. Na przykład gwiazdy są chaotycznie rozrzucone po całym niebie, a liczby są jak flota statków płynących w szyku, każdy na swoim miejscu.

– Mogą umrzeć. Liczby mogą umrzeć. Co się z nimi dzieje, kiedy umierają?

– Liczby nie mogą umrzeć. Gwiazdy też nie. Gwiazdy są nieśmiertelne.

– Liczby mogą umrzeć. Mogą spaść z nieba.

– To nieprawda. Gwiazdy nie spadają z nieba. Te, które wyglądają, jakby spadały, nie są prawdziwymi gwiazdami. Co do liczb, gdyby jakaś liczba miała wypaść z szeregu, powstałoby wtedy pęknięcie, wyrwa, ale liczby tak się nie zachowują. Nie ma nigdy dziur między liczbami. Nigdy nie brakuje żadnej liczby.

– Właśnie, że brakuje! Nic nie pamiętasz! Liczba może spaść z nieba, tak jak Don Quixote wpadł do czeluści.

– Don Quixote nie wpadł do czeluści, tylko spuścił się w głąb jaskini na sznurze. A zresztą Don Quixote się nie liczy. On nie istnieje naprawdę.

– Istnieje! Jest bohaterem!

– Przepraszam, nie to chciałem powiedzieć. Oczywiście, że Don jest bohaterem, i oczywiście, że istnieje naprawdę. Chciałem powiedzieć, że to, co mu się przydarzyło, już nie przydarza się ludziom. Ludzie przeżywają swoje życie od początku do końca i nie wpadają do czeluści.

– Wpadają! Wpadają do czeluści i nie można ich zobaczyć, bo nie mogą stamtąd wyjść. Sam mówiłeś.

– Mylisz czeluści z dołami w ziemi. Myślisz o ludziach, którzy po śmierci są wkładani do grobów, do dziur w ziemi. Grób wykopują grabarze za pomocą łopat. Nie jest to coś nienaturalnego, jak czeluść.

Słysząc szelest odzieży i z ciemności wyłania się Inés.

– Wołam i wołam – mówi z gniewem. – Czy ktoś w ogóle słucha?

## 21

Kiedy następnym razem stuka do mieszkania Inés, drzwi otwiera mu z rozmachem zarumieniony, podekscytowany David.

– Simón, nie uwierzysz! – krzyczy. – Spotkaliśmy pana Dagę! On ma czarodziejski długopis! Pokazywał mi!

Simón prawie już zapomniał o Dadze, człowieku, który upokorzył Álvara i kasjera w dokach.

– Czarodziejski długopis! – mówi. – To brzmi interesująco. Mogę wejść?

Bolívar podchodzi do niego władczy krokiem i obwąchuje mu krocze. Inés siedzi zgarbiona nad szyciem: przez moment mężczyzna ma niepokojącą wizję tego, jak będzie wyglądała na starość. Nie witając się z nim, kobieta mówi:

– Poszliśmy do miasta, do *Asistencii*, po zasiłek na dziecko, i był tam ten człowiek, ten twój przyjaciel.

– To nie jest mój przyjaciel. Nie zamieniłem z nim w życiu nawet słowa.

– On ma czarodziejski długopis – powtarza chłopiec. – W środku jest taka pani, co wygląda jak obrazek, ale to jest prawdziwa pani, bardzo malutka, i kiedy odwróci się długopis do góry nogami, spada z niej ubranie i jest goła.

– Mm. I co ci jeszcze pokazywał pan Daga, oprócz tej maleńkiej pani?

– Powiedział, że to nie przez niego Álvaro miał rozciętą rękę. Ze Álvaro zaczął i że to była jego wina.

– Ludzie zawsze tak mówią. Zawsze zaczyna ten drugi. Zawsze drugi jest winny. A czy pan Daga nie powiedział ci przypadkiem, co się stało z rowerem, który zabrał?

– Nie.

– Gdy go spotkasz następnym razem, to zapytaj. Zapytaj, czyja to wina, że kasjer nie ma roweru i musi robić obchód pieszo.

Zapada cisza. Simón jest zdziwiony, że Inés ma tak niewiele do powiedzenia o facetach, którzy biorą małych chłopców na bok i pokazują im długopisy z gołymi kobietami w środku.

– A czyja to wina? – pyta chłopiec.

– Co masz na myśli?

– Powiedziałeś, że zawsze winny jest ten drugi. Czy to wina pana Dagi?

– Ze rower zniknął? Tak, to jego wina. Ale mówiłem bardziej ogólnie. Kiedy coś się nie układa, od razu zapewniamy, że to nie my jesteśmy winni. Robimy tak od początku świata. To chyba jakaś wrodzona cecha, część naszej natury. Nigdy nie jesteśmy gotowi przyznać, że sami zawiniliśmy.

– Czy to jest moja wina?

– Czy co jest twoja wina? Nie, skądże. Jesteś jeszcze dzieckiem, jakże to może być twoja wina? Ale rzeczywiście myślę, że powinieneś się trzymać z dala od pana Dagi. To nie jest dla młodego człowieka dobry przykład do naśladowania. – Simón mówi wolno i poważnie: jego ostrzeżenie jest skierowane zarówno do chłopca, jak i do Inés.

Kilka dni później, wychodząc z ładowni na pokład statku, ze zdumieniem dostrzega na kei Inés pogrążoną w rozmowie z Álvarem. Czuje gwałtowne szarpnięcie w sercu. Nigdy wcześniej nie przychodziła do doków: musiało stać się coś złego.

Chłopiec zniknął, mówi Inés, to sprawka Dagi. Ona wezwała policję, ale policja nie pomoże. Nikt nie pomoże. Musi pójść Álvaro; musi pójść on, Simón. Muszą wytropić Dagę – to nie powinno być trudne, przecież pracuje z nimi – i odzyskać jej dziecko.

Kobiety to raczej rzadki widok w dokach. Mężczyźni zerkają ciekawie na wzburzoną niewiastę z rozczochranymi włosami, ubraną w miastowe ciuchy.

Krok po kroku, Simón i Álvaro wydobywają z niej całą historię. W *Asistencji* była długa kolejka, chłopiec się niecierpliwił, akurat był tam też pan Daga, który zaproponował, że kupi chłopcu lody, a kiedy spojrzała następnym razem, już ich nie było, jakby znikli z powierzchni ziemi.

– Jak mogłaś puścić chłopca z kimś takim? – protestuje Simón.

Inés odrzuca pytanie stanowczym potrząśnięciem głowy.

– Dorastający chłopiec potrzebuje koło siebie mężczyzny. Nie może być przez cały czas z matką. Wydawało mi się zresztą, że to miły człowiek. Taki szczery. David jest zafascynowany jego kolczykiem. Też chce mieć taki.

– Powiedziałaś, że mu kupisz?

– Powiedziałam mu, że będzie mógł nosić kolczyk, jak będzie starszy, ale jeszcze nie teraz.

– Nie będę wam przeszkadzał w rozmowie – mówi Álvaro. – Zawołajcie mnie, jak będę potrzebny.

– A jaka jest twoja rola w tym wszystkim? – pyta Simón, gdy zostają sami. – Jak mogłaś powierzyć dziecko takiemu człowiekowi? Czy jest coś, o czym mi nie mówisz? Czy to możliwe, że i ty jesteś nim zafascynowana, z jego złotymi kolczykami i gołymi babami w długopisie?

Kobieta udaje, że nie słyszy.

– Czekałam i czekałam – mówi. – Później poszłam na autobus, bo myślałam, że może wrócili do domu. Tam ich nie było, więc zatelefonowałam do brata, a on powiedział, że zadzwoni na policję, ale potem oddzwonił z wiadomością, że policja nie pomoże, bo nie jestem... bo nie mam odpowiednich papierów na Davida.

Przerywa, ze wzrokiem utkwionym w jakimś odległym punkcie.

– On mówił... – zaczyna. – ... Mówił, że da mi dziecko. Nie powiedział... nie powiedział, że zabierze mi mojego syna. – Raptem zaczyna bezradnie szlochać. – Nie powiedział mi... nie powiedział...

Gniew Simóna nie ustaje, lecz mimo to serce mu mięknie. Nie zważając na patrzących sztauerów, bierze kobietę w objęcia. Inés płacze z głową na jego ramieniu.

– Nie powiedział mi...

„Mówił, że da mi dziecko”. Kręci mu się w głowie.

– Chodź – mówi. – Odejdźmy gdzieś na bok. – Prowadzi ją za barak. – Posłuchaj, Inés. David jest bezpieczny, jestem tego pewien. Daga nie ośmieliłby się zrobić mi nic złego. Wracaj do mieszkania i czekaj. Ja się dowiem, gdzie on mieszka, i złożę mu wizytę. – Przerywa. – O co mu chodziło, kiedy powiedział, że da ci dziecko?

Kobieta wysuwa się z jego ramion. Szloch ustaje:

– A jak myślisz? – pyta ostrym tonem.

Pół godziny później Simón jest już w Ośrodku dla Przesiedleńców.

– Potrzebuję pilnie pewnej informacji – mówi do Any. – Znasz człowieka o nazwisku Daga? Około trzydziestki, szczupły, nosi kolczyk. Pracował krótko w dokach.

– A czemu pytasz?

– Bo muszę z nim pogadać. Zabrał Davida od matki i zniknął. Jak mi nie pomożesz, to będę musiał pójść na policję.

– On się nazywa Emilio Daga. Wszyscy go znają. Mieszka w Blokach Śródmiejskich. Tam w każdym razie jest zameldowany.



– Ale gdzie dokładnie?

Ana idzie do kartoteki, po chwili wraca z wypisanim na kawałku papieru adresem.

– Przy następnej okazji – mówi – musisz mi opowiedzieć, jak odnalazłeś matkę Davida. Chciałabym poznać tę historię, jeśli będziesz miał czas.

Bloki Śródmiejskie są najbardziej atrakcyjnym z osiedli administrowanych przez Ośrodek. Podany przez Anę adres to mieszkanie na najwyższym piętrze głównego bloku. Drzwi otwiera młoda ładna kobieta, chwiejąca się na wysokich obcasach. Właściwie to jeszcze nie kobieta; Simón nie dałby jej więcej niż szesnaście lat.

– Szukam kogoś o nazwisku Emilio Daga – oznajmia. – Czy mieszka tutaj taki?

– Owszem – mówi dziewczyna. – Wejdz. Przyszedłeś po Davida?

W mieszkaniu śmierdzi papierosami. Daga, ubrany w bawełnianą koszulkę z krótkim rękawem i dżinsy, bosonogi, siedzi przy ogromnym oknie z widokiem na miasto i zachodzące słońce. Obraca się na krześle i unosi dłoń w pozdrowieniu.

– Przyszedłem po Davida – mówi Simón.

– Ogląda w sypialni telewizję – odpowiada Daga. – Jesteś jego wujkiem? David! Wujek przyszedł!

Chłopiec wpada z sąsiedniego pokoju z wielkim rozpędem.

– Simón, chodź, zobacz! To Myszka Miki! Ona ma psa o imieniu Plato, prowadzi pociąg, a czerwonoskórzy strzelają do niej z łuków! Chodź szybko!

Simón ignoruje chłopca i zwraca się do Dagi:

– Jego matka szaleje ze zmartwienia. Jak mogłeś to zrobić?

Nigdy wcześniej nie był tak blisko Dagi. Buńczuczna czupryna z masą złotych kędziorów okazuje się z tej odległości matowa i przetłuszczona. Simón jest zdziwiony, że nie czuje najmniejszego lęku przed tym człowiekiem.

Daga nie wstaje z miejsca.

– Spokojnie, *viejo* – mówi. – Dobrze się razem bawiliśmy. Potem młody zdrzemnął się trochę. Spał jak kłoda, jak anioł. Teraz ogląda program dla dzieci. Gdzie w tym coś złego?

Simón nie odpowiada.

– Chodź, David – mówi. – Idziemy do domu. Pożegnaj się z panem Daga.

– Nie, ja chcę oglądać Myszkę Miki!

– Oglądniesz następnym razem – wtrąca Daga. – Przrzekam. Przechowamy ją tu dla ciebie.

– A Plato?

– Jego też. Przechowamy Plato, prawda, skarbie?

– Jasne – mówi dziewczyna. – Zamkniemy ich w mysiej skrzynce i przechowamy aż do następnego razu.

– Chodź – mówi Simón do dziecka. – Twoja matka jest chora ze zmartwienia.

– Ona nie jest moją matką.

– Oczywiście, że jest. Bardzo cię kocha.

– Kim więc jest, młody człowieku, skoro nie jest twoją matką? – pyta Daga.

– Jest po prostu panią. Ja nie mam matki.

– Masz matkę. Inés jest twoją matką – mówi Simón. – Daj rękę.

– Nie! Nie mam matki ani ojca. Ja po prostu jestem.

– To bzdura. Każdy z nas ma matkę. Każdy z nas ma ojca.

– Masz matkę? – pyta chłopiec, zwracając się do Dagi.

– Nie – odpowiada tamten. – Ja też nie mam matki. – Widzisz! – wykrzykuje tryumfalnie chłopiec. – Chcę zostać z tobą, nie chcę iść do Inés.

– Chodź tu – mówi Daga.

Chłopiec podbiega do niego, a on sadza go sobie na kolanach. Mały kładzie mu głowę na piersi, trzyma kciuk w ustach.

– Chcesz zostać ze mną? – Chłopiec przytakuje. – Chcesz mieszkać ze mną i z Frannie, we trójkę? Chłopiec znów przytakuje. – Może David z nami zamieszkać, kochanie?

– Pewnie – odpowiada dziewczyna.

– On nie może podejmować decyzji – mówi Simón. – To jeszcze dziecko.

– No, właśnie. To jeszcze dziecko. Decyzje podejmują rodzice. Ale jak słyszałeś, on nie ma rodziców. Więc co zrobimy?

– David ma matkę, która kocha go równie mocno, jak każda inna matka na świecie kocha swoje dziecko. Co do mnie, może i nie jestem jego ojcem, ale opiekuję się nim. Dbam o niego i jego potrzeby. Chłopiec idzie ze mną.

Daga wysłuchuje słów Simóna w milczeniu, a potem, o dziwo, posyła mu uśmiech, całkiem miły, odślaniający jego wspaniałe zęby.

– W porządku – mówi. – Zabierz go z powrotem do pani matki. Powiedz jej, że świetnie się bawił. I że zawsze jest ze mną bezpieczny. Czujesz się przy mnie bezpieczny, prawda, młody człowieku?

Chłopiec kiwa głową, wciąż trzymając palec w buzi.

– No, dobra. To teraz idź już ze swoim panem opiekunem. – Zdejmuje chłopca z kolan. – Wpadnij niedługo. Obiecujesz? Obejrzyysz sobie Myszkę Miki.

- Dlaczego przez cały czas muszę mówić po hiszpańsku?
- Musimy mówić w jakimś języku, mój chłopcze, chyba że chcemy szczebrać i wyć jak zwierzęta. A skoro mamy mówić w jakimś języku, to najlepiej wszyscy w tym samym. Nie wydaje ci się to rozsądne?
- Ale dlaczego po hiszpańsku? Nie cierpię hiszpańskiego.
- Co ty pleciesz? Mówisz bardzo dobrze po hiszpańsku. Lepiej ode mnie. Po prostu jesteś teraz przekorny. A w jakim języku chcesz mówić?
- Moim własnym.
- Nie ma czegoś takiego jak własny język.
- Jest! La la fa fa jam jing tu tu.
- To jest zwykły bełkot. To nic nie znaczy.
- Znaczy. Dla mnie znaczy.
- Niech ci będzie, ale dla mnie nie znaczy nic. Język musi coś znaczyć zarówno dla ciebie, jak i dla mnie, bo inaczej nie liczy się jako język.
- Ruchem, przejętym zapewne od Inés, chłopiec potrząsa lekceważąco głową.
- La la fa fa jam jing! Popatrz na mnie!
- Simón spogląda chłopcu w oczy. Przez krótką chwilę coś tam widzi. Nie umie tego nazwać. „To jest jak” – tylko tyle przychodzi mu do głowy. Jak ryba, wyślizgująca się z rąk, gdy próbujemy ją złapać. Ale nie, nie jak ryba, to jest jak „jak ryba”. Albo jak „jak jak ryba”. Wciąż i wciąż. Potem ta chwila mija i mężczyzna po prostu stoi w milczeniu, zapatrzony.
- Widziałeś? – pyta chłopiec.
- Nie wiem. Przestań na moment, bo kręci mi się w głowie.
- Widzę, co myślisz – mówi z tryumfalnym uśmiechem chłopiec.
- Nie, nie widzisz.
- Myślisz, że potrafię robić czary.
- Wcale nie. Nie masz pojęcia, co myślę. A teraz uważaj. Powiem coś o języku i chcę, żebyś to sobie wziął do serca. Każdy przybywa do tego kraju jako obcy. Ja tu przybyłem jako obcy. Ty tu przybyłeś jako obcy. Inés i jej bracia też kiedyś byli obcymi. Przybyliśmy z różnych miejsc i różnych przeszłości, szukając nowego życia. Ale teraz wszyscy płyniemy na tej samej łodzi. Powinniśmy więc żyć z sobą w zgodzie. Jednym ze sposobów na to jest mówienie w tym samym języku. To jest zasada. Dobra zasada, i powinniśmy jej przestrzegać. Nie na odczepne, ale ze szczerego serca, nie jak muł zapierający się wszystkimi czterema nogami. Jeśli odrzucisz tę zasadę, jeśli obrazisz się na hiszpański i uparcie będziesz mówić we własnym języku, to niedługo zostaniesz sam jak palec. Nie będziesz miał przyjaciół. Wszyscy będą od ciebie stronić.
- Co to znaczy, że będą ode mnie stronić?
- Nie będziesz miał gdzie złożyć głowy.
- I tak nie mam przyjaciół.
- To się zmieni, jak pójdziesz do szkoły. W szkole zdobędziesz mnóstwo nowych przyjaciół. A poza tym masz przecież przyjaciół. Fidel i Elena są twoimi przyjaciółmi. Álvaro jest twoim przyjacielem.

- I El Rey.
- El Rey także.
- I pan Daga.
- Pan Daga nie. Pan Daga próbuje cię wodzić na pokuszenie.
- Co to jest pokuszenie?
- Próbuje cię zwabić i odciągnąć od matki za pomocą Myszki Miki i lodów. Pamiętasz, jaki byłeś chory po tych wszystkich lodach, którymi cię wtedy uraczył?
- Dał mi też wodę ognistą.
- Co masz na myśli?
- Piekło mnie od niej w gardle. On mówi, że to lekarstwo, jak komuś jest smutno.
- Czy pan Daga nosi to lekarstwo w kieszeni, w małej srebrnej flaszcze?
- Tak.
- Proszę cię, Davidzie, żebyś nigdy więcej nie pił z flaszki pana Dagi. To może jest lekarstwo dla ludzi dorosłych, ale na pewno nie służy dzieciom.
- Nie opowiada Inés o wodzie ognistej, ale opowiada Elenie.
- On przejmuje kontrolę nad dzieckiem. Nie mogę z nim konkurować. Nosi w uchu kolczyk, chodzi z nożem, pije wodę ognistą. Ma śliczną dziewczynę. Trzyma w skrzynce Myszkę Miki. Nie mam pojęcia, jak sprawić, żeby chłopiec przejrzał na oczy. Inés też jest pod urokiem tego człowieka.
- A czego się spodziewałeś? Spójrz na to z jej punktu widzenia. Jest w wieku, kiedy kobieta, która nie ma dzieci – własnych dzieci – zaczyna odczuwać niepokój. To sprawa biologii. Ona jest teraz jak ziemia, która oczekuje deszczu. Dziwię się, że tego nie wyczuwasz.
- Nie myślę o Inés w taki sposób – biologiczny.
- Za dużo myślisz. To nie ma nic wspólnego z myśleniem.
- Nie rozumiem, dlaczego Inés miałaby chcieć następnego dziecka, Eleno. Ma tego chłopca. Przyszedł do niej jako dar, prosto z nieba, czysty dar. Taki dar powinien wystarczyć każdej kobiecie.
- Tak, ale to nie jest jej naturalne dziecko. Ona nigdy o tym nie zapomni. Jeśli czegoś nie zrobisz, to w niedługim czasie pan Daga zostanie przybranym ojcem małego Davida i obdarzy go gromadką przyrodnych braciszków i siostrzyczek. A jeśli nie Daga, to jakiś inny mężczyzna.
- Co to znaczy: jeśli czegoś nie zrobię?
- Jeśli sam jej nie dasz dziecka.
- Ja? Ani mi się śni. Nie jestem typem ojca. Zostałem stworzony na wujka, nie na ojca. Poza tym Inés nie lubi mężczyzn – takie przynajmniej odnoszę wrażenie. Nie lubi męskiej hałaśliwości, grubiaństwa, włochatości. Nie zdziwiłbym się, gdyby starała się nie dopuścić, żeby David wyrósł na mężczyznę.
- Bycie ojcem to nie jest zawód, Simónie. Ani też rodzaj metafizycznego przeznaczenia. Nie musisz lubić kobiety, ona nie musi lubić ciebie. Masz z nią stosunek, a dziewięć miesięcy później – patrzcie, ludzie! – zostajesz ojcem. Dość prosta rzecz. Każdy facet to potrafi.
- Niekoniecznie. Ojcostwo to nie tylko odbycie stosunku z kobietą, tak samo jak macierzyństwo nie polega jedynie na dostarczeniu naczynia dla męskiego nasienia.
- Ale w realnym świecie to właśnie uważa się za ojcostwo i macierzyństwo. Nie można przyjść na świat, jeśli się nie powstało z męskiego nasienia, nie dojrzało w łonie jakiejś kobiety i nie wydostało na zewnątrz przez kanał rodny. Trzeba się urodzić z mężczyzny i kobiety. Żadnych wyjątków. Wybacz, że mówię o tym tak prosto. Zadaj więc sobie pytanie: „Czy to mój przyjaciel, señor Daga, będzie tym, który zasieje swoje ziarno w Inés, czy też to będę ja sam?”.

Simón potrząsa głową.

– Daj już spokój, Eleno. Możemy zmienić temat? David mówi, że Fidel rzucił w niego kamieniem. O co chodzi?

– To nie był kamień, tylko kulka do gry. David musi się spodziewać takich rzeczy, skoro matka zachęca go, żeby uważał się za rodzaj istoty wyższej. Inne dzieci skrzykną się przeciwko niemu. Rozmawiałam z Fidelem, zrobiłam mu burę, ale to nie odniosło najmniejszego skutku.

– Kiedyś byli przyjaciółmi.

– Owszem, zanim sprowadziłeś tutaj tę Inés, z jej szczególnymi poglądami na wychowanie dzieci. To kolejny powód, żebyś znów stał się panem domu.

Simón wzdycha.

– Możemy gdzieś pogadać na osobności? – mówi do Inés. – Chciałem ci coś zaproponować.

– Nie możesz chwilę poczekać?

– O czym tam szepczecie? – woła z sąsiedniego pomieszczenia chłopiec.

– Nie twoja sprawa. – A do Inés: – Proszę cię, wyjdźmy na zewnątrz, chociaż na chwilę.

– Szepczecie o panu Dadze? – woła chłopiec.

– To nie ma nic wspólnego z panem Daga. To osobista sprawa między twoją matką i mną.

Inés wyciera ręce i zdejmuje fartuch. Wychodzą z mieszkania na podwórze i kierują się w stronę parku. Chłopiec patrzy za nimi z okna.

– To, co mam do powiedzenia, dotyczy Dagi. – Przerzywa, bierze oddech. – Jak rozumiem, chciałybyście mieć jeszcze jedno dziecko. Czy to prawda?

– Kto ci tak powiedział?

– David mówi, że zamierzasz dać mu brata.

– Opowiadałam mu historię na dobranoc. Coś takiego tam się pojawiło, taka idea.

– Hm, idee mogą stać się rzeczywistością, tak jak nasienie może stać się ciałem i krwią. Inés, nie chcę wprawiać cię w zakłopotanie, więc powiem po prostu, z najwyższym uszanowaniem, że jeśli rozważasz myśl o wejściu w bliskie relacje z jakimś mężczyzną w celu wydania na świat dziecka, możesz wziąć pod uwagę moją osobę. Jestem przygotowany do odegrania takiej roli. Odegrania jej i usunięcia się w cień, a jednocześnie bycia nadal twoim opiekunem, zapewniającym utrzymanie tobie i wszystkim twoim dzieciom. Będziesz mogła mnie nazywać ich ojcem chrzestnym. Albo, jeśli wolisz, ich wujkiem. Zapomnę o wszystkim, co zaszło między nami, między tobą i mną. Zostanie to wymazane z mojej pamięci. Jakby się nigdy nie zdarzyło. No więc to ci chciałem powiedzieć. Nie odpowiadaj od razu. Zastanów się.

W ciszy, w gęstniejącym zmierzchu, zawracają w stronę mieszkania. Inés idzie przodem. Jest najwyraźniej rozgniewana albo wytracona z równowagi; nie patrzy w jego stronę. Simón obwinia Elenę za to, że wpakowała go w tę kabałę; wini też samego siebie. Cóż za prostackie oświadczenia! Tak jakby się zaofiarował naprawić ciekący kran!

Dogania kobietę, bierze ją za ramię i odwraca twarzą ku sobie.

– To było ohydne – mówi. – Przepraszam. Przebac mi.

Inés nie odpowiada. Stoi jak drewniana figura, z opuszczonymi rękami, czekając, aż on ją puści. Simón rozluźnia uchwyt i kobieta idzie dalej chwiejnym krokiem.

Z okna dobiega ich wołanie chłopca:

– Inés! Simón! Chodźcie! Pan Daga jest tutaj! Pan Daga jest tutaj!

Simón klnie pod nosem. Skoro czekała na Dagę, czemu go nie uprzedziła? Co ona w ogóle widzi w tym cuchnącym pomadą, napuszonym kogucie o płaskim, nosowym głosie?

Daga nie przyszedł sam. Jest z nim jego piękna dziewczyna, ubrana w białą sukienkę z krzykliwie czerwonymi falbanami; w uszach ma ciężkie kolczyki w kształcie kół rydwanu, które kołyszają się przy każdym ruchu. Inés wita się z nią chłodno. Co do Dagi, najwyraźniej

czuje się w mieszkaniu jak u siebie; rozwalony na łóżku, nie robi nic, żeby ułatwić dziewczynie sytuację.

– Pan Daga chce, żebyśmy poszli potańczyć – obwieszcza chłopiec. – Możemy pójść na tańce?

– Dziś wieczór mamy być w *La Residencia*. Przecież wiesz.

– Nie chcę do *La Residencia*! Tam jest nudno! Chcę iść na tańce!

– Nie możesz iść na tańce. Jesteś za mały. A poza tym nie umiesz tańczyć.

– Nie jestem za mały! I umiem tańczyć! Pokażę ci! – I wykonuje na podłodze kilka tanecznych kroków, stąpając lekko i nie bez wdzięku w swoich niebieskich pantoflach. – Proszę bardzo! Widzisz?

– Nie pójdziemy na tańce – mówi stanowczo Inés. – Diego przyjedzie po nas i zabierze nas do rezydencji.

– Więc señor Daga i Frannie też muszą z nami pojechać!

– Señor Daga ma własne plany. Nie możesz oczekiwać, że z nich zrezygnuje, żeby dotrzymać nam towarzystwa. – Mówi tak, jakby Dagi nie było w pokoju. – Poza tym, jak świetnie wiesz, do *La Residencia* nie wpuszcza się gości.

– Ja jestem gościem – oponuje chłopiec. – I mnie wpuszczają.

– Tak, ale z tobą jest inaczej. Ty jesteś moim dzieckiem. Światłem mojego życia.

„Światłem mojego życia!” Jak można mówić takie rzeczy przy obcych!

W tym momencie zjawia się Diego, a także drugi brat, ten, który nigdy nie otwiera ust. Inés wita ich z ulgą.

– Jesteśmy gotowi. David, przynieś swoje rzeczy.

– Nie! – odpowiada chłopiec. – Nigdzie nie idę. Chcę urządzić przyjęcie. Możemy wydać przyjęcie?

– To nie pora na przyjęcie, zresztą nie mamy czym poczęstować gości.

– Nieprawda! Mamy wino! Jest w kuchni! – W mgnieniu oka wdrapuje się na kredens i sięga na górną półkę. – Patrzcie! – mówi, pokazując tryumfalnie butelkę. – Mamy wino!

Inés, oblana rumieńcem, próbuje odebrać mu butelkę.

– To nie wino, tylko wiśniówka – mówi, ale chłopiec zręcznie ją wymija.

– Kto chce wina? Kto chce wina? – podśpiewuje.

– Ja! – mówi Diego.

– I ja! – odzywa się milczący brat. Śmieją się obaj z konsternacji swojej siostry.

– Ja też! – dołącza do nich Daga.

Nie ma wystarczająco dużo kieliszków dla wszystkich sześciorga dorosłych, więc chłopiec chodzi wkoło ze szklanką, nalewa każdemu wiśniówki i czeka z uroczystą powagą, aż naczynie zostanie opróżnione.

Podchodzi do Inés. Ta marszczy brwi i odsuwa szklankę.

– Musisz! – komenderuje chłopiec. – Ja dziś wieczorem jestem królem i rozkazuję ci, żebyś wypiła!

Inés upija odrobinę trunku.

– A teraz ja – oznajmia chłopiec i nim ktokolwiek jest w stanie mu przeszkodzić, przykładając butelkę do ust i zdrowo pociąga. Przez chwilę toczy po zebranych tryumfalnym wzrokiem. Potem zaczyna się krztusić, kaszleć, prychać. – To wstrętne! – dyszy. Butelka wypada mu z ręki; Daga zręcznie chwytając ją w powietrzu.

Diego i jego brat pokładają się ze śmiechu.

– Cóż to, szlachetny królu? – woła Diego. – Nie służy ci napitek?

Chłopiec odzyskuje oddech.

– Więcej! – krzyczy. – Więcej wina!

Skoro Inés nie zamierza interweniować, czas, żeby on, Simón, wkroczył do akcji.

– Dość tego! – mówi. – Jest już późno, Davidzie, nasi goście wybierają się do domu.

– Nie! – protestuje David. – Nie jest późno! Chcę się w coś pobawić. Chcę zagrać w „Kim jestem?”.

– „Kim jestem?” – pyta Daga. – A jak się w to gra?

– Musisz udawać, że jesteś kimś innym, a wszyscy odgadują kim. Ostatnim razem ja udawałem, że jestem Bolíwarem, i Diego od razu się połapał, prawda, Diego?

– A jakie są fanty? – chce wiedzieć Daga. – Co nam dasz, jak odgadniemy prawidłowo?

Chłopiec wygląda na zakłopotanego.

– Za moich czasów tak się bawiliśmy – mówi Daga – że jeśli inni odgadli prawidłowo, trzeba było powiedzieć sekret, najgłębiej skrywany sekret.

David milczy.

– Musimy iść, nie ma już czasu na zabawy – mówi niepewnie Inés.

– Nie! – odpala chłopiec. – Chcę zagrać w coś innego. W grę pod tytułem „Prawda albo konsekwencje”.

– To już lepiej brzmi – mówi Daga. – Powiedz nam, na czym polega ta gra.

– Ja zadaję pytanie, a ty musisz odpowiedzieć i nie wolno ci skłamać, musisz powiedzieć prawdę. Jeśli nie powiesz prawdy, dajesz fant. Ja zaczynam. Diego, czy masz czystą pupę?

Zalega cisza. Drugi brat czerwienieje na twarzy, a potem wybucha gromkim śmiechem. Chłopiec jest zachwycony. Śmieje się, wiruje w tańcu.

– Dalej, dalej! – krzyczy. – Prawda albo konsekwencje!

– Tylko jedna runda – ustępuje Inés. – I żadnych chamskich pytań.

– Dobra, żadnych chamskich pytań – zgadza się chłopiec. – Znow moja kolej. Odpowiada... – rozgląda się po pokoju, przesuwając wzrok z jednej twarzy na drugą – ... odpowiada... Inés! Inés, kogo najbardziej lubisz na świecie?

– Ciebie. Najbardziej lubię ciebie.

– Nie, nie mnie! Którego mężczyznę lubisz najbardziej, i chciałabyś, żeby ci zrobił w brzuszku dziecko?

Milczenie. Inés sznuruje usta.

– Lubisz jego, jego, jego czy jego? – pyta chłopiec, wskazując kolejno na czterech znajdujących się w pokoju mężczyzn.

Simón, wskazany jako czwarty, nie wytrzymuje.

– Żadnych chamskich pytań – mówi. – To było niegrzeczne pytanie. Kobieta nie może mieć dziecka z własnym bratem.

– Dlaczego?

– Po prostu. Nie ma żadnego dlaczego.

– Jest dlaczego! Mogę zadać każde pytanie, jakie mi się podoba! To jest gra. Chcesz, żeby Diego zrobił ci dziecko, Inés? Czy raczej Stefano?

Dla dobra Inés Simón znow interweniuje:

– Dość tego!

Diego podnosi się z miejsca.

– Idziemy – mówi.

– Nie! – krzyczy chłopiec. – Prawda albo konsekwencje! Kogo najbardziej lubisz, Inés?

Diego zwraca się do siostry:

– Powiedz coś, cokolwiek.

Inés milczy.

– Inés nie chce mieć nic wspólnego z mężczyznami – mówi Diego. – Proszę, masz swoją odpowiedź. Nie chce żadnego z nas. Chce być wolna. A teraz już chodźmy.

– To prawda? – pyta chłopiec Inés. – Powiedz, że nie. Przecież obiecałaś, że będę miał brata.

Raz jeszcze Simón wkracza do akcji.

– Tylko jedno pytanie naraz, Davidzie. Taka jest reguła. Zadałeś pytanie i otrzymałeś odpowiedź. Jak powiedział Diego, Inés nie chce żadnego z nas.

– Ale ja chcę brata! Nie chcę być jedynakiem! To jest nudne!

– Jeśli naprawdę chcesz brata, to idź i go sobie znajdź. Zaczynaj od Fidela. Weź go na brata. Bracia nie zawsze muszą pochodzić z tego samego łona. Załóż własne bractwo.

– Nie wiem, co to jest bractwo.

– Dziwne, że nie wiesz. Kiedy dwaj chłopcy umawiają się, że będą jeden drugiego nazywać bratem, to zakładają bractwo. Proste jak drut. Mogą zebrać więcej chłopców i też się z nimi zbratać. Mogą ślubować sobie wzajemną wierność i wybrać nazwę – Bractwo Siedmiu Gwiazd, Bractwo Jaskini czy jeszcze inaczej. Nawet Bractwo Davida, jeśli chcesz.

– Albo może to być Tajne Bractwo – wtrąca Daga. Oczy mu błyszczą, uśmiecha się lekko. Chłopiec, który prawie nie słuchał Simóna, teraz zastyga w skupieniu. – Możecie złożyć przysięgę, że dochowacie tajemnicy. Nikt się nigdy nie dowie, kim są twoi tajemni bracia.

Simón przerywa milczenie.

– Wystarczy na dziś. Davidzie, idź po piżamę. Za długo każesz Diegowi czekać na siebie. Wymyśl jakąś dobrą nazwę dla swojego bractwa. A jak już wrócicie z *La Residencia*, możesz zaprosić Fidela, żeby był twoim pierwszym bratem. – Zwraca się do Inés: – Co ty na to? Zgadzasz się?



– Gdzie jest El Rey?

Wóz stoi na kei, pusty, gotów do załadunku, ale miejsce El Reya zajął jakiś koń, którego nigdy wcześniej nie widzieli, czarny wałach z białą gwiazdą na czole. Kiedy chłopiec podchodzi bliżej, koń nerwowo przewraca oczami i grzebie kopytem w ziemi.

– Hej! – woła Álvaro do drzemiącego na koźle woźnicy. – Gdzie jest ta duża klacz? Młody specjalnie przyszedł, żeby ją zobaczyć.

– Zachorowała na końską gripę.

– On ma na imię El Rey – mówi chłopiec. – Nie jest klaczą. Mogę go odwiedzić?

Woźnica wymienia ostrożne spojrzenie z Álvarezem.

– El Rey jest w stajni, wypoczywa – mówi Álvaro. – Koński doktor da mu lekarstwo. Możemy go odwiedzić, jak mu się polepszy.

– Chcę go zobaczyć teraz. Potrafię go uzdrowić.

Simón wtrąca się do rozmowy:

– Nie teraz, mój chłopcze. Porozmawiajmy najpierw z Inés. A jutro może wszyscy trzej wybierzemy się do stajni.

– Lepiej poczekać kilka dni – radzi Álvaro i posyła Simónowi szybkie spojrzenie, którego ten nie umie sobie wyjaśnić. – Niech El Rey ma czas, żeby naprawdę wrócić do zdrowia. Końska grypa to wstrętna rzecz, gorsza od grypy ludzkiej. Kiedy się ma końską gripę, potrzebna jest cisza i spokój, a nie goście.

– Ale on chce gości – mówi chłopiec. – Chce mnie. Jestem jego przyjacielem.

Álvaro odciąga Simóna na bok.

– Lepiej, żebyś nie brał dziecka do stajni – mówi, a kiedy Simón dalej nie rozumie, dodaje: – Klacz nie żyje. Umarła.

– Álvaro dostał właśnie wiadomość od końskiego doktora – komunikuje Simón chłopcu. – Postanowili wysłać El Reya na końską farmę, żeby tam prędzej doszedł do siebie.

– Co to jest końska farma?

– Miejsce, gdzie rodzą się młode konie, a stare przychodzą odpocząć.

– Możemy tam pójść?

– To jest na wsi, nie wiem dokładnie gdzie. Muszę popytać.

Kiedy mężczyźni kończą o czwartej pracę, chłopca nigdzie nie widać.

– Pojechał z ostatnim ładunkiem – mówi jeden ze sztauerów. – Myślałem, że wiecie.

Wyruszają od razu. Kiedy docierają do spichlerza, słońce już zachodzi. Magazyn jest zamknięty, wszyscy poszli do domu. Simón z bijącym sercem szuka chłopca. Znajduje go za elewatozem, na rampie załadunkowej. Dziecko klęczy koło ciała klaczy, gładzi ją po łbie, odgania muchy. Potężny skórzany pas, który zapewne posłużył do wywindowania konia na rampę, wciąż jest owinięty wokół brzucha klaczy.

Mężczyzna wdrapuje się na rampę.

– Biedny, biedny El Rey! – mruczy. Potem dostrzega na końskim uchu zakrzepłą krew, a powyżej czarny otwór po kuli i milknie.

– Wszystko w porządku – odzywa się chłopiec. – Za trzy dni wydobrzeje.

– Koński doktor tak ci powiedział?

Dziecko kręci przecząco głową:

– El Rey.

– Sam El Rey tak powiedział – trzy dni?

Chłopiec potakuje.

– Ale to nie jest tylko końska grypa, mój chłopcze. Na pewno zauważyłeś. El Rey został zastrzelony, z litości. Widocznie bardzo cierpiał. Męczył się, więc postanowili mu pomóc, skrócić jego mękę. On już nie wydobrzeje. Jest martwy.

– Nie, nie jest. – Po policzkach chłopca płyną łzy. – Pojedzie na końską farmę, żeby wyzdrowieć. Sam mówiłeś.

– Pojedzie na końską farmę, tak, ale nie na tę tutaj; pojedzie na inną końską farmę, w innym świecie. Gdzie nie będzie musiał nosić uprząży i ciągnąć ciężkiego wozu, ale będzie mógł galopować w słońcu po polach i jeść jaskry.

– To nieprawda! On pojedzie na końską farmę, żeby wyzdrowieć. Położą go na platformie i zawiozą na końską farmę.

Chłopiec pochyła się i przyciska usta do ogromnego końskiego nozdrza. Simón pośpiesznym ruchem chwytając dziecko i odciąga na bok.

– Nie rób tego! To niehigienicznie! Będziesz chory!

David walczy, żeby się uwolnić. Nie kryje łez.

– Ja go uratuję! – szlocha. – Chcę, żeby żył! To mój przyjaciel!

Mężczyzna mocno przyciska do siebie wyrrywającego się chłopca.

– Moje najdroższe, najdroższe dziecko, czasami ci, których kochamy, umierają i nic nie możemy zrobić, poza wypatrywaniem dnia, kiedy znów wszyscy będziemy razem.

– Chcę sprawić, żeby on oddychał! – łka chłopiec.

– To koń. Jest za duży, żebyś zdołał tchnąć w niego życie.

– Więc ty to zrób!

– Nie dam rady. Nie mam właściwego rodzaju oddechu. Nie mam tchnienia życia. Wszystko, co mogę zrobić, to się smucić. Nosić w sercu żałobę i pomóc ją nosić tobie. A teraz szybko, zanim się ściemni, pobiegnijmy nad rzekę i nazrywajmy kwiatów dla El Reya. To mu się spodoba. Miał przecież łagodne usposobienie, chociaż był takim olbrzymem. Będzie się cieszył, przybывая na końską farmę z wieńcem kwiatów na szyi.

Odciąga więc chłopca od martwego ciała, prowadzi na brzeg rzeki, pomaga mu nazrywać kwiatów i spleść z nich girlandę. Wracając; chłopiec owija girlandę wokół martwych, niewidzących oczu konia.

– Dobrze – mówi Simón. – Teraz musimy opuścić El Reya. Czeka go długa droga, aż na wielką końską farmę. Kiedy tam przybędzie, inne konie spojrzą na niego i jego koronę z kwiatów i będą mówić jeden do drugiego: „Musiał być królem tam, skąd przychodzi! To pewnie ten wielki El Rey, o którym słyszeliśmy, przyjaciel Davida!”.

Chłopiec bierze go za rękę. Pod wschodzącym pełnym księżycem idą wolno ścieżką w stronę doków.

– Jak myślisz, czy El Rey już się budzi? – pyta chłopiec.

– Budzi się, otrząsa, wydaje z siebie to ciche rzenie, które znasz, i – tup, tup, tup – rusza na spotkanie nowego życia. Koniec płaczu. Żadnych łez.

– Żadnych łez – powtarza chłopiec i ożywia się, a nawet leciutko uśmiecha.

Simón i David obchodzą wspólnie urodziny. Ponieważ przybyli do Novilli na tej samej łodzi, tego samego dnia, jako datę urodzin wpisano im do dokumentów datę wspólnego przybycia, wspólnego wejścia w nowe życie. Uznano, że chłopiec ma pięć lat, ponieważ wyglądał na pięć, a Simón czterdzieści pięć (tak mówi jego dowód tożsamości), ponieważ tamtego dnia na tyle właśnie wyglądał. (Był urażony, bo czuł się młodziej. Teraz czuje się starzej. Jakby miał sześćdziesiąt – a są dni, że i siedemdziesiąt – lat).

Ponieważ chłopiec nie ma przyjaciół – odszedł nawet jego przyjaciel koń – nie ma sensu urządzać mu przyjęcia urodzinowego. Niemniej Simón i Inés są zgodni, że dzień powinien być świętowany jak należy. Inés piecze więc tort, ozdabia go lukrem i sześcioma świeczkami, oboje też w tajemnicy kupują dziecku prezenty, ona – sweter (zima za pasem), a on – liczydło (bo martwi go niechęć chłopca do nauki o liczbach).

Radość świętowania zostaje zmacona przez list, który przychodzi pocztą. Przypomina się w nim, że w związku ze swoimi szóstymi urodzinami David powinien być zapisany do szkoły, a odpowiedzialność za dokonanie wpisu spoczywa na jego rodzicu/rodzicach lub opiekunie/opiekunach.

Do tej pory Inés podtrzymywała w chłopcu przekonanie, że jest zbyt zdolny, żeby potrzebował szkoły, a tę odrobinę dodatkowego wykształcenia, jakiego wymaga, może zdobyć w domu. Ale jego upór w sprawie *Don Quixote'a*, jego rażąco niezgodne z prawdą przechwałki, że umie czytać i liczyć, zasiały wątpliwość nawet w jej duszy. Przyznaje teraz, że najlepszą chyba rzeczą dla dziecka byłaby opieka wykwalifikowanego nauczyciela. Kupują mu więc trzeci, wspólny podarunek: czerwoną skórzaną saszetkę ze złotym inicjałem „D” w rogu, zawierającą dwa nowe ołówki, strugaczkę i gumkę do mazania. Wręczają mu to, razem ze swetrem i liczydłem, w dniu urodzin. Skórzana saszetka, mówią, jest niespodzianką, towarzyszącą innej niespodziance, a mianowicie radosnej nowinie, że niedługo, być może już w przyszłym tygodniu, pójdzie do szkoły.

Chłopiec przyjmuje nowinę chłodno.

– Nie chcę chodzić z Fidelem – oświadcza.

Zapewniają go, że jako starszy, Fidel na pewno będzie uczęszczał do innej klasy.

– I chcę zabierać z sobą do szkoły *Don Quixote'a* – dodaje.

Simón próbuje wyperswadować chłopcu ten pomysł. Książka należy do biblioteki przy Wschodnich Blokach, mówi, gdyby zginęła, nie miałby pojęcia, jak ją odkupić. Poza tym szkoła z pewnością ma własną bibliotekę, z innym egzemplarzem *Don Quixote'a*. Ale chłopca to nie przekonuje.

W poniedziałek Simón przychodzi wcześniej rano do mieszkania, żeby towarzyszyć Inés i chłopcu na przystanek, skąd autobus zabierze Davida do szkoły, w pierwszym dniu jego nauki. Chłopiec jest ubrany w nowy sweter, trzyma w dłoni czerwoną skórzaną saszetkę z literą „D”, a pod pachą – sfatygowany egzemplarz *Don Quixote'a* z biblioteki we Wschodnich Blokach. Fidel też już jest na przystanku, razem z pół tuzinem innych dzieci z Bloków. David ostentacyjnie udaje, że go nie widzi.

Ponieważ Inés i Simón chcą, żeby chodzenie do szkoły stało się normalną częścią życia, umawiają się, że nie będą wypytywać chłopca o to, co się dzieje w klasie; o dziwo, on ze swojej strony też na ten temat milczy.

– Wszystko dobrze w szkole? – ośmiela się zapytać Simón piątego dnia.

– Uhm – mówi David.

– Masz już nowych przyjaciół?

Chłopiec nie raczy odpowiedzieć.

I tak jest przez trzy, cztery tygodnie. Potem przychodzi pocztą list, z adresem szkoły w lewym górnym rogu. Zatytułowany: *Zawiadomienie nadzwyczajne*, zaprasza rodzica/rodziców wymienionego ucznia do skontaktowania się z sekretariatem szkoły w najbardziej dogodnym dla niego/niej/ nich terminie, aby ustalić datę konsultacji z właściwym nauczycielem, w celu omówienia pewnych problemów, które wyłoniły się w związku z jego/jej/ich synem/córką.

Inés telefonuje do szkoły.

– Jestem wolna przez cały dzień – mówi. – Proszę wyznaczyć termin, a stawię się na miejscu.

Sekretarka proponuje godzinę jedenastą następnego dnia, kiedy señor Leon ma okienko.

– Najlepiej byłoby, gdyby zjawił się też ojciec chłopca – dodaje.

– Mój syn nie ma ojca – odpowiada Inés. – Poproszę jego wujka, żeby przyszedł. Wujek interesuje się jego sprawami.

Señor Leon, wychowawca klasy pierwszej, okazuje się wysokim, chudym mężczyzną z ciemną brodą i tylko jednym okiem. Drugie, szklane, nie porusza się w oczodole. Simón zastanawia się, czy nie budzi to niepokoju u dzieci.

– Mamy niewiele czasu – mówi señor Leon – i dlatego będę mówił wprost. Uważam, że David to inteligentny chłopiec, bardzo inteligentny. Ma żywy umysł; w lot chwyta nowe idee. Trudno mu jednak przystosować się do realiów klasy szkolnej. Wydaje mu się, że przez cały czas będzie stawiał na swoim. Może to dlatego, że jest nieco starszy niż większość klasy. Albo przyzwyczaił się do tego w domu. Tak czy inaczej nie wróży to dobrze.

Señor Leon przerywa, styka dłonie opuszkami palców i czeka na odpowiedź.

– Dziecko powinno mieć swobodę – mówi Inés. – Powinno mieć możliwość cieszenia się swoim dzieciństwem. Miałam wiele wątpliwości, посыłając Davida do szkoły tak wcześnie.

– Sześć lat to nie jest wcześnie – zauważa señor Leon. – Wręcz przeciwnie.

– Niemniej jest jeszcze mały i przyzwyczajony do wolności.

– Dziecko, przychodząc do szkoły, nie traci wolności. Nie jest mniej wolne przez to, że siedzi cicho. Nie traci wolności, słuchając tego, co nauczyciel ma do powiedzenia. Dyscyplina i rzetelna praca nie wykluczają wolności.

– Czy David nie siedzi cicho? Nie słucha tego, co pan mówi?

– Jest niespokojny i ten jego niepokój udziela się również innym dzieciom. Wstaje z miejsca i kręci się po klasie. Wychodzi z sali bez pozwolenia. I istotnie – nie zwraca uwagi na to, co mówię.

– To dziwne. Po domu się nie kręci. Skoro w szkole jest inny, to musi istnieć jakiś powód po temu.

Señor Leon świdruje Inés swym jedynym okiem.

– A co do niepokoju – mówi kobieta – to zawsze był taki. Mało sypia.

– Łagodna dieta powinna go z tego wyleczyć – stwierdza nauczyciel. – Żadnych ostrych przypraw. Żadnych napojów energetyzujących. Przejdę teraz do szczegółów. W czytaniu David nie robi, niestety, najmniejszych postępów. Inne dzieci, nie tak utalentowane, czytają lepiej od niego. Znacznie lepiej. Jest coś w czynności czytania, czego on, jak się wydaje, nie potrafi uchwycić. To samo dotyczy liczb.

Simón wtrąca się do rozmowy:

– Ale on kocha książki. Musiał pan to zauważyć. Wszędzie zabiera z sobą *Don Quixote'a*.

– Uczepił się tej książki, bo ona ma obrazki – odparowuje señor Leon. – Generalnie rzecz biorąc, nie jest dobrze uczyć się czytania z książek z obrazkami. A *Don Quixote*, jak by nie patrzeć, to nie jest odpowiednia lektura dla początkujących czytelników. David nieźle mówi po hiszpańsku, ale nie umie czytać. Nie potrafi nawet nazwać liter alfabetu. Nigdy jeszcze nie spotkałem się z tak skrajnym przypadkiem. Moim zdaniem, należy zwrócić się do specjalisty, do terapeuty. Mam wrażenie – a koledzy, z którymi się konsultowałem, myślą podobnie – że to może być jakaś niedomoga.

– Niedomoga?

– Szczególnego rodzaju niedomoga związana z działaniami na symbolach, z operowaniem słowami i liczbami. Chłopiec nie umie czytać. Nie umie pisać. Nie umie liczyć.

– W domu czyta i pisze. Każdego dnia poświęca temu wiele godzin. Jest wprost pochłonięty czytaniem i pisaniem. I umie liczyć do tysiąca, do miliona.

Po raz pierwszy señor Leon uśmiecha się.

– Potrafi recytować różne liczby, zgoda, ale nie we właściwej kolejności. Co do znaków, które stawia ołówkiem, możecie państwo nazywać to pisaniem, on sam też, ale to nie jest pisanie w powszechnie uznanym sensie słowa. Czy te znaki mają jakieś jemu tylko wiadome znaczenie, tego nie potrafię ocenić. Pewnie mają. Może zdradzają artystyczny talent. Co zresztą byłoby drugim i bardziej pozytywnym powodem, dla którego chłopiec powinien się spotkać ze specjalistą. David to ciekawe dziecko. Szkoda by go było zmarnować. Być może specjalista będzie nam w stanie powiedzieć, czy istnieje jakiś wspólny czynnik leżący z jednej strony u podłoża niedomogi, z drugiej zaś, u podłoża pomysłowości chłopca.

Rozlega się dzwonek. Señor Leon wyjmując z kieszeni notes, coś w nim pisze, wydiera kartkę.

– To jest nazwisko specjalistki, którą państwu proponuję, i jej numer telefonu. Ona raz w tygodniu przychodzi do szkoły, tak że możecie państwo spotkać się z nią tutaj. Trzeba zatelefonować i się umówić. W międzyczasie David i ja będziemy kontynuować nasze wysiłki. Dziękuję za spotkanie. Jestem pewien, że wszystko dobrze się skończy.

Simón odszukuje Elenę, opowiada jej o rozmowie.

– Znasz w ogóle tego Leona? – pyta. – Czy on uczył Fidela? Trudno mi uwierzyć w jego skargi. Ze David jest nieposłuszny, na przykład. Może czasami jest trochę uparty, ale nie nieposłuszny; nie spotkałem się u niego z czymś takim.

Elena nie odpowiada, ale woła Fidela.

– Fidel, kochanie, opowiedz nam o panu Leonie. Wygląda na to, że David i on nie mogą się jakoś dogadać, i Simón się tym martwi.

– Pan Leon jest w porządku – mówi Fidel. – Jest surowy.

– Surowy dla dzieci, które odzywają się niepytane?

– Chyba tak.

– Jak myślisz, dlaczego on i David nie mogą się dogadać?

– Nie wiem. David opowiada niestworzone rzeczy. Może panu Leonowi to się nie podoba.

– Niestworzone rzeczy? To znaczy?

– Nie wiem... Wygaduje dziwne rzeczy na boisku. Wszyscy myślą, że jest postrzelony, nawet duże chłopaki.

– Ale jakie dziwne rzeczy?

– Ze na jego rozkaz ludzie mogą znikać. Ze on sam umie znikać. Mówi, że wszędzie są wulkany, których my nie, widzimy, tylko on.

– Wulkany?

– Nie duże wulkany, tylko takie małe. Których nikt nie widzi.

– Czy inne dzieci boją się tych jego opowieści?

– Nie wiem. On mówi, że będzie magikiem.  
– Powtarza to od dawna. Powiedział mi, że ty i on zamierzacie w przyszłości występować w cyrku. On będzie robił magiczne sztuki, a ty będziesz klaunem.

Fidel i jego matka wymieniają spojrzenia.

– Fidel będzie muzykiem, a nie żadnym magikiem ani klaunem – mówi Elena. – Fidel, mówiłeś Davidowi, że chcesz być klaunem?

– Nie – odpowiada Fidel, wierząc się niespokojnie.

Rozmowa z panią psycholog odbywa się na terenie szkoły. Simón i Inés zostają wprowadzeni do jasno oświetlonego, dość sterylnej pokoju, w którym señora Otxoa prowadzi konsultacje.

– Dzień dobry – mówi kobieta, uśmiechając się i każdemu z nich podając rękę. – Jesteście państwo rodzicami Davida. Znam waszego syna. Odbyliśmy długą rozmowę, kilka rozmów. Cóż za interesujący młody człowiek!

– Zanim przejdziemy do rzeczy – przerywa Simón – proszę pozwolić, że wyjaśnię, kim jestem. Otóż, mimo że znam Davida od dawna i w swoim czasie byłem dla niego kimś w rodzaju opiekuna, nie jestem jego ojcem. Jednakże...

Señora Otxoa podnosi rękę.

– Wiem, David mi opowiadał. On mówi, że nigdy nie spotkał swojego rzeczywistego ojca. Mówi też – zwraca się do Inés – że pani nie jest jego rzeczywistą matką. Porozmawiajmy na początku o tych jego przeświadczeniach. Bo choć w grę mogą wchodzić czynniki organiczne, na przykład dysleksja, to moim zdaniem niestosowne zachowanie Davida w klasie wynika z niejasnej – dla dziecka – sytuacji rodzinnej, z niepewności co do tego, kim jest, skąd pochodzi.

Simón i Inés wymieniają spojrzenia.

– Używa pani słowa „rzeczywisty” – mówi mężczyzna. – Mówi pani, że nie jesteśmy jego rzeczywistymi rodzicami. Co właściwie rozumie pani przez „rzeczywisty”? Istnieje przecież coś takiego jak przecenianie czynnika biologicznego.

Señora Otxoa sznurkuje usta, kręci głową.

– Nie róbmy się zbyt teoretyczni. Skupmy się raczej na Davidzie i jego poczuciu rzeczywistości. Powiedziałabym, że właśnie poczucie rzeczywistości jest tym, czego Davidowi brakuje w życiu. Brak poczucia rzeczywistości wiąże się z odczuwaniem braku rzeczywistych rodziców. David nie ma w życiu żadnego zakotwiczenia. Stąd jego skłonność do wycofywania się w świat fantazji, gdzie czuje się pewniej.

– Ależ on ma zakotwiczenie – mówi Inés. – Ja jestem jego zakotwiczeniem. Kocham go. Kocham go bardziej niż świat. I on o tym wie.

Señora Otxoa kiwa głową.

– To prawda, wie. Mówił mi, jak bardzo go pani kocha, jak bardzo oboje go kochacie. Wasza życzliwość daje mu szczęście; on ze swojej strony też ma dla was obojga ogromnie wiele życzliwości. Niemniej wciąż brakuje tu czegoś, czego życzliwość ani miłość nie dają. Pozytywne środowisko emocjonalne wiele znaczy, ale to jeszcze nie wszystko. O tej właśnie różnicy, o tym braku rzeczywistej obecności rodziców, chciałabym dzisiaj z państwem porozmawiać. Zapytanie: dlaczego? Ponieważ, jak powiedziałam, czuję, że kłopoty Davida w nauce wyrastają z zagubienia w świecie, z którego znikli prawdziwi rodzice; świecie, w którym on nie wie, skąd się wziął.

– David przyplynał łodzią, jak wszyscy – protestuje Simón. – Z łodzi do obozu, z obozu do Novilli. Nikt z nas nic więcej nie wie o swoim pochodzeniu. Wszyscy zostaliśmy, w mniejszym czy większym stopniu, wyzuci z pamięci. Co takiego szczególnego jest w przypadku Davida? I co to wszystko ma wspólnego z czytaniem i pisanem, z problemami Davida w szkole? Wspomniała pani o dysleksji. Czy David cierpi na dysleksję?

– Wspomniałam o dysleksji jako o pewnej możliwości. Nie przeprowadziłam testów w tym kierunku. Ale jeśli istotnie mamy z nią tutaj do czynienia, to, moim zdaniem, jest to tylko czynnik współtowarzyszący. Odpowiadając natomiast na pana główne pytanie, powiedziałabym, że w Davidzie szczególne jest to, iż on sam uważa się za kogoś wyjątkowego, wręcz nienormalnego. Nienormalny, rzecz jasna, nie jest. Co zaś do bycia kimś wyjątkowym, odłóżmy na razie tę kwestię na bok. Zamiast tego spróbujmy wszyscy troje spojrzeć na świat jego oczami, nie narzucając mu naszego sposobu widzenia. David chce wiedzieć, kim rzeczywiście jest, ale kiedy o to pyta, otrzymuje wymijające odpowiedzi w rodzaju: „Co to znaczy »rzeczywiście«?” albo „Nie mamy żadnej historii, wszystko zostało wymazane”. Czy można go więc winić za to, że się złości i buntuje, a potem wycofuje do swojego intymnego świata, gdzie do woli może wymyślać własne odpowiedzi?

– Chce pani powiedzieć, że te nieczytelne listy, które pisze do pana Leona, są opowieściami o tym, skąd pochodzi?

– Tak i nie. To są opowieści dla niego, nie dla nas. Dlatego zapisuje je swoimi własnymi znakami.

– Skąd pani wie, skoro ich pani nie czytała? Przetłumaczył je pani?

– Miły panie, jeśli relacje Davida ze mną mają się dobrze rozwijać, to chłopiec musi mieć pewność, że nikomu nie zdradzę tego, co sobie przekazaliśmy. Nawet dziecko powinno mieć prawo do swoich małych sekretów. Ale na podstawie rozmów, jakie odbyliśmy z Davidem, owszem, uważam, że on we własnym przekonaniu pisze opowieści o sobie i swoich prawdziwych rodzicach. Z troski o was, żeby nie sprawiać wam przykrości, trzyma je w ukryciu.

– A kim są ci jego prawdziwi rodzice? Skąd, jego zdaniem, on sam pochodzi?

– Trudno mi powiedzieć. Jest jednak sprawa pewnego listu. Chłopiec wspomina o liście zawierającym imiona jego prawdziwych rodziców. Mówi, że pan o nim wie. Czy to prawda?

– Liście od kogo?

– Mówi, że kiedy wsiadał na łódź, miał przy sobie list.

– A, ten list! Nie, myli się pani; list zaginął, zanim wysiedliśmy na brzeg. Zgubił się podczas podróży. Nigdy go nie widziałem. Właśnie dlatego, że chłopiec stracił ten list, postanowiłem pomóc mu odnaleźć matkę. W przeciwnym razie byłby całkowicie bezradny. Wciąż przebywałby w Belstarze, w stanie zawieszenia.

Señora Otxoa zapisuje sobie coś energicznie w notesie.

– Dochodzimy teraz – mówi, odkładając długopis – do praktycznego aspektu zachowania się Davida w szkole. Jego nieposłuszeństwa. Jego niezdolności do robienia postępów. Konsekwencji, jakie ten brak postępów i to nieposłuszeństwo mają dla pana Leona i innych dzieci w klasie.

– Nieposłuszeństwa? – Simón czeka, żeby Inés zabrała głos, ale nie, ona pozostawia mówienie jemu. – W domu, señora, David jest zawsze grzeczny i zachowuje się poprawnie. Trudno mi uwierzyć w relacje pana Leona. Co dokładnie rozumie on przez nieposłuszeństwo?

– Nieustanne podważanie jego autorytetu jako nauczyciela. Odmowę wykonywania poleceń. I to właśnie doprowadza mnie do sprawy zasadniczej. Chciałabym mianowicie zaproponować, żebyśmy zabrali Davida z normalnej klasy, przynajmniej na jakiś czas, i przenieśli w miejsce, gdzie program nauczania będzie dostosowany do jego jednostkowych potrzeb. Gdzie – z uwagi na trudną sytuację rodzinną – będzie mógł pracować we własnym tempie. Aż będzie gotowy, żeby wrócić do dawnej klasy. A jestem przekonana, że to nastąpi, ponieważ David jest dzieckiem inteligentnym, o żywym umyśle.

– A ten program nauczania...?

– Program, który mam na myśli, jest realizowany w Centrum Oświatowym w Punto Arenas, położonym niezbyt daleko od Novilli, na wybrzeżu, w bardzo atrakcyjnej okolicy.

– Jak daleko?

– Mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów.  
– Pięćdziesiąt kilometrów! I małe dziecko musiałoby codziennie pokonywać tę drogę w jedną i drugą stronę? Jeździ tam jakiś autobus?

– Nie. David będzie mieszkał w Centrum, spędzając co drugi weekend w domu, jeśli zechce. Z naszych doświadczeń wynika, że kształcenie postępuje lepiej, kiedy dziecko przebywa na miejscu. Pozwala to na oderwanie się od sytuacji w domu, która może mieć wpływ na problemy dziecka.

Simón i Inés patrzą na siebie.

– A co, jeśli odmówimy? – pyta mężczyzna. – Jeśli wolimy, żeby chłopiec pozostał w klasie pana Leona?

– Albo jeśli wolimy wypisać go ze szkoły, w której niczego się nie uczy? – wtrąca podniesionym głosem Inés. – Na którą tak czy owak jest za mały. Bo tak naprawdę stąd się biorą jego problemy. Jest po prostu za mały.

– Señor Leon nie ma zamiaru trzymać Davida dłużej w swojej klasie, a po bliższym zapoznaniu się ze sprawą muszę powiedzieć, że go rozumiem. Co się zaś tyczy wieku, David jest w normalnym wieku szkolnym. Señor, señora, doradzając wam, mam na względzie dobro Davida. Nie robi on żadnych postępów w nauce. Wywiera zły wpływ na kolegów. Zabranie go ze szkoły i zmuszenie, by wrócił do środowiska domowego, w którym najwyraźniej czuje się nieswojo, to nie jest żadne wyjście. Musimy znaleźć jakąś alternatywę, zdobyć się na śmiały krok. I dlatego właśnie polecam Punto Arenas.

– A jeśli się nie zgodzimy?

– Drogi panie, wolałabym, żeby nie ujmował pan sprawy w ten sposób. Zapewniam pana, że Punto Arenas to najlepsze rozwiązanie, jakim dysponujemy. Jeśli pan i señora Inés chcielibyście się wybrać wcześniej do Punto Arenas, mogę to załatwić; przekonacie się na własne oczy, że to naprawdę wzorowo prowadzona placówka.

– A jeśli po odwiedzeniu tej placówki nadal nie wyrazimy zgody, to co wtedy?

– Co wtedy? – Señora Otxoa rozkłada ręce w geście bezradności. – Powiedział mi pan na początku konsultacji, że nie jest pan ojcem chłopca. W dokumentach nie ma żadnej wzmianki o jego rodzicach, prawdziwych rodzicach. Powiedziałabym więc... powiedziałabym, że pańskie uprawnienia, jeśli chodzi o dyktowanie, gdzie David powinien otrzymać edukację, są wyjątkowo mizerne.

– Czyli zamierzacie odebrać nam dziecko.

– Proszę tak na to nie patrzeć. Nie zabieramy wam dziecka. Będziecie je regularnie widywać, co drugi tydzień. Wasz dom nadal będzie jego domem. We wszystkich sprawach praktycznych nadal pozostaniecie jego rodzicami, chyba że chłopiec postanowi, że chce być od was odseparowany. Na co się raczej nie zanosz. Przeciwnie – on was bardzo lubi – lubi was i jest do was przywiązany. Powtarzam: Punto Arenas to w moim przekonaniu najlepsze rozwiązanie problemu, przed którym stoimy, i to rozwiązanie wspaniałomyślne. Zastanówcie się państwo nad tym. Nie śpieszcie się. Odwiedźcie Punto Arenas, jeśli chcecie.

A potem, wspólnie z panem Leonem, możemy omówić szczegóły.

– A na razie?

– Na razie proponuję, żeby David poszedł z wami do domu. Jego obecność w klasie pana Leona nie przynosi mu nic dobrego i z pewnością nie przynosi też nic dobrego jego kolegom.



– Dlaczego wracamy do domu tak wcześniej?

Są wszyscy troje w autobusie jadącym w stronę Bloków.

– Bo to wszystko było jedną wielką pomyłką – mówi Inés. – Oni są za duzi dla ciebie, ci chłopcy w twojej klasie. A ten nauczyciel, ten cały señor Leon, nie umie uczyć.

– Señor Leon ma czarodziejskie oko. Może je wyjmować i wkładać sobie do kieszeni. Jeden chłopak to widział.

Inés milczy.

– Pójdę jutro do szkoły?

– Nie.

– A mówiąc ściśle – wtrąca się Simón – nie pójdziesz więcej do szkoły pana Leona. Twoja matka i ja będziemy rozmawiać o innej szkole dla ciebie. Być może.

– Nie będziemy rozmawiać o żadnych innych szkołach – mówi Inés. – Szkoła była od początku złym pomysłem. Nie wiem, dlaczego na to pozwoliłam. Co ta kobieta mówiła o dysleksji? Co to jest dysleksja?

– Niezdolność czytania słów we właściwym szyku. Niezdolność czytania z lewej strony do prawej. Coś w tym rodzaju. Nie wiem.

– Nie mam żadnej dysleksji – mówi chłopiec. – W ogóle nic nie mam. Czy oni mnie wysyłają do Punto Arenas? Nie chcę tam iść.

– Co wiesz o Punto Arenas? – pyta Simón.

– Jest tam drut kolczasty, trzeba spać we wspólnej sypialni i nie wolno jeździć do domu.

– Nie wezmą cię do Punto Arenas – mówi Inés. – Póki ja żyję.

– A zamierzasz umrzeć? – pyta chłopiec.

– Nie, oczywiście, że nie. Tak się mówi. Nie pójdziesz do Punto Arenas.

– Zapomniałem zeszytu. Tego do pisania. Jest na mojej ławce. Mogę po niego wrócić?

– Nie. Nie teraz. Pojadę po niego kiedy indziej.

– I piórnika.

– Tego, który daliśmy ci na urodziny?

– Tak.

– Też go odbiorę, nie martw się.

– Czy oni chcą mnie wysłać do Punto Arenas z powodu moich historii?

– To nie jest tak, że oni chcą cię wysłać do Punto Arenas – mówi Simón. – Chodzi raczej o to, że nie wiedzą, co z tobą zrobić. Jesteś wyjątkowym dzieckiem, a oni nie wiedzą, co się robi z wyjątkowymi dziećmi.

– Dlaczego jestem wyjątkowy?

– Nie zadawaj takich pytań. Po prostu jesteś wyjątkowy i musisz się z tym pogodzić. Niekiedy będzie ci to ułatwiać życie, niekiedy utrudniać. W tym wypadku utrudnia.

– Nie chcę chodzić do szkoły. Nie lubię szkoły. Mogę się uczyć sam.

– Nie myśl tak, Davidzie. W ostatnich czasach chyba trochę za dużo uczyłeś się sam. To połowa problemu. Odrobinę więcej pokory, odrobinę więcej gotowości, żeby uczyć się od innych – oto, czego ci trzeba.

– Ty mnie możesz uczyć.

– Dzięki. Bardzo ładnie z twojej strony, że tak mówisz. Ale, jak może pamiętać, w przeszłości wiele razy proponowałem, że będę cię uczył, i spotykałem się z odmową.

Gdybyś pozwolił, żebym uczył cię czytać i pisać w normalny sposób, nie mielibyśmy całego tego zamieszania.

Gwałtowność tych słów najwyraźniej zaskakuje chłopca: posyła mężczyźnie spojrzenie pełne bolesnego zdziwienia.

– Wszystko to jednak jest już za nami – pośpiesznie dodaje Simón. – Musimy rozpocząć nową kartę, ty i ja.

– Dlaczego pan Leon mnie nie lubi?

– Bo jest zanadto przejęty własną ważnością – mówi Inés.

– Pan Leon cię lubi – odpowiada Simón. – Tylko że musi uczyć całą klasę i nie ma czasu, żeby poświęcić ci osobno uwagę. Oczekuje, że dzieci od czasu do czasu będą pracować same.

– Ja nie lubię pracować.

– Wszyscy musimy pracować, więc musisz się do tego przyzwyczaić. Praca jest częścią ludzkiego losu.

– Nie lubię pracować. Lubię się bawić.

– Tak, ale nie możesz się bawić przez cały czas. Pora na zabawę przychodzi po zakończeniu codziennej pracy. Kiedy przychodzisz rano do szkoły, señor Leon oczekuje od ciebie pracy. To całkiem rozsądne.

– Señor Leon nie lubi moich opowieści.

– Nie może ich nie lubić, skoro ich nie czyta. A jaki rodzaj opowieści lubi?

– Opowieści o wakacjach. O tym, co ludzie robią podczas wakacji. Co to są wakacje?

– Wakacje to dni bez zajęć, dni, kiedy nie musi się pracować. Ty masz dzisiaj wakacje przez resztę dnia. Nie musisz się niczego uczyć.

– A jutro?

– Jutro będziesz się uczył czytać, pisać i liczyć jak normalna osoba.

– Mam zamiar napisać list do szkoły – mówi Simón do Inés – żeby poinformować ich oficjalnie, że zabieramy Davida. Ze sami zadamy o jego wykształcenie. Zgadzasz się?

– Tak. A skoro już piszesz, to napisz też do pana Leona. Zapytaj go, co właściwie robi, ucząc małe dzieci. Powiedz mu, że to nie jest praca dla mężczyzny.

„Wielce Szanowny Panie Leonie – pisze Simón. – Dziękujemy za skontaktowanie nas z panią Otxoa.

Señora Otxoa zaproponowała, aby nasz syn David został przeniesiony do szkoły specjalnej w Punto Arenas.

Po dogłębnym przemyśleniu sprawy postanowiliśmy nie zgodzić się na takie posunięcie. David, w naszej ocenie, jest za mały, żeby mieszkać z dala od rodziców. Mamy też wątpliwości, czy w Punto Arenas zostałby otoczony właściwą opieką. Dlatego będziemy w dalszym ciągu uczyć go samodzielnie w domu. Mamy nadzieję, że jego kłopoty w nauce będą wkrótce należeć do przeszłości. David, jak sam Pan przyznaje, jest dzieckiem bystrym i szybko się uczy.

Dziękujemy za Pańskie wysiłki na rzecz naszego syna. W załączeniu przesyłamy kopię listu, który wysłaliśmy do dyrektora Pańskiej szkoły, aby powiadomić go o wypisaniu Davida”.

Nie dostają żadnej odpowiedzi. Z Punto Arenas przychodzi natomiast trzystronicowy formularz do wypełnienia, wraz z biletem autobusowym wielokrotnego przejazdu oraz listą ubrań i przedmiotów osobistego użytku (szczoteczka do zębów, pasta i grzebień), które nowy uczeń powinien mieć z sobą. Simón i Inés wszystko to ignorują.

Potem mają telefon, nie ze szkoły ani nie z Punto Arenas, lecz – jak domyśla się Inés – z jakiegoś urzędu w centrum miasta.

– Postanowiliśmy nie posyłać już więcej Davida do szkoły – informuje telefonującą urzędniczkę. – Nie odnosił żadnej korzyści z uczęszczania tam. Będziemy go uczyć w domu.

– Domowa edukacja dziecka jest dozwolona tylko wtedy, gdy króreś z rodziców jest dyplomowanym nauczycielem – mówi urzędniczka. – Czy pani jest dyplomowaną nauczycielką?

– Jestem matką Davida i to ja decyduję, a nie ktoś inny, w jaki sposób dziecko ma zdobywać wykształcenie – ucina Inés i odkłada słuchawkę.

Tydzień później przychodzi jeszcze jeden list. Nosi nagłówek „Zawiadomienie z sądu” i wzywa niewymienionych z nazwiska „rodziców lub opiekunów” do stawienia się w dniu 21 lutego o godzinie 9 rano przed obliczem komisji sędziowskiej w celu wyjaśnienia, dlaczego rzezone dziecko nie zostało przeniesione do Centrum Oświatowego w Punto Arenas.

– Nie pójdę – mówi Inés. – Nie stawię się przed tym ich sądem. Zabiorę Davida do *La Residencia* i tam go ukryję. Jeśli ktoś będzie pytał, gdzie jesteśmy, to powiedz, że wyjechaliśmy w głąb kraju.

– Proszę, przemyśl to jeszcze raz, Inés. Jeśli tak zrobisz, to zmienisz się w uciekinierkę. Ta czy inna osoba z *La Residencia* – na przykład ten nadgorliwy stróż – doniesie na ciebie do władz. Lepiej stańmy przed tą komisją, ty, David i ja. Niech sami zobaczą, że David nie ma rogów, że jest po prostu zwyczajnym sześciolatkiem, o wiele za małym, żeby go rozłączać z matką.

– To już nie jest zabawa – ostrzega Simón chłopca. – Jeśli nie przekonasz tych ludzi, że naprawdę chcesz się uczyć, wyślą cię do Punto Arenas, do ośrodka za kolczastym drutem. Przynies książkę. Będiesz się uczył czytać.

– Ale ja umiem czytać – mówi cierpliwie chłopiec.

– Umiesz czytać tylko w ten swój nonsensowny sposób. Nauczę cię czytać jak należy.

Chłopiec biegnie truchtem do pokoju, wraca z *Don Quixote'em* i otwiera książkę na pierwszej stronie. „Gdzieś w La Manchy – czyta wolno, ale pewnie – w miejscu, którego nazwy nie pamiętam, żył szlachcic, co miał chudą szkapę i psa”.

– Bardzo dobrze. Ale skąd mogę wiedzieć, że nie nauczyłeś się tej strony na pamięć? – Mężczyzna na chybił trafił otwiera książkę w innym miejscu. – Czytaj.

– „Bóg jeden wie, czy Dulcynea istnieje na tym świecie, czy nie – czyta chłopiec – czy jest fantazją, czy nie”.

– Fantazją. Dalej.

– „Nie są to rzeczy, które można udowodnić bądź obalić. Anim jej nie spłodził, anim na świat nie wydał”. Co to znaczy spłodził?

– Don Quixote mówi, że nie jest ani ojcem, ani matką Dulcynei. Płodzenie to jest to, co robi ojciec, żeby się przyczynić do powstania dziecka. Czytaj dalej.

– „Anim jej nie spłodził, anim na świat nie wydał, ale czczę ją jako damę, obdarzoną cnotami, z których słynie na cały świat”. Co znaczy czczę?

– Czczyć to znaczy otaczać nabożnym szacunkiem. Dlaczego mi nie mówiłeś, że umiesz czytać?

– Mówiłem. Ale nie słuchałeś.

– Udawałeś, że nie umiesz. Pisać też potrafisz?

– Tak.

– Przynies ołówek. Napiszesz to, co ci powiem.

– Nie mam ołówka. Zostawiłem ołówki w szkole. Miałeś je odzyskać. Obiecałeś.

– Nie zapomniałem.

– Czy na następne urodziny mogę dostać konia?

– Takiego jak El Rey?

– Nie, małego konia, który mógłby spać ze mną w moim pokoju.

– Mieję rozum, dziecko. Nie można trzymać konia w mieszkaniu.

- A Inés trzyma Bolívara.
- Tak, ale koń jest dużo większy niż pies.
- To mogę dostać żrebaka.
- Ze żrebaka wyrośnie duży koń. Coś ci powiem. Jak będziesz grzeczny i pokażesz panu Leonowi, że nadajesz się do jego klasy, to kupimy ci rower.
- Nie chcę roweru. Nie można ratować ludzi na rowerze.
- Tak czy owak, konia nie dostaniesz, więc nie ma o czym mówić. Napisz teraz: „Bóg jeden wie, czy Dulcynea istnieje na tym świecie, czy nie”. Pokaż.

Chłopiec pokazuje mu zeszyt.

– *Deos sabe si boy Dulcinea o no en el mundo* – czyta Simón; słowa biegną od lewej do prawej, równo rozmieszczone, foremne. – Brawo – mówi. – Jedna uwaga: po hiszpańsku Bóg pisze się *Dios*, a nie *Deos*. Poza tym bardzo dobrze. Pierwsza klasa. A więc przez cały czas umiałeś czytać i pisać i po prostu stroiłeś sobie żarty z matki, ze mnie i z pana Leona.

– Nie stroiłem sobie żartów. Kto to jest Bóg?  
 – „Bóg jeden wie” to takie wyrażenie. „Któż może wiedzieć?” – pytamy. – „Nikt, jeden tylko Bóg”. Wracając jednak...

– Czyli Bóg to nikt?

– Nie zmieniaj tematu. Bóg nie jest nikim, ale mieszka zbyt daleko od nas, żebyśmy mogli z nim rozmawiać albo utrzymywać z nim kontakty. A czy w ogóle nas zauważa, *Dios sabe*. Co zatem powiemy pani Otxoa, co powiemy panu Leonowi? Jak im wytłumaczymy, że sobie z nich żartowałeś, że przez cały czas wiedziałeś, jak się pisze i czyta? Inés, chodź tutaj! David ma ci coś do pokazania.

Podsuwa jej zeszyt Davida. Kobieta czyta.

– Kto to jest Dulcynea? – pyta.

– Nieważne. Białogłowa, w której kocha się Don Quixote. Nie osoba z krwi i kości, tylko ideał. Idea w jego umyśle. Zobacz, jak ładnie David pisze litery. Umiał pisać przez cały czas.

– Oczywiście, że umiał. On wszystko umie, prawda, Davidzie? Wszystko umiesz robić. Jesteś dumą swojej mamy.

Z szerokim i (jak się zdaje Simónowi) pełnym samozadowolenia uśmiechem na twarzy David gramoli się na łóżko i wyciąga ręce do matki, która przygarnia go do siebie. Dziecko zamyka oczy; pogrąża się w błogości.

– Pójdziemy znów do szkoły – oznajmia Simón chłopcu – ty, Inés i ja. Weźmiemy z sobą Don Quixote’a. Pokażemy panu Leonowi, że umiesz czytać. Kiedy już to zrobimy, powiesz mu, jak bardzo załujesz, że narobiłeś tyle zamieszania.

– Nie pójdę do szkoły. Nie potrzebuję. Umiem już czytać i pisać.

– Nie chodzi już o wybór między pójściem do szkoły pana Leona a zostaniem w domu. Teraz trzeba wybrać między szkołą pana Leona a szkołą za drutem kolczastym. Poza tym szkoła to nie tylko czytanie i pisanie. To także uczenie się, jak żyć z innymi chłopcami i dziewczętami. Jak stać się stworzeniem społecznym.

– W klasie pana Leona nie ma żadnych dziewczyn.

– Tak, ale spotykasz dziewczęta w czasie przerw i po szkole.

– Nie lubię dziewczyn.

– Wszyscy chłopcy tak mówią. Potem pewnego dnia nagle się zakochują i żenią.

– Ja się nie ożenię.

– Wszyscy chłopcy tak mówią.

– Ty nie jesteś żonaty.

– Tak, ale ja jestem wyjątkowym przypadkiem. Jestem za stary na małżeństwo.

– Możesz się ożenić z Inés.

– Z twoją matką łączy mnie szczególny związek, którego ze względu na swój młody wiek nie możesz zrozumieć. Nie zamierzam nic więcej mówić, poza tym, że nie jest to związek małżeński.

– Dlaczego nie jest?

– Bo każdy z nas ma w sobie wewnętrzny głos, nazywany niekiedy głosem serca, który mówi nam, jakiego rodzaju uczucia żyjemy wobec danej osoby. I ten rodzaj uczuć, jaki mam dla Inés, jest bliższy życzliwości niż miłości, w każdym razie miłości małżeńskiej.

– A czy pan Daga się z nią ożeni?

– To cię trapi? Nie, wątpię, żeby pan Daga chciał poślubić twoją matkę. Pan Daga nie należy do tych, którzy się żenią. Poza tym ma całkiem niezłą dziewczynę.

– Pan Daga mówi, że on i Frannie puszczają razem fajerwerki. Przy świetle księżycy. Powiedział, że mogę przyjść popatrzeć. Mogę?

– Nie, nie możesz. Kiedy pan Daga mówi o fajerwerkach, nie ma na myśli prawdziwych fajerwerków.

– Właśnie, że tak! Ma całą szufladę fajerwerków. I mówi też, że Inés ma świetne piersi. Najwspanialsze na święcie. I że ożeni się z nią dla tych piersi, i że będą mieli dzieci.

– Tak mówi, a niech go! No, cóż, Inés będzie miała własne zdanie na ten temat.

– Dlaczego nie chcesz, żeby pan Daga ożenił się z Inés?

– Bo gdyby twoja matka rzeczywiście chciała zawrzeć związek małżeński, to mogłaby sobie znaleźć lepszego męża.

– Kogo?

– Nie wiem kogo. Nie znam wszystkich mężczyzn, których zna twoja matka. Na pewno jest ich mnóstwo w *La Residencia*.

– Ona nie lubi mężczyzn z *La Residencia*. Mówi, że są za starzy. Po co są piersi?

– Kobieta ma piersi, żeby karmić swoje dziecko mlekiem.

– Czy w piersiach Inés też jest mleko? Czy jak dorosnę, będę miał mleko w piersiach?

– Nie. Wyrośniesz na mężczyznę, a mężczyźni nie mają piersi, tych właściwych. Tylko kobiece piersi dają mleko. Męskie piersi są jałowe.

– Ja też chcę mieć mleko! Dlaczego nie mogę mieć mleka?

– Powiedziałem ci: mężczyźni nie wytwarzają mleka.

– A co wytwarzają?

– Krew. Jeśli mężczyzna chce coś dać ze swojego ciała, daje krew. Idzie do szpitala i oddaje swoją krew chorym i ludziom, którzy mieli wypadki.

– Żeby im się poprawiło?

– Żeby im się poprawiło.

– Będę oddawać krew. Mogę już niedługo oddać krew?

– Nie. Musisz poczekać, aż będziesz starszy, aż będziesz miał w ciele więcej krwi. A teraz chciałbym cię zapytać o coś innego. Czy utrudnia ci życie w szkole to, że nie masz normalnego ojca, że masz tylko mnie?

– Nie.

– Na pewno? Bo señora Otxoa, ta pani ze szkoły, powiedziała nam, że możesz się martwić brakiem prawdziwego ojca.

– Nie martwię się. Niczym się nie martwię.

– Cieszę się, że tak mówisz. Bo wiesz, w porównaniu z matkami ojcowie nie są zbyt ważni. Matka wydaje cię na świat. Karmi mlekiem, jak wspomniałem. Trzyma cię w ramionach i chroni. Natomiast ojciec może niekiedy być typem wędrowca, jak Don Quixote, nie zawsze obecnym wtedy, gdy go potrzebujesz. Pomaga przy powołaniu cię do życia, na samym początku, ale potem rusza dalej. Zanim przyjdiesz na świat, on już może zniknąć za horyzontem, w poszukiwaniu nowych przygód. Dlatego właśnie mamy ojców chrestnych –

zaufanych, statecznych ojców chrzestnych – i wujków. Tak więc gdy ojciec jest nieobecny, istnieje zawsze ktoś, kto zajmuje jego miejsce, na kim można się oprzeć.

– A ty jesteś moim ojcem chrzestnym czy wujkiem?

– Jednym i drugim. Możesz myśleć o mnie, jak chcesz.

– Kim jest mój prawdziwy ojciec? Jak ma na imię?

– Nie wiem. *Dios sabe*. Prawdopodobnie było to powiedziane w tym liście, który miałeś przy sobie, ale list przepadł zjedzony przez ryby i żadne łyżo go nie przywróca. Jak powiedziałem, często się zdarza, że nie wiemy, kim jest ojciec. Nawet matka nie zawsze jest tego pewna. No to jak: jesteś gotów spotkać się z panem Leonem? Pokazać mu, jaki jesteś bystry?

Przez godzinę czekają cierpliwie pod sekretariatem szkolnym, aż wreszcie rozlega się ostatni dzwonek i pustoszeje ostatnia klasa. Pojawia się señor Leon, z teczką w ręce, wychodzący już do domu. Jest wyraźnie niezadowolony, że ich widzi.

– Zabierzemy panu tylko pięć minut – prosi Simón. – Chcieliśmy panu pokazać, jakie postępy zrobił David w czytaniu. Davidzie, pokaż, proszę, panu Leonowi, jak czytasz.

Señor Leon zaprasza ich gestem do swojej klasy. David otwiera *Don Quixote'a*. „Gdzieś w La Manchy, w miejscu, którego nazwy nie pamiętam, żył szlachcic, co miał chudą szkapę...”

Señor Leon przerywa mu w pół słowa.

– Nie mam zamiaru słuchać recytacji. – Przechodzi przez salę, otwiera szafkę, wyciąga z niej książkę i otwiera przed chłopcem. – To mi przeczytaj.

– W którym miejscu?

– Od początku.

– „Juan i Maria idą nad morze. Juan i Maria wybierają się dziś nad morze. Ojciec mówi, że ich przyjaciele, Pablo i Ramona, mogą iść razem z nimi. Juan i Maria bardzo się cieszą. Matka robi im kanapki na drogę. Juan...”

– Stop! – zarządza señor Leon. – Jakim cudem nauczyłeś się czytać w dwa tygodnie?

– Spędza mnóstwo czasu z *Don Quixote'em* – wtrąca Simón.

– Niech chłopiec mówi sam za siebie – ucisza go señor Leon. – Jeśli nie umiałeś czytać dwa tygodnie temu, to jak to się dzieje, że umiesz czytać dzisiaj?

Chłopiec wzrusza ramionami:

– To nic trudnego.

– Znakomicie. Skoro czytanie to nic trudnego, to powiedz mi, co przeczytałeś. Opowiedz mi historię *Don Quixote'a*.

– On wpada do dziury w ziemi i nikt nie wie, gdzie jest.

– Tak?

– Potem ucieka. Po sznurze.

– I co jeszcze?

– Zamykają go do klatki, a on robi kupę w spodnie.

– A dlaczego tak się dzieje – dlaczego go zamykają?

– Bo nie wierzą, że jest *Don Quixote'em*.

– Nie. Zamykają go, bo nie ma kogoś takiego jak *Don Quixote*. Bo *Don Quixote* to wymyślone imię. Chcą go zabrać do domu, żeby się opamiętał.

Chłopiec patrzy niepewnie na Simóna.

– David odczytuje tę książkę po swojemu – tłumaczy mężczyzna panu Leonowi. – Ma bogatą wyobraźnię.

Señor Leon nie raczy odpowiedzieć.

– Juan i Pablo idą na ryby – mówi. – Juan łapie pięć ryb. Zapisz na tablicy: pięć. Pablo łapie trzy ryby. Pod pięcioma zapisz trzy. Ile ryb łapią w sumie Juan i Pablo?

Chłopiec stoi pod tablicą, ma zamknięte oczy, jakby nasłuchiwał jakiegoś dalekiego głosu. Kreda nie porusza się w jego dłoni.

– Licz. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć. A teraz jeszcze do trzech. Ile to razem?

Chłopiec potrząsa głową.

– Nie widzę ich – mówi ledwo słyszalnie.

– Nie widzisz czego? Nie musisz widzieć ryb, wystarczy, że będziesz widział liczby. Patrz na liczby. Pięć, a potem jeszcze trzy. Ile to jest?

– Tym razem... tym razem... – mówi dziecko tym samym cichym, matowym głosem – ... to jest osiem.

– Dobrze. Narysuj kreskę pod trójką i napisz osiem. Zatem przez cały czas udawałeś, że nie umiesz liczyć. Teraz pokaż, jak piszesz. Pisz: *Conviene que yo diga la verdad*, muszę mówić prawdę. Napisz to: *Conviene*.

Od lewej do prawej, wyraźnie, choć powoli, chłopiec pisze: *Yo soy la verdad*, ja jestem prawdą.

– Sama pani widzi – zwraca się do Inés señor Leon. – Z tym właśnie musiałem się borykać dzień po dniu, kiedy pani syn był w mojej klasie. Uważam, że w klasie szkolnej może być tylko jeden autorytet, nie może być dwu. Zgadza się pani?

– To wyjątkowe dziecko – odpowiada Inés. – Jak pan prowadzi szkołę, skoro nie potrafi pan sobie poradzić z jednym wyjątkowym dzieckiem?

– Niesubordynacja wobec nauczyciela nie oznacza, że dziecko jest wyjątkowe, tylko po prostu nieposłuszne. Skoro upiera się pani, że chłopiec musi być traktowany w wyjątkowy sposób, niech go pani puści do Punto Arenas. Tam wiedzą, jak się zajmować wyjątkowymi dziećmi.

Inés wyprostowuje się, oczy jej płoną.

– Po moim trupie! – mówi. – Chodź, kochanie!

Chłopiec starannie odkłada kredę do rynienki. Nie patrząc w lewo ani w prawo, wychodzi za matką z sali.

Señor Leon wzrusza obojętnie ramionami.

W miarę upływu dni oburzenie Inés wzrasta. Godzinami rozmawia przez telefon z braćmi, snując plany opuszczenia Novilli i rozpoczęcia życia gdzie indziej, poza zasięgiem władz oświatowych.

Simón, rozważając zdarzenie w klasie, nie widzi aż tylu powodów do oburzenia. Owszem, nie lubi autokratycznego pana Leona; zgadza się też z Inés, że ktoś taki nie powinien mieć władzy nad małymi dziećmi. Ale dlaczego chłopiec nie wykonuje poleceń? Czy to jakiś wrodzony duch buntu, podsycany przez matkę; czy może niechęć ucznia do nauczyciela ma jakiś bardziej konkretny powód?

Bierze chłopca na bok.

– Wiem, że señor Leon bywa bardzo surowy – mówi – i że nie zawsze znajdujecie wspólny język. Próbuję zrozumieć dlaczego. Czy señor Leon powiedział ci kiedyś coś przykrego, o czym nam nie opowiadałeś?

Chłopiec patrzy na niego ze zdziwieniem.

– Nie.

– Jak zaznaczyłem, nikogo nie obwiniam. Staram się tylko zrozumieć. Czy istnieje jakiś powód, że nie lubisz pana Leona, oprócz tego, że jest surowy?

– Ma szklane oko.

– Wiem. Prawdopodobnie stracił je w wypadku. I na pewno jest czuły na tym punkcie. Ale przecież nie robimy sobie z ludzi wrogów tylko dlatego, że mają szklane oczy.

– Dlaczego on mówi, że nie ma żadnego Don Quixote'a? Don Quixote istnieje. Jest w książce. Ratuje ludzi.

– To prawda, jest w książce człowiek, który nazywa siebie Don Quixote'em i ratuje ludzi. Ale niektórzy z nich wcale nie chcą być ratowani. Są zadowoleni z tego, jacy są. Złoszczą się



na Don Quixote'a i krzyczą na niego. Mówią, że nie wie, co robi, i że zakłóca porządek społeczny. Señor Leon lubi porządek, Davidzie. Lubi spokój i ład w swojej klasie. Lubi porządek na świecie. Nie ma w tym nic złego. Chaos może być bardzo dokuczliwy.

– Co to jest chaos?

– Mówiłem ci niedawno. Chaos jest wtedy, gdy nie ma porządku, gdy nie ma praw, których można się trzymać. Chaos to po prostu mętlik. Nie umiem tego lepiej opisać.

– Czy to jest tak jak wtedy, gdy liczby się otwierają i człowiek w nie wpada?

– Nie, ani trochę. Liczby nigdy się nie otwierają. Liczby dają poczucie bezpieczeństwa. To one wiążą wszechświat w jedną całość. Powinniśmy się zaprzyjaźnić z liczbami. Gdybyś był dla nich życzliwszy, to i one byłyby życzliwsze dla ciebie. Wtedy nie musiałbyś się bać, że usuną ci się spod nóg.

Mówi najpoważniej, jak potrafi, i chłopiec chyba to słyszy.

– Dlaczego Inés walczy z panem Leonem? – pyta.

– Oni nie walczą. Coś tam między nimi zazgrzytało, czego teraz, po namyśle, oboje pewnie żałują. Ale to nie to samo co walka. Mocne słowa nie są walką. Czasem się zdarza, że musimy stanąć w obronie tych, których kochamy. Twoja matka ujęła się za tobą. To jest właśnie to, co matka, dobra matka, robi dla swoich dzieci: bierze je w obronę, osłania, dopóki tchu jej starcza w piersiach. Powinieneś być dumny, że masz taką matkę.

– Inés nie jest moją matką.

– Jest. Jest dla ciebie prawdziwą matką. Jest twoją prawdziwą matką.

– Czy oni mnie zabiorą?

– Kto czy cię zabierze?

– Ludzie z Punto Arenas.

– Punto Arenas to szkoła. Nauczyciele z Punto Arenas nie porywają dzieci. Nie tak działa system edukacyjny.

– Nie chcę iść do Punto Arenas. Przrzeknij, że nie pozwolisz im mnie zabrać.

– Przrzekam. Twoja matka i ja nie pozwolimy nikomu wysłać cię do Punto Arenas. Widziałeś, w jaką tygrysicę zmienia się twoja matka, gdy trzeba cię bronić. Nikt z nią nie wygra.

Przesłuchanie odbywa się w głównej siedzibie Wydziału Oświaty w Novilli. Simón i Inés są tam o wyznaczonej godzinie. Po krótkim oczekiwaniu zostają wprowadzeni do ogromnej, odbijającej dźwięki sali wypełnionej rzędami pustych krzeseł. Z przodu, na podwyższonej ławce, siedzi dwóch mężczyzn i kobieta – sędziowie czy też inspektorzy. Señor Leon jest już obecny. Nie padają żadne słowa na powitanie.

– Jesteście państwo rodzicami chłopca imieniem David? – pyta sędzia siedzący w środku.

– Ja jestem jego matką – mówi Inés.

– A ja chrzestnym – oświadcza Simón. – On nie ma ojca.

– Czy ojciec zmarł?

– Ojciec jest nieznan.

– Z którym z państwa mieszka chłopiec?

– Chłopiec mieszka ze swoją matką. Jego matka i ja nie mieszkamy razem. Nie jesteśmy w związku małżeńskim. Niemniej tworzymy we troje rodzinę. Pewnego rodzaju. Oboje opiekujemy się Davidem. Widuję go codziennie. Prawie.

– Jak rozumiemy, David zaczął w styczniu uczęszczać do szkoły i został zapisany do klasy pana Leona. Po upływie kilku tygodni zostaliście państwo wezwani na konsultację. Zgadza się?

– Tak.

– I co przekazał państwu señor Leon?

– Powiedział, że David robi słabe postępy w nauce i że jest nieposłuszny. Zalecił zabranie dziecka ze szkoły.

– Señor Leon, czy tak było?

Señor Leon kiwa głową.

– Omówiłem tę sprawę z panią Otxoa, szkolnym psychologiem. Zgodziliśmy się, że dla Davida byłoby korzystnie, gdyby został przeniesiony do szkoły w Punto Arenas.

Sędzia rozgląda się po sali.

– Czy señora Otxoa jest obecna?

Urzędnik sądowy szepcze mu coś do ucha. Sędzia oświadcza:

– Señora Otxoa nie mogła przybyć osobiście, ale dostarczyła sprawozdanie, które... – przegląda papiery – ... które, tak jak pan mówi, señor Leon, zaleca przeniesienie do Punto Arenas.

Sędzina z lewej pyta:

– Señor Leon, czy może pan wyjaśnić, dlaczego w pańskim odczuciu takie posunięcie jest konieczne? Wydaje się, że wysłanie sześciolatka do Punto Arenas to bardzo surowy środek.

– Señora, mam za sobą dwanaście lat pracy w zawodzie nauczyciela. Przez cały ten czas nigdy nie spotkałem się z podobnym przypadkiem. Chłopiec David nie jest głupi. Ani obciążony umysłowo. Przeciwnie, jest utalentowany i inteligentny. Ale nie przyjmuje do wiadomości uwag nauczyciela i nie uczy się. Poświęciłem mu wiele godzin, kosztem innych dzieci w klasie, próbując mu zaszczepić podstawy czytania, pisania i arytmetyki. Nie robił żadnych postępów. Niczego nie rozumiał. Albo raczej udawał, że nie rozumie. Mówię „udawał”, bo w istocie umiał czytać i pisać, zanim przyszedł do szkoły.

– Czy to prawda? – pyta przewodniczący składu sędziowskiego.

– Czytać i pisać tak, z przerwami – odpowiada Simón. – Chłopiec ma dobre i złe dni. Jeśli chodzi o matematykę, ma pewne trudności, o charakterze, powiedziałbym, filozoficznym, które opóźniają postęp. Jest wyjątkowym dzieckiem. Wyjątkowo inteligentnym i wyjątkowym także pod innymi względami. Nauczył się czytać z książki *Don Quixote*, w uproszczonej wersji dla dzieci. Uświadomiłem to sobie dopiero bardzo niedawno.

– Nie w tym rzecz – wtrąca señor Leon – czy chłopiec umie czytać i pisać albo kto go uczył. Chodzi o to, czy potrafi się przystosować do zwykłej szkoły. Nie mam czasu użerać się z dzieckiem, które nie chce się uczyć i które swoim zachowaniem zakłóca normalne życie w klasie.

– On ma dopiero sześć lat! – wybuchła Inés. – Co z pana za nauczyciel, skoro nie może pan zapanować nad sześciolatkiem?

Señor Leon sztywnieje.

– Nie powiedziałem, że nie mogę zapanować nad pani synem. Jeśli czegoś nie mogę, to wypełniać moich obowiązków wobec innych dzieci, kiedy on jest w klasie. Pani syn potrzebuje specjalnej opieki, jakiej nie otrzyma w normalnej szkole. Dlatego właśnie zaproponowałem Punto Arenas.

Zapada cisza.

– Czy ma pani coś jeszcze do powiedzenia, señora? – pyta przewodniczący sądu.

Inés gniewnie potrząsa głową.

– Señor?

– Nie.

– Wobec tego prosiłbym, aby opuścili państwo salę, pan również, señor Leon, i zczekali na naszą decyzję.

Wychodzą wszyscy troje do poczekalni. Inés nie może patrzeć na pana Leona. Po kilku minutach zostają wezwani z powrotem.

– Sąd postanawia – ogłasza przewodniczący – że zalecenie pana Leona, uzupełnione i poparte przez szkolnego psychologa oraz dyrektora szkoły, zdobywa moc prawną. Chłopiec

imieniem David zostanie przeniesiony do szkoły w Punto Arenas w możliwie najkrótszym terminie. To wszystko. Dziękuję państwu za obecność.

– Wysoki sędzie – odzywa się Simón – chciałbym spytać, czy przysługuje nam prawo do odwołania.

– Może pan oczywiście przekazać sprawę do sądu cywilnego. Ale procedura odwoławcza nie może być użyta jako środek powstrzymujący wykonanie naszego postanowienia. Innymi słowy, przeniesienie do Punto Arenas nastąpi niezależnie od tego, czy będzie się pan odwoływał od decyzji, czy nie.

– Diego przyjedzie po nas jutro wieczorem – mówi Inés. – Już ustalone. Jeszcze tylko musi załatwić jakąś sprawę.

– I dokąd zamierzacie pojechać?

– Skąd mam wiedzieć? Gdzieś, gdzie nie sięga władza tych ludzi.

– Naprawdę chcesz pozwolić, żeby paru szkolnych urzędników wykurzyło cię z miasta, Inés? Jak będziecie żyć – ty, Diego i dziecko?

– Nie wiem. Jak cyganie, przypuszczam. Dlaczego nam nie pomożesz, zamiast wynajdywać przeszkody?

– Kto to są cyganie? – wtrąca się do rozmowy chłopiec.

– Życ jak cyganie to takie powiedzenie – wyjaśnia Simón. – Ty i ja byliśmy trochę cyganami, kiedy koczowaliśmy w obozie w Belstarze. Kiedy jest się cyganem, nie ma się prawdziwego domu, nie ma się gdzie złożyć głowy. To niezbyt wielka frajda być cyganem.

– Będę musiał chodzić do szkoły?

– Nie, cygańskie dzieci nie chodzą do szkoły.

– Więc chcę być cyganem, razem z Inés i Diegiem.

Mężczyzna zwraca się do Inés.

– Szkoda, że nie omówiłaś tego ze mną. Naprawdę zamierzasz spać gdzieś pod płótem i jeść jagody, gdy będziesz się ukrywać przed prawem?

– To nie ma nic wspólnego z tobą – odpowiada lodowatym tonem kobieta. – Nie obchodzi cię, że David może pójść do poprawczaka. A mnie tak.

– Punto Arenas to nie jest poprawczak.

– To jest składowisko odpadów dla młodocianych przestępców – przestępców i sierot. Moje dziecko nigdy nie pójdzie do tego miejsca, nigdy, nigdy, nigdy.

– Zgadzam się z tobą. David nie zasługuje, żeby go zsyłać do Punto Arenas. Nie dlatego, że to jest składowisko odpadów, ale dlatego, że jest za mały, by go rozdzielać z rodzicami.

– Dlaczego więc się nie postawiłeś tym sędziom? Dlaczego kłaniałeś się w pas i szurałeś nogą, powtarzając „*Si, señor*”, „*Si, señora*”? Nie wierzysz w chłopca?

– Oczywiście, że w niego wierzę. Wierzę, że jest wyjątkowy i że zasługuje na szczególne traktowanie. Ale ludzie, o których wspominasz, mają za sobą prawo, a my nie możemy sobie pozwolić na zadzieranie z prawem.

– Nawet jeśli to prawo jest złe?

– To nie jest kwestia dobra i zła, Inés, to jest kwestia władzy. Jeśli uciekniesz, poślą za tobą policję i policja cię złapie. Powiedzą, że nie nadajesz się na matkę, i odbiorą ci dziecko. Wywiozą Davida do Punto Arenas, a ty będziesz bez końca walczyła o odzyskanie prawa do opieki.

– Nigdy nie odbiorą mi dziecka. Wolę umrzeć. – Jej pierś faluje. – Czemu mi nie pomożesz, tylko cały czas stajesz po ich stronie?

Simón wyciąga rękę, żeby ją udobruchać, ale ona strząsa jego dłoń i osuwa się na łóżko.

– Zostaw mnie! Nie dotykaj mnie! Wcale nie wierzysz w dziecko! Nie wiesz, co to znaczy wierzyć!

Chłopiec pochyla się nad nią, gładzi ją po włosach. Na jego ustach ukazują się uśmiech.

– Cii... cii... – mówi. Kładzie się obok niej; wkłada sobie kciuk do buzi. Jego oczy robią się szkliste, nieobecne. Po kilku chwilach już śpi.

Álvaro zwołuje sztauerów.

– Przyjaciele – zagaja – jest sprawa, którą chciałbym z wami omówić. Jak może pamiętacie, nasz kolega Simón proponował, żebyśmy przestali rozładowywać towar ręcznie i zaczęli się posługiwać mechanicznym dźwigiem.

Robotnicy kiwają głowami. Niektórzy spoglądają w kierunku Simóna. Eugenio posyła mu uśmiech.

– Otóż mam dzisiaj dla was dobrą wiadomość. Kolega z wydziału robót drogowych powiedział mi, że u nich w bazie od miesięcy stoi nieużywany dźwig. Jeśli chcielibyśmy go wypożyczyć na okres próbny, nic nie stoi na przeszkodzie.

Co robimy, przyjaciele? Przyjmujemy ofertę? Zobaczymy, czy – jak twierdzi Simón – dźwig odmieni nasze życie? Kto chce pierwszy zabrać głos? Ty, Simónie?

Simón jest całkowicie zaskoczony. Głowę ma zaprzątniętą Inés i jej planami ucieczki; od tygodni nie myślał o dźwigach, szcurach i usprawnianiu transportu zboża; w istocie doszedł do tego, że szuka oparcia w codziennej harówce, która utrudzonemu przynosi dobrodziejstwo głębokiego, pozbawionego marzeń snu.

– Nie ja – mówi. – Ja już swoje powiedziałem.

– Ktoś inny? – pyta Álvaro.

Odzywa się Eugenio.

– Myślę, że powinniśmy wypróbować ten dźwig. Nasz przyjaciel Simón nosi głowę nie od parady. Kto wie, może ma rację. Może istotnie powinniśmy iść z duchem czasu. Nie dowiemy się, póki nie spróbujemy.

Wśród zebranych przebiega szmer aprobaty.

– Bierzemy więc ten dźwig? – upewnia się Álvaro. – Mam powiedzieć koledze drogowcowi, żeby go tu dostarczył?

– Tak jest! – mówi Eugenio i podnosi rękę.

– Tak jest! – mówią chórem sztauerzy i również podnoszą rękę.

Nawet Simón podnosi rękę. Głosowanie jest jednomyślne.

Dźwig przyjeżdża na ciężarówce. Kiedyś musiał być biały, ale farba oblaźła i metal jest pokryty rdzą. Maszyna wygląda, jakby przez długi czas stała pod gołym niebem na deszczu. Jest również mniejsza, niż oczekiwał Simón. Porusza się na klekoczących stalowych gąsienicach; operator siedzi w kabinie nad gąsienicami, manewrując dźwigniami, które obracają ramieniem i uruchamiają kołowrót.

Ściągnięcie dźwigu z ciężarówki zabiera niemal godzinę. Drogowiec, przyjaciel Álvaro, niecierpliwi się.

– Kto będzie obsługiwał maszynę? – pyta. – Pokażę mu, jak działają dźwignie, i muszę wracać.

– Eugenio! – woła Álvaro. – Pierwszy głosowałeś za dźwigiem. Chciałbyś nim kierować? Eugenio rozgląda się dokoła.

– Jeśli nikt inny nie chce, to tak.

– Dobra! Dzielny z ciebie chłop.

Eugenio jest pojętnym uczniem. Już po chwili jeździ tam i z powrotem małym dźwigiem po kei, obracając wysięgnikiem, na którym wesoło podryguje hak.

– Pokazałem mu, co mogłem – mówi operator do Álvara. – Przez pierwsze dni niech zachowa szczególną ostrożność, a później się rozkręci.

Ramię dźwigu sięga akurat nad pokład statku. Sztauerzy wynoszą z ładowni worki jeden po drugim, jak dawniej; ale teraz, zamiast znosić je po trapie, wrzucają je do brezentowego zawiesia. Kiedy zawiesie po raz pierwszy jest pełne, okrzykiem dają Eugeniowi znak. Hak chwyta nosidło; stalowa lina napręża się; brzemie zostaje uniesione nad pokład i Eugenio z fasonem zatacza nim szeroki łuk. Robotnicy wiwatują; lecz ich wiwaty zmieniają się w okrzyki przerażenia, bo oto ładunek uderza o nabrzeże i zaczyna bezwładnie wirować. Mężczyźni rozpraszają się – wszyscy, prócz Simóna, który albo jest zbyt pochłonięty sobą, żeby patrzeć na to, co się dzieje, albo zbyt wolno się porusza. Przez moment widzi, jak Eugenio spogląda na niego z wysokości kabiny, wypowiadając słowa, których on nie słyszy. Potem rozkołysany ładunek uderza go w przeponę i odrzuca do tyłu. Simón zatacza się na słupek, potyka o linę relingu i spada w lukę między keją a stalowymi płytami frachtowca. Przez chwilę tkwi tam, tak ściśnięty, że nie może oddychać. Niezwykle wyraźnie zdaje sobie sprawę, że wystarczy, by statek drgnął choć o cal, a zostanie zmiażdżony jak robak. Potem ucisk łagodnieje i Simón wpada nogami w dół do wody.

– Pomocy! – charczy. – Pomóżcie mi!

Koło ratunkowe, pomalowane w czerwone i białe pasy, wpada do wody tuż obok niego. Z góry dobiega głos Álvara:

– Simón! Słuchaj! Chwyć się koła, a my cię wyciągniemy.

Chwyta koło; jak rybę holują go wzdłuż kei na otwartą wodę. I znów głos Álvara:

– Trzymaj się mocno, ciągniemy do góry!

Ale gdy koło zaczyna się unosić, ból staje się nagle nie do wytrzymania. Simón rozluźnia uchwyt i wpada z powrotem do wody. Wszędzie pełno oleju: w oczach, w ustach. „Więc tak wygląda koniec? – myśli. – Jak szczur? Co za hańba!”

Ale raptem Álvaro jest już przy nim w wodzie; zlepione olejem włosy przylegają mu ciasno do głowy.

– Spokojnie, przyjacielu – mówi. – Oprzyj się o mnie.

Simón z wdzięcznością pozwala, by Álvaro objął go w pól.

– Ciągnąć! – krzyczy Álvaro i objął, ciasno spleceni, wynurzają się z wody.

Gdy odzyskuje przytomność, nie wie, gdzie jest. Leży na plecach, patrząc w puste niebo. Dostrzega wokół siebie zamazane postacie i słyszy szmer głosów, ale nie rozumie ani słowa. Oczy zamykają mu się same i znów odpływa.

Budzi go jakiś łoskot, dochodzący, jak się zdaje, z jego własnego wnętrza, z głębi głowy.

– Zbudź się, *viejo!* – słyszy.

Otwiera jedno oko i widzi nad sobą tłustą, spoconą twarz. „Nie śpię” – chciałby powiedzieć, ale nie może wydobyć głosu.

– Patrz na mnie! – mówią tłuste usta. – Słyszysz mnie? Zamrugaj oczami, jeśli mnie słyszysz.

Mruga.

– Dobrze. Dam ci teraz zastrzyk przeciwbólowy, a potem cię stąd zabierzemy.

„Przeciwbólowy? Przecież nic mnie nie boli – chce powiedzieć. – Dlaczego miałoby mnie boleć?” Ale cokolwiek jest to coś, co mówi w jego imieniu, dzisiaj pozostaje milczące.

Ponieważ jest członkiem związku dokerów – o czym wcześniej nie wiedział – przysługuje mu w szpitalu prawo do separatki. Opiekuje się nim cały zastęp troskliwych pielęgniarek; w ciągu kolejnych tygodni między nim a jedną z sióstr, kobietą w średnim wieku imieniem Klara, nawiązuje się coś w rodzaju zażyłości.

Wszyscy są zgodni, że wyszedł z wypadku obronną ręką. Ma trzy złamane żebra. Odłamek kości przebił płuco i niezbędny był zabieg chirurgiczny, żeby go usunąć (czy mógłby zatrzymać kość na pamiątkę? – jest teraz w fiolce na stoliku obok łóżka). Na twarzy i górnej części ciała ma skaleczenia i sińce, stracił też trochę skóry; ale mózg nie doznał uszkodzenia. Kilka dni na obserwacji, kilka tygodni rekonwalescencji i znów powinien być sobą. Najważniejszą rzeczą w tym okresie będzie uśmierzenie bólu.

Najwierniejszym z odwiedzających jest Eugenio, pełen wyrzutów sumienia z powodu swojej niefachowości przy obsłudze dźwigu. Simón robi, co może, żeby dodać młodzieńcowi otuchy – „jakże mogłeś oczekiwać, że nauczysz się obsługiwać nową maszynę w tak krótkim czasie?” – ale Eugenio pozostaje niepokieszony. Często, gdy Simón wynurza się z drzemki, pierwszym widokiem, jaki mu się ukazuje, jest czuwający przy nim Eugenio.

Przychodzą też Álvaro i inni koledzy z doków. Po rozmowie z lekarzami Álvaro przynosi wiadomość, że choć Simón ma szanse na całkowite wyzdrowienie, nie byłoby mądrze z jego strony, gdyby – w swoim wieku – wrócił do pracy sztauera.

– Może mógłbym obsługiwać dźwig – proponuje Simón. – Na pewno nie byłbym gorszy od Eugenia.

– Jeśli chcesz być operatorem dźwigu, będziesz musiał się przenieść do drogowców – odpowiada Álvaro. – Dźwigi są zbyt niebezpieczne. Nie mają przyszłości w dokach. Dźwigi to zawsze był kiepski pomysł.

Simón ma nadzieję, że Inés przyjdzie go odwiedzić, ale tak się nie dzieje. Obawia się najgorszego: że wprowadziła w życie swój plan i uciekła z chłopcem.

Wspomina o swoim zmartwieniu Klarze.

– Mam przyjaciółkę – mówi – której syn jest mi bardzo bliski. Z powodów, w które nie chcę wchodzić, władze oświatowe zagroziły, że zabiorą jej dziecko i wyślą do szkoły specjalnej. Czy mógłbym cię prosić o przysługę? Mogłabyś zatelefonować do niej i spytać, jak sprawy stoją?

– Oczywiście – mówi Klara. – Ale czy nie wolałbyś z nią porozmawiać sam? Mogę ci przynieść telefon do łóżka.

Simón dzwoni do Bloków. Telefon odbiera sąsiadka, która wychodzi, wraca i mówi, że Inés nie ma w domu. Mężczyzna dzwoni później tego samego dnia, również bez skutku.

Następnego dnia nad ranem, w bezimiennej przestrzeni między snem a jawą, pojawia mu się obraz. Z niezwykłą wyrazistością widzi dwukołowy rydwan, zawieszony w powietrzu u stóp jego łóżka. Rydwan, zrobiony z kości słoniowej czy też jakiegoś metalu wykładanego kością słoniową, jest zaprzęgnięty w dwa białe konie, z których żaden nie jest El Reyem. Na wozie, trzymając lejce w jednej dłoni, drugą zaś wznosząc wysoko w królewskim geście, stoi chłopiec, nagi, jeśli nie liczyć bawełnianej przepaski na biodrach.

To, w jaki sposób rydwan i dwa konie mieszczą się w małym szpitalnym pokoju, jest dla Simóna zagadką. Pojazd sprawia wrażenie, jakby unosił się w powietrzu bez najmniejszego wysiłku ze strony koni i woźnicy. Konie nie stoją nieruchomo; od czasu do czasu przebiegają kopytami w powietrzu, potrząsają głowami i parskają. Co do chłopca, wygląda na to, że trzymanie uniesionego w górę ramienia wcale go nie męczy. Na twarzy ma dobrze znajomy Simónowi wyraz: zadowolenia z siebie, może nawet tryumfu.

W którymś momencie chłopiec zwraca spojrzenie wprost na Simóna. „Czytaj z moich oczu”, zdaje się mówić.

Sen, czy też przywidzenie, trwa dwie albo trzy minuty. Potem blednie i znika, a pokój jest taki sam jak wcześniej.

Simón opowiada o tym Klarze.

– Wierzysz w telepatię? – pyta. – Miałem uczucie, że David próbuje mi coś powiedzieć.

– Ale co?

– Nie jestem pewien. Może, że on i jego matka potrzebują pomocy. Albo i nie. Przesłanie było – jak by to powiedzieć? – mroczne.

– No cóż, pamiętaj, że środek przeciwbólowy, który przyjmujesz, to opiat. Opiaty wywołują sny, opiumowe sny.

– To nie był opiumowy sen. To było coś prawdziwego.

Odtąd nie przyjmuje leków przeciwbólowych, w związku z czym bardziej cierpi. Najgorsze są noce: nawet najmniejszy ruch powoduje przeszywający ból w piersiach.

Nie ma nic, co pomogłoby mu zapomnieć o bólu; nic do czytania. W szpitalu nie ma biblioteki, oferuje się jedynie stare czasopisma (przepisy, kącik dla hobbystów, moda kobieca). Simón skarży się Eugeniowi, który w odpowiedzi przynosi mu podręcznik ze swojego kursu filozofii („wiem, że jesteś osobą poważną”). Książka, tak jak obawiał się Simón, jest o stołach i krzesłach. Odkłada ją.

– Przykro mi, ale to nie jest mój rodzaj filozofii.

– A jaki rodzaj byś wolał?

– Taki, który wstrząsa. Który przemienia życie.

Eugenio spogląda na niego ze zdziwieniem.

– Czy to znaczy, że coś jest nie tak z twoim życiem? – pyta. – Oprócz tego, że miałeś wypadek?

– Czegoś mi brakuje, Eugenio. Wiem, że nie powinno tak być, ale jest. Życie, które prowadzę, nie jest dla mnie. Chciałbym, żeby ktoś, jakiś zbawca, zstąpił z nieba, skinął magiczną różdżką i powiedział: „Oto księga, przeczytaj ją, a otrzymasz odpowiedź na wszystkie swoje pytania”. Albo: „Oto całkiem nowy rodzaj życia dla ciebie”. Nie rozumiesz takiego gadania, co?

– Przyznam, że nie.

– Nie szkodzi. To tylko przejściowy nastrój. Jutro znów będę dawnym sobą.

Lekarz mówi mu, że powinien powoli szykować się do wyjścia. Czy ma gdzie mieszkać? Czy jest ktoś, kto będzie mu gotować, dbać o niego, pomagać mu wstawać z łóżka, gdy będzie dochodził do zdrowia? Czy chciałby porozmawiać z pracownikiem opieki społecznej?

– Z nikim takim – mówi. – Jeśli pan doktor pozwoli, omówię tę sprawę z kolegami i zobaczę, co się da załatwić.

Eugenio oferuje mu pokój w mieszkaniu, które dzieli wspólnie z dwoma kolegami. On, Eugenio, z przyjemnością będzie sypiał na sofie. Simón dziękuje Eugeniowi, ale odmawia.

Na jego prośbę Álvaro sprawdza domy spokojnej starości. W Zachodnich Blokach, relacjonuje, mają ośrodek, który, choć zasadniczo przeznaczony dla ludzi w podeszłym wieku, przyjmuje także rekonwalescentów. Simón prosi Álvaro, aby wpisał go na listę oczekujących.

– Trochę wstyd tak mówić – usprawiedliwia się – ale mam nadzieję, że niebawem zwolni się tam jakieś miejsce.

– Jeśli tylko w twoim sercu nie ma złej woli – zapewnia go Álvaro – to taka nadzieja jest dopuszczalna.

– Dopuszczalna? – nie dowierza Simón.

– Tak jest – potwierdza Álvaro.

Potem nagle wszystkie jego zgryzoty pierzchają. Z korytarza słychać młode, jasne głosy. W drzwiach pojawia się Klara.

– Masz gości – anonsuje.

Staje z boku, a do środka wpadają Fidel i David, za którymi nadchodzą Inés i Álvaro.

– Simón! – woła David. – Naprawdę wpadłeś do morza?

Gwałtowny skurcz serca. Simón wyciąga ostrożnie rękę.



– Chodź tu! Tak, miałem mały wypadek, wpadłem do wody, ale nie zdążyłem nawet dobrze zmoknąć. Przyjaciele mnie wyciągnęli.

Chłopiec wdrapuje się na wysokie łóżko, boleśnie urażając przy tym Simóna. Ale ból to głupstwo.

– Mój najdroższy chłopcze! Mój skarbie! Światło mojego życia!

David wyswabza się z jego objęć.

– Uciekłem – oznajmia. – Mówiłem ci, że ucieknę. Przeszedłem przez druty kolczaste.

Uciekłem? Przeszedłem przez druty? Simón jest zdezorientowany. O czym to dziecko mówi? I skąd ten dziwny nowy strój: obcisły sweter z golfem, krótkie (bardzo krótkie) spodenki, buty i białe skarpetki, które ledwie zasłaniają mu kostki?

– Dziękuję wam bardzo, że przyszedliście – mówi – ale Davidzie, skąd uciekłeś? Mówisz o Punto Arenas? Zabrali cię tam? Inés, pozwoliłaś im zabrać go do Punto Arenas?

– Nie pozwoliłam. Przyszli, kiedy bawił się na podwórzu. Wsadzili go do samochodu. Jak miałam ich powstrzymać?

– Nigdy nie myślałem, że do tego dojdzie. Ale co, David, uciekłeś? Opowiedz mi o tym. Opowiedz, jak uciekłeś.

Álvaro przerywa im.

– Zanim do tego przejdziemy, Simónie, czy moglibyśmy omówić twoją przeprowadzkę? Jak myślisz, kiedy będziesz mógł chodzić?

– To on nie może chodzić? – pyta chłopiec. – Nie możesz chodzić, Simónie?

– Jeszcze przez najbliższy czas będę potrzebował pomocy. Aż bóle ustąpią.

– Będziesz jeździł na wózku? Mogę go popychać?

– Tak, możesz mnie popychać na wózku, byłeś nie pędził zbyt szybko. Fidel też może popychać.

– Pytam dlatego – mówi Álvaro – że znów kontaktowałem się z domem spokojnej starości. Powiedziałem im, że są rokowania na twoje całkowite wyzdrowienie i nie będziesz wymagać specjalnej opieki. W takim razie, powiedzieli, mogą cię przyjąć od razu, jeśli tylko nie przeszkadza ci dzielenie pokoju z drugą osobą. Co ty na to? To by rozwiązało mnóstwo problemów.

Dzielenie pokoju z innym człowiekiem. Który chrapie w nocy i odpluwa w chusteczkę. Który skarży się, że córka go porzuciła. Który czuje urazę do przybysza odbierającego mu jego przestrzeń.

– Oczywiście, że mi nie przeszkadza – mówi. – To duża ulga, jeśli ma się dokąd pójść. Wszystkim zostaje zdjęty ciężar z pleców. Dziękuję, Álvaro, że się tym zająłeś.

– Oczywiście, związek zapłaci – dodaje Álvaro. – Za pobyt, za posiłki, za wszelkie twoje potrzeby przez czas, kiedy tam będziesz.

– Wspaniale.

– No, muszę wracać do roboty. Zostawiam cię z Inés i z chłopakami. Jestem pewien, że macie sobie mnóstwo do powiedzenia.

Czy ponosi go wyobraźnia, czy Inés naprawdę rzuca ukradkowe spojrzenie wychodzącemu Álvarovi? „Nie zostawiaj mnie samej z nim, z tym człowiekiem, którego właśnie zdradzamy!” Umieszczonym w sterylnym pokoju w odległych Blokach Zachodnich, gdzie nikogo nie zna. Pozostawionym, żeby szczeł. „Nie zostawiaj mnie z nim!”

– Usiądź, Inés. Davidzie, opowiedz mi całą historię od początku do końca. Niczego nie opuszczaj. Mamy mnóstwo czasu.

– Uciekłem – mówi chłopiec. – Powiedziałem ci, że tak zrobię. Przeszedłem przez druty kolczaste.

– Zadzwoiła do mnie jakaś całkiem obca kobieta – wtrąca Inés. – Powiedziała, że znalazła Davida, który błąka się bez ubrania po ulicach.

– Bez ubrania? Zbiegłeś z Punto Arenas bez ubrania? Kiedy to było? Nikt nie próbował cię zatrzymać?

– Zostawiłem ubranie na drucie kolczastym. Nie przyrzekłem ci, że ucieknę? Mogę uciec z każdego miejsca.

– A gdzie znalazła cię ta pani, która zadzwoniła do Inés?

– Znalazła go na ulicy, po zmroku, zziębniętego i nagiego.

– Nie byłem zziębnięty. Ani nagi – protestuje chłopiec.

– Nie miałeś na sobie żadnego ubrania – mówi Inés. – To znaczy, że byłeś nagi.

– Mniejsza o to – przerywa Simón. – A dlaczego ta pani skontaktowała się z tobą, Inés? Dlaczego nie ze szkołą? Przecież tak by było najprościej.

– Ona nienawidzi szkoły. Wszyscy nienawidzą szkoły – mówi chłopiec.

– Czy to naprawdę takie straszne miejsce?

Chłopiec z zapałem kiwa głową.

Po raz pierwszy odzywa się Fidel.

– Bili cię?

– Musisz mieć czternaście lat, żeby cię mogli bić. Jak już masz czternaście, to mogą cię bić za nieposłuszeństwo.

– Opowiedz Simónowi o rybach – podsuwa Inés.

– Co piątek kazali nam jeść rybę. – Chłopiec teatralnym gestem wrusza ramionami. – Nie cierpię ryb. Mają oczy jak señor Leon.

Fidel chichocze. Po chwili obaj chłopcy śmieją się do rozpuku.

– Co takiego straszego było jeszcze w Punto Arenas oprócz ryb?

– Musieliśmy chodzić w sandałach. I nie pozwalali Inés na odwiedziny. Mówili, że nie jest moją matką. Ze jestem tylko wychowankiem. Wychowanek to ktoś, kto nie ma matki ani ojca.

– To bzdura. Inés jest twoją matką, a ja chrzestnym, co jest równie dobre jak bycie ojcem, a czasem nawet lepsze. Twój chrzestny czuwa nad tobą.

– Nie czuwałeś nade mną. Pozwoliłeś, żeby mnie zabrali do Punto Arenas.

– To prawda. Byłem złym ojcem chrzestnym. Spałem, zamiast czuwać. Ale dostałem nauczkę. W przyszłości będę się tobą lepiej opiekował.

– Będziesz z nimi walczył, jeśli wrócą po mnie?

– Jak lew. Pożyczę sobie miecz. Powiem: „Spróbujcie tylko znów wyciągnąć rękę po chłopca, a będziecie mieć do czynienia z Don Simónem!”.

David promienieje z radości.

– Bolívar też – mówi. – Bolívar będzie mnie strzegł w nocy. Zamieszkaś z nami? – Zwraca się do matki. – Może Simón zamieszkać z nami?

– Simón musi pójść do sanatorium, żeby odzyskać siły. Nie może chodzić. Nie może wspinać się po schodach.

– Może! Możesz chodzić, prawda, Simón?

– Jasne, że tak. Normalnie bym nie mógł, z powodu bólu. Ale dla ciebie mogę zrobić wszystko: wchodzić po schodach, jeździć na koniach, wszystko. Powiedz tylko słowo.

– Jakie słowo?

– Magiczne. Słowo, które mnie uzdrowi.

– Czy ja znam takie słowo?

– Oczywiście, że znasz. Powiedz je.

– To słowo brzmi... Abrakadabra!

Simón odrzuca na bok kołdrę (na szczęście ma na sobie szpitalną piżamę) i siada, zwieszając z łóżka swoje wychudzone nogi.

– Będę potrzebował waszej pomocy, chłopcy.

Wspierając się na ramionach Fidela i Davida, ostrożnie wstaje. Chwiejnie stawia pierwszy krok, potem drugi.

– Widzisz, znasz to słowo! Inés, możesz przysunąć mój pojazd? – Opada na wózek. – A teraz wybierzmy się na przejażdżkę. Chciałbym zobaczyć, jak świat wygląda, po tych wszystkich dniach w zamknięciu. Kto chce popychać?

– Nie pojedziesz z nami do domu? – pyta chłopiec.

– Na razie nie. Dopiero jak odzyskam siły.

– Ale przecież mamy być cyganami! Jeśli zostaniesz w szpitalu, to nie będziesz mógł być cyganem!

Simón zwraca się do Inés.

– Co to ma znaczyć? Myślałem, że mamy już za sobą te cygańskie historyjki.

Inés sztywnieje.

– On nie może wrócić do tej szkoły. Nie pozwolę na to. Moi bracia pojedą z nami, obaj. Weźmiemy samochód.

– Czworo ludzi w takim starym gracie? A jak się zepsuje? I gdzie będziecie mieszkać?

– To nieważne. Będziemy się chwytać różnych prac. Zrywać owoce. Pan Daga pożyczył nam pieniądze.

– Daga! To on za tym stoi!

– Tak czy owak, David nie wraca do tej okropnej szkoły.

– Gdzie trzeba chodzić w sandałach i jeść ryby. Dla mnie to wcale nie brzmi tak strasznie.

– Tam są chłopcy, którzy palą, piją i noszą przy sobie noże. To szkoła dla kryminalistów. Jeśli David tam wróci, to będzie miał uraz na całe życie.

– Co to znaczy „uraz na całe życie”? – pyta chłopiec.

– Tak się mówi – wyjaśnia Inés. – To znaczy, że szkoła będzie miała na ciebie zły wpływ.

– Czy to coś takiego jak rana?

– Tak, jak rana.

– Miałem już mnóstwo ran. Od drutu kolczastego. Chcesz zobaczyć moje rany, Simón?

– Twoja matka miała na myśli coś innego. Chodziło jej o ranę na duszy. Taki rodzaj rany, która się nie goi. Czy to prawda, że chłopcy w tej szkole noszą noże? Jesteś pewien, że to nie był tylko jeden chłopiec?

– Mnóstwo chłopców. I mieli też kaczkę z kaczątkiem, i jeden z nich nadepnął na to kaczątko, aż wnętrzności wyszły mu przez pupę na zewnątrz, i ja chciałem je wepchnąć z powrotem, ale nauczyciel mi nie pozwolił. Powiedział, że kaczątko musi umrzeć, a ja powiedziałem, że chcę tchnąć w nie życie, ale on się nie zgodził. I jeszcze musieliśmy pracować w ogrodzie. Każdego popołudnia, po szkole, kazali nam kopać. Nie znoszę kopania.

– Kopanie to dobra rzecz. Gdyby nikomu nie chciało się kopać, nie mielibyśmy plonów, nie byłoby co jeść. Poza tym kopanie wzmacnia. Wyrabia mięśnie.

– Można hodować nasiona na bibule. Nauczyciel nam pokazywał. Wtedy nie trzeba kopać.

– Jedno albo dwa nasiona tak. Ale jeśli naprawdę chcesz zebrać plon, jeśli chcesz wyhodować wystarczająco dużo pszenicy, żeby zrobić chleb, to ziarno musi być zasiane w ziemi.

– Nie cierpię chleba. Chleb jest nudny. Wolę lody.

– Wiem, że wolisz lody. Ale nie można żywić się samymi lodami, można natomiast żywić się chlebem.

– Lodami też. Pan Daga tak robi.

– Pan Daga tylko udaje, że żywi się lodami. Jestem pewien, że gdy nikt nie widzi, to wcina chleb, jak wszyscy. Tak czy inaczej, nie powinieneś brać przykładu z pana Dagi.

– Pan Daga daje mi prezenty. Ty i Inés nigdy mi nic nie dajecie.

– To nieprawdziwe, co mówisz, mój chłopcze, nieprawdziwe i okrutne. Inés kocha cię i dba o ciebie; ja też. A pan Daga, w głębi serca, nie czuje do ciebie miłości.

– On mnie bardzo kocha! Chce, żebym u niego mieszkał! Powiedział tak Inés, a Inés mnie.

– Myślę, że ona nigdy się na to nie zgodzi. Należysz do swojej matki. Przez cały czas o to właśnie walczymy. Pan Daga może ci się wydawać czarujący i ekscytujący, ale jak dorośniesz, to zrozumiesz, że takie osoby nie zawsze są dobrymi ludźmi.

– Co to jest „ekscytujący”?

– Taki, co ma w uszach kolczyki i nosi nóż.

– Pan Daga jest zakochany w Inés. Zrobi tak, że będzie miała w brzuszku dzieci.

– David! – wybucha Inés.

– Przecież to prawda! Inés powiedziała, żebym ci o tym nie mówił, bo będziesz zazdrosny. Rzeczywiście, Simón? Jesteś zazdrosny?

– Nie, oczywiście, że nie jestem. To nie moja sprawa. Próbuję ci tylko wytłumaczyć, że pan Daga nie zasługuje na twój podziw. Może i zaprasza cię do domu i częstuje lodami, ale nie chodzi mu o twoje dobro.

– A co jest moim dobrem?

– Żebyś wyrósł na porządnego człowieka. Jak dobre ziarno, takie, które dojrzewa głęboko w ziemi i wypuszcza mocne korzenie, a kiedy przyjdzie czas, przedziera się ku światłu i przynosi obfity plon. Taki właśnie powinieneś być. Jak Don Quixote. Don Quixote ratował dziewice. Chronił ubogich przed bogatymi i potężnymi. Weź sobie jego za przykład, a nie pana Dagę. Ochraniaj ubogich. Pomagaj uciśnionym. I czcij swoją matkę.

– Nie! To moja matka musi mnie czcić! A w ogóle to pan Daga mówi, że Don Quixote jest staromodny. Mówi, że dzisiaj nikt już nie jeździ na koniu.

– Tak? Mógłbyś mu łatwo udowodnić, że się myli. Dosiądź swojego konia i unieś miecz nad głowę. To uciszy pana Dagę. Dosiądź El Reya.

– El Rey nie żyje.

– To nieprawda. El Rey żyje. Wiesz o tym.

– Gdzie? – szepcze chłopiec. Jego oczy napełniają się nagle łzami, drżą mu usta; nie może wydobyć z siebie głosu.

– Nie wiem, ale El Rey czeka gdzieś na ciebie. Jeśli będziesz szukać, na pewno go znajdziesz.

Tego dnia Simón wychodzi ze szpitala. Żegna się z pielęgniarkami. Do Klary mówi:

– Nieprędko zapomnę twoją opiekę. Chciałbym wierzyć, że było w niej coś więcej niż tylko życzliwość.

Klara nie odpowiada, ale sposób, w jaki patrzy mu w oczy, potwierdza jego przypuszczenia.

Szpital zarezerwował samochód z kierowcą, żeby zawiózł Simóna do nowej siedziby w Zachodnich Blokach, a Eugenio zaoferował się, że dotrzyma mu towarzystwa i zobaczy, czy bezpiecznie się zainstalował. Ale gdy już są w drodze, Simón prosi kierowcę, by podjechał pod Wschodnie Bloki.

– Nie mogę tego zrobić – odpowiada kierowca. – Zlecenie tego nie obejmuje.

– Proszę – mówi Simón. – Muszę zabrać parę ubrań. To potrwa pięć minut.

Kierowca zgadza się niechętnie.

– Wspominałeś coś, że masz kłopoty z edukacją swojego malca – mówi Eugenio, gdy skręcają na wschód. – Co to za kłopoty?

– Władze szkolne chcą nam go zabrać. W razie konieczności siłą. Chcą go wysłać do Punto Arenas.

– Do Punto Arenas! Dlaczego?

– Bo wybudowali szkołę w Punto Arenas specjalnie dla dzieci, które są znudzone historijkami o Juanie i Marii i tym, co oni robią nad morzem. Które są znudzone i okazują swoje znudzenie: Dzieci, które nie przestrzegają reguł dodawania i odejmowania, ustanowionych przez nauczyciela. Reguł stworzonych przez człowieka. Dwa plus dwa równa się cztery i tak dalej.

– To niedobrze. Dlaczego twój chłopiec nie sumuje liczb tak, jak wymaga nauczyciel?

– A dlaczego miałyby to robić, skoro wewnętrzny głos mówi mu, że sposób nauczyciela nie jest prawdziwym sposobem?

– Nie rozumiem. Skoro te reguły są prawdziwe dla ciebie, dla mnie i dla wszystkich innych, to jak mogą nie być prawdziwe dla niego? I dlaczego nazywasz je regułami stworzonymi przez człowieka?

– Bo dwa i dwa równie dobrze mogłoby się równać trzy albo pięć, albo dziewięćdziesiąt dziewięć, gdybyśmy tak postanowili.

– Ale dwa dodać dwa jest równe cztery. Chyba że nada się jakieś dziwne, specjalne znaczenie słowu „równe”. Sam sobie możesz policzyć: jeden, dwa, trzy, cztery. Gdyby dwa dodać dwa naprawdę wynosiło trzy, wtedy zapanowałby całkowity chaos. Bylibyśmy w innym wszechświecie, z innymi prawami fizyki. W istniejącym wszechświecie dwa i dwa równa się cztery. To uniwersalna reguła, niezależna od nas, wcale nie stworzona przez człowieka. Nawet gdybyśmy obaj mieli przestać istnieć, dwa dodać dwa nadal byłoby równe cztery.

– Tak, ale które dwa dodać które dwa równa się cztery? Na ogół, Eugenio, myślę, że to dziecko po prostu nie rozumie liczb, tak jak ich nie rozumie kot czy pies. Ale od czasu do czasu muszę sam siebie spytać: Czy jest ktoś na ziemi, dla kogo liczby są bardziej realne?

W szpitalu nie miałem co robić, więc próbowałem, w ramach ćwiczeń umysłowych, spojrzeć na świat oczami Davida. Kiedy położysz przed nim jabłko, co widzi? Jabłko; nie jedno jabłko, tylko po prostu jabłko. Połóż przed nim dwa jabłka. Co widzi? Jabłko i jabłko: nie dwa jabłka, nie to samo jabłko dwa razy, ale jabłko i jabłko. A teraz przychodzi señor Leon (jego wychowawca) i pyta: „Ile jabłek, dziecko?”. Jak brzmi odpowiedź? Co to są „jabłka”? Jaka jest liczba pojedyncza słowa, którego liczba mnoga brzmi „jabłka”? Trzej mężczyźni w samochodzie jadącym w stronę Wschodnich Bloków: kto jest liczbą pojedynczą słowa, które w liczbie mnogiej brzmi „mężczyźni” – Eugenio, Simón czy nasz przyjaciel kierowca, którego imienia nie znam? Jesteśmy trzema czy jednym, jednym i jednym?

Widzę, że się irytujesz – i wiem dlaczego. Jeden, jeden i jeden daje razem trzy, chcesz powiedzieć, a ja nie mogę temu zaprzeczyć. Trzej mężczyźni w samochodzie: proste. Ale David tak nie rozumuje. Kiedy liczy, nie robi takich kroków, jakie my robimy: jeden – krok – dwa – krok – trzy. Dla niego jest tak, jakby liczby były pływającymi wyspami na powierzchni ogromnego czarnego morza nicości i jakby jego samego za każdym razem proszono, żeby zamknął oczy i przeskoczył przez pustkę. „A jeśli spadnę?” – oto jakie pytanie zadaje sobie David. „Co, jeśli spadnę i będę spadać bez końca?” Leżąc w łóżku wśród nocy, mogłem czasem przysiąc, że też spadam – że ogarnia mnie ta sama obsesja, w której władzy jest chłopiec. „Jeśli tak trudno dotrzeć od jednego do dwóch – myślałem – to jak mam kiedykolwiek przejść od zera do jednego?” Z nigdzie do gdzieś: za każdym razem było to jak wołanie o cud.

– Chłopiec niewątpliwie ma bardzo żywą wyobraźnię – zamyśla się Eugenio. – Pływające wyspy. Ale wyrośnie z tego. To są następstwa długotrwałego braku poczucia bezpieczeństwa. Nie da się nie zauważyć, jak bardzo jest spięty, jak bez najmniejszego powodu wpada w rozdrażnienie. Czy kryje się za tym jakaś historia, nie wiesz? Czy jego rodzice byli w konflikcie?

– Jego rodzice?

– Jego prawdziwi rodzice. Czy on nosi w sercu jakąś bliznę, jakiś uraz z przeszłości? Nie? Mniejsza o to. Kiedy już poczuje się bezpieczniej w swoim otoczeniu, kiedy zacznie do niego docierać, że wszechświat – nie tylko królestwo liczb, ale wszystko inne też – podlega władzy pewnych praw, że nic nie dzieje się przypadkiem, wtedy opamięta się i uspokoi wewnętrznie.

– Tak samo mówiła pani psycholog. Señora Otxoa. Że kiedy David stanie twardo na ziemi, kiedy zaakceptuje samego siebie, jego trudności w nauce znikną.

– Jestem przekonany, że ma rację. Po prostu trzeba trochę czasu.

– Chyba tak. Chyba tak. Ale może to my jesteśmy w błędzie, a on ma rację? Może między jeden a dwa wcale nie ma żadnego mostu, tylko pusta przestrzeń? I może to my, którzy tak pewnie stawiamy ten krok, w rzeczywistości spadamy poprzez przestrzeń, tylko że o tym nie wiemy, bo upieramy się nosić opaskę na oczach? Może David jest jedynym spośród nas, który naprawdę widzi?

– To trochę jak w tym powiedzeniu: „Może szaleńcy są normalni, a normalni to szaleńcy”. Nie obraż się, ale to jest sztubackie filozofowanie. Niektóre rzeczy są po prostu prawdziwe. Jabłko to jabłko, które jest jabłkiem. Jabłko i inne jabłko to dwa jabłka. Jeden Simón i jeden Eugenio dają w sumie dwóch pasażerów samochodu. Dziecku nie jest trudno zrozumieć takie zdania – zwykłemu dziecku. Nie jest mu trudno, bo te zdania są prawdziwe; bo od maleńkości jesteśmy, by tak rzec, dostrojeni do ich prawdziwości. A co do lęku przed pustką oddzielającą liczby – mówiłeś kiedyś Davidowi, że liczb jest nieskończenie wiele?

– Niejeden raz. Nie ma ostatniej liczby, mówiłem mu. Liczby biegną w nieskończoność. Ale co to ma do rzeczy?

– Są dobre nieskończoności i złe nieskończoności, Simónie. Rozmawialiśmy kiedyś o złych nieskończonościach – pamiętasz? Zła nieskończoność to tak jakby znaleźć się we śnie, który jest snem wewnątrz innego snu, dziejącego się wewnątrz jeszcze innego snu i tak dalej.

Albo jakby się znaleźć w życiu, które jest tylko przygrzywką do innego życia, a tamto znów do innego, i znów. Ale z liczbami jest inaczej. Liczby tworzą dobrą nieskończoność. Dlaczego? Bo będąc nieskończone pod względem ilości, wypełniają wszystkie miejsca we wszechświecie; przylegają jedna do drugiej jak cegły. Jesteśmy zatem bezpieczni. Nie ma gdzie wpaść. Wy tłumacz to chłopcu. Pokrzepisz go w ten sposób.

– Tak zrobię. Ale coś mi mówi, że to go nie uspokoi.

– Nie zrozum mnie źle, przyjacielu. Nie jestem po stronie systemu szkolnego. Zgadza się, że jest on bardzo sztywny, bardzo staroświecki. Moim zdaniem, większy nacisk powinno się położyć na wykształcenie praktyczno-techniczne. David mógłby, na przykład, uczyć się na hydraulika albo stolarza. Do tego nie potrzeba wyższej matematyki.

– Albo na sztauera.

– Albo na sztauera. Praca w dokach, jak obaj wiemy, to zajęcie godne szacunku. W każdym razie zgadzam się z tobą, że twój chłopak jest źle traktowany. Niemniej jednak jego nauczyciele mają pewien cel, prawda? Nie chodzi tylko o przestrzeganie reguł arytmetyki, ale o przestrzeganie reguł w ogóle. Señora Inés to bardzo miła pani, ale strasznie rozpuszcza dziecko, każdy to widzi. Jeśli dziecku wciąż się pobłaża i mówi, że jest wyjątkowe, jeśli pozwala mu się wymyślać na oczekaniu własne reguły, to co z niego wyrośnie? Odrobina dyscypliny na tym etapie życia chyba nie zaszkodzi małemu Davidowi.

Choć Simón czuje ogromną życzliwość wobec Eugenia, choć wzrusza go gotowość młodego sztauera do zaprzyjaźnienia się ze starszym kolegą, choć wcale nie obwinia go o spowodowanie wypadku w dokach – on sam, wepchnięty w pośpiechu do kabiny dźwigu, nie spisałby się lepiej – to nigdy nie czuł w głębi serca, że lubi tego człowieka. Uważa, że tamten jest pruderyjny, zadufany w sobie i ma klapki na oczach. Jego krytyczne uwagi o Inés sprawiają, że Simón cały się najeża. Trzyma jednak nerwy na wodzy.

– Istnieją, Eugenio, dwie teorie wychowywania dzieci. Jedna mówi, że powinniśmy kształtować je jak glinę, po to by wyrosli z nich wartościowi obywatele. Druga powiada, że dzieckiem jest się tylko raz i że szczęśliwe dzieciństwo to podstawa szczęśliwego życia w późniejszych latach. Inés należy do tej drugiej szkoły; a ponieważ jest matką Davida, ponieważ więzi łączące matkę z dzieckiem są święte, popieram ją. I dlatego nie, nie wierzę, że większa dyscyplina w klasie szkolnej przyda się Davidowi.

Jadą dalej w milczeniu.

Gdy są już we Wschodnich Blokach, Simón prosi kierowcę, żeby zaczekał, a Eugenio pomaga mu wysiąść z samochodu. Powoli wchodzą razem po schodach. W korytarzu drugiego piętra wita ich zatrważający widok. Przed mieszkaniem Inés stoją dwie osoby, mężczyzna i kobieta, w jednakowych granatowych uniformach. Drzwi są otwarte; z wnętrza dobiega głos Inés, wysoki, gniewny.

– Nie! – mówi. – Nie, nie, nie! Nie macie prawa!

Kiedy podchodzą bliżej, Simón widzi, że tym, co powstrzymuje obcych przed wejściem, jest Bolívar, który kuca na progu spięty do skoku – uszy stulone, obnażone zęby – i warczą cicho, śledzi każdy ich ruch.

– Simón! – woła do niego Inés. – Powiedz tym ludziom, żeby sobie poszli! Oni chcą zabrać Davida do tego okropnego poprawczaka. Powiedz im, że nie mają prawa!

Simón bierze głęboki oddech.

– Nie macie żadnych praw do tego chłopca – mówi, zwracając się do umundurowanej kobiety, filigranowej jak ptak, w przeciwieństwie do swego dość masywnego towarzysza. – To ja go przywożem do Novilli. Jestem jego opiekunem. Pod każdym istotnym względem jestem dla niego ojcem. Señora Inés – wskazuje na Inés – jest pod każdym względem jego matką. Nie znacie naszego syna tak, jak my go znamy. Nie ma w nim nic takiego, co wymagałoby korygowania. To wrażliwy chłopiec, który ma pewne kłopoty z programem szkolnym – i nic ponadto. Widzi wilcze doły, filozoficzne wilcze doły, tam, gdzie zwykle

dziecko by ich nie widziało. Nie możecie go karać za filozoficzną odmienność. Nie możecie rozłączać go z domem i rodziną. Nie pozwolimy na to.

Po jego przemowie nastaje cisza. Chroniona przez swego psa obronnego Inés patrzy wojowniczo na kobietę.

– Nie pozwolimy na to – powtarza w końcu.

– A pan, señor? – pyta kobieta, zwracając się do Eugenia.

– Señor Eugenio to przyjaciel – wtrąca się Simón. – Był uprzejmy przywieźć mnie ze szpitala. Nie jest uwikłany w tę sprawę.

– David to wyjątkowe dziecko – mówi Eugenio. – Jego ojciec jest mu ogromnie oddany, widziałem to na własne oczy.

– Drut kolczasty! – wykrzykuje Inés. – Cóż to za przestępców macie w tej swojej szkole, że musicie ich trzymać za drutem kolczastym?

– Drut kolczasty to mit – mówi kobieta. – Całkowity wymysł. Nie mam pojęcia, skąd się wziął. Nie ma żadnych drutów kolczastych w Punto Arenas. Przeciwnie, prowadzimy...

– On przeszedł przez drut kolczasty! – przerywa Inés, znów podnosząc głos. – Podarł na nim ubranie! A pani ma czelność mówić, że tam nie ma drutów kolczastych!

– Przeciwnie, prowadzimy politykę otwartych drzwi – nie daje sobie przerwać kobieta. – Nasze dzieci mogą swobodnie wchodzić i wychodzić. W drzwiach nie ma nawet zamków. David, powiedz szczerze: jest w Punto Arenas jakiś drut kolczasty?

Teraz dopiero Simón widzi, że chłopiec był obecny podczas tej głośniejszej wymiany zdań. Częściowo ukryty za plecami matki, słucha z uwagą, trzymając kciuk w ustach.

– Jest tam naprawdę drut kolczasty? – powtarza kobieta.

– Jest drut kolczasty – mówi wolno David. – Przeszedłem przez niego.

Kobieta kręci głową, uśmiecha się z niedowierzaniem.

– Davidzie – mówi łagodnie – ty wiesz i ja wiem, że to bujda. Nie ma drutu kolczastego w Punto Arenas. Zapraszam was wszystkich, żebyście przyszli i sami sprawdzili. Możemy w tej chwili wsiąść do samochodu i tam pojechać. Żadnego drutu kolczastego, zapewniam.

– Nie muszę sprawdzać – mówi Inés. – Wierzę mojemu dziecku. Jeśli mówi, że jest tam drut kolczasty, to znaczy, że jest.

– Ale czy rzeczywiście? – pyta kobieta, zwracając się do chłopca. – Czy to jest prawdziwy drut kolczasty, taki, który możemy zobaczyć na własne oczy, czy też mogą go dotknąć i zobaczyć tylko niektórzy ludzie obdarzeni bogatą wyobraźnią?

– Jest rzeczywisty. Jest prawdziwy – mówi chłopiec.

Zapada cisza.

– Więc o to chodzi – odzywa się w końcu kobieta. – O drut kolczasty. A jeśli pani udowodni, że nie ma żadnego drutu, señora, że dziecko po prostu zmyśla, puści je pani?

– Nie może pani tego udowodnić – odpowiada Inés. – Jeśli dziecko mówi, że drut jest, to wierzę mu, że jest.

– A pan?

– Ja też mu wierzę – zapewnia Simón.

– A pan, señor?

Eugenio wygląda na zakłopotanego.

– Musiałbym sam zobaczyć – mówi w końcu. – Nie może pani oczekiwać, że zajmę stanowisko, zanim nie przekonam się naocznie.

– No, cóż, wygląda na to, że znaleźliśmy się w impasie – stwierdza kobieta. – Señora, pozwoli pani, że o coś spytam. Ma pani następujący wybór: albo podporządkuje się pani prawu i wyda nam dziecko, albo będziemy zmuszeni wezwać policję. Co pani na to?

– Nie dostaniecie go, chyba że po moim trupie – mówi Inés. Zwraca się do Simóna: – Simón! Zrób coś!

On patrzy na nią bezradnie.



– Co mam zrobić?

– To nie będzie trwałe rozdzielenie – mówi funkcjonariuszka. – David może przyjeżdżać do domu raz na dwa tygodnie.

Inés milczy ponuro.

Simón podejmuje ostatnią próbę.

– Señora, proszę się zastanowić. To, co pani proponuje, złamie matce serce. I po co? Mamy oto dziecko, które, tak się składa, ma swoje własne poglądy na temat arytmetyki – nie historii, nie języka, ale skromnej arytmetyki – poglądy, z których najpewniej niedługo wyrośnie. Jakież to przestępstwo, gdy dziecko mówi, że dwa dodać dwa jest trzy? W jaki sposób może to zakłócić porządek społeczny? A jednak właśnie za to chce pani oderwać dziecko od rodziny i zamknąć za drutami kolczastymi! Sześciolatnie dziecko!

– Nie ma tam drutów kolczastych – powtarza cierpliwie kobieta. – A dziecko jest kierowane do Punto Arenas nie dlatego, że nie umie dodawać, tylko dlatego, że potrzebuje specjalnej opieki. Pablo – zwraca się do swego milczącego kompana – zaczekaj tu. Chciałabym zamienić z tym panem dwa słowa na osobności. – A do Simóna: – Señor, czy mogę pana na chwilę prosić?

Eugenio bierze go pod ramię, ale Simón odsuwa jego rękę.

– Dzięki, dam sobie radę, jeśli tylko nie będę się musiał śpieszyć. – Wyjaśnia kobiecie: – Dopiero co wyszedłem ze szpitala. Wypadek w pracy. Wciąż jeszcze jestem nieco obolały.

On i ona stoją sami na klatce schodowej.

– Señor – mówi cicho kobieta – niechże pan zrozumie. Nie jestem łowcą wagarowiczów. Z wykształcenia jestem psychologiem. Pracuję z dziećmi w Punto Arenas. Podczas tego krótkiego czasu, jaki David był z nami – zanim uciekł – przyglądałam mu się szczególnie uważnie, ponieważ, tu zgadzam się z panem, jest jeszcze bardzo mały i nie chciałam, żeby czuł się opuszczony z powodu rozłąki z domem.

Zobaczyłam urocze dziecko, bardzo uczciwe, bardzo bezpośrednie, nieobawiające się rozmawiać o swoich uczuciach. Zobaczyłam coś jeszcze. Zobaczyłam, jak prędko zdobywa sobie serca innych chłopców, zwłaszcza starszych. Nawet tych najbardziej szorstkich. Nie przesadzę, gdy powiem, że go wprost uwielbiali. Chcieli, żeby był ich maskotką.

– Maskotką? Jedyny rodzaj maskotki, jaki znam, to zwierzę, które przyozdabia się wieńcem z kwiatów i prowadzi na sznurku. Jakież to powód do dumy: być maskotką?

– Był ich ulubieńcem, cieszył się ogólną sympatią. Chłopcy nie rozumieją, dlaczego uciekł. Są zdruzgotani. Pytają o niego codziennie. Dlaczego to panu mówię, señor? Żeby pan zrozumiał, że David od samego początku znalazł własne miejsce w Punto Arenas. To nie jest normalna szkoła, gdzie dziecko spędza kilka godzin dziennie, zdobywając wiedzę, a potem idzie do domu. W Punto Arenas nauczyciele, uczniowie i doradcy są z sobą blisko związani. Spyta pan: czemu wobec tego David uciekł? Nie dlatego, że był nieszczęśliwy, zapewniam pana. Uciekł, bo ma miękkie serce i nie mógł znieść myśli, że señora Inés usycha z tęsknoty za nim.

– Señora Inés jest jego matką – zaznacza Simón.

Kobieta wzrusza ramionami.

– Gdyby zaczekał kilka dni, mógłby pojechać w odwiedziny do domu. Nie może pan przekonać żony, żeby go puściła?

– A jak niby mam ją przekonać, señora? Widziała ją pani. Myśli pani, że znam jakąś magiczną formułę, która sprawi, że kobieta taka jaka ona zmieni zdanie? Nie, pani problem nie polega na tym, jak odebrać Davida jego matce. Dysponuje pani odpowiednią władzą. Pani problem polega na tym, że nie potrafi go pani zatrzymać przy sobie. Kiedy postanowi, że wróci do rodziców, to wróci. Nie ma pani środków, żeby mu w tym przeszkodzić.

– Będzie uciekał tak długo, jak długo będzie wierzył, że matka go wzywa. Dlatego pana proszę, żeby pan z nią porozmawiał. Wy tłumaczył jej, że pójdzie z nami wyjdzie mu na dobre. Bo wyjdzie.

– Nikt nie przekona Inés, że odebranie jej dziecka wyjdzie mu na dobre.

– Niech więc pan ją przynajmniej przekona, żeby go puściła bez łez i gróźb, bez zakłócania jego równowagi psychicznej. Ponieważ, tak czy inaczej, on będzie musiał odejść.

Prawo jest prawem.

– Być może, ale istnieją wyższe względy niż przestrzeganie prawa, wyższe nakazy.

– Doprawdy? Chciałabym je kiedyś poznać. Na razie dziękuję, prawo mi wystarcza.

Dwoje funkcjonariuszy odeszło. Odszedł Eugenio. Odjechał też kierowca, nie wypełniając zlecenia. Simón, Inés i chłopiec są sami, chwilowo bezpieczni za zaryglowanymi drzwiami mieszkania. Bolívar, zrobiwszy, co do niego należało, wrócił na swoje ulubione miejsce koło grzejnika, skąd spogląda poważnie, czuwając z nastawionymi uszami, czy aby nie nadejdzie kolejny intruz.

– Usiądziemy i omówimy spokojnie sytuację, wszyscy troje? – proponuje mężczyzna.

Inés kręci głową.

– Nie ma czasu na dalsze rozmowy. Dzwonię do Diega, żeby po nas przyjechał.

– Przyjechał i zabrał was do *La Residencia*?

– Nie. Będziemy jechać, aż znajdziemy się poza zasięgiem tych ludzi.

Żadnego dalekosiężnego planu, żadnego prawdziwego pomysłu na ucieczkę – tyle wiadomo. Simónowi żal jest tej niezbyt lotnej, pozbawionej poczucia humoru kobiety, której życie, wypełnione partiami tenisa i koktajlami, on, Simón, wyrócił do góry nogami, kiedy dał jej dziecko; której przyszłość skurczyła się teraz do jeżdżenia bez celu po manowcach, aż jej braciom się to znudzi albo jej samej zabraknie pieniędzy i nie będzie miała innego wyboru, niż wrócić i oddać swój bezcenny skarb w obce ręce.

– A co by było, Davidzie – mówi mężczyzna – gdybyś wrócił do Punto Arenas, tylko na chwilę; wrócił i pokazał im, jaki jesteś bystry, zostając najlepszym uczniem w klasie? Gdybyś pokazał, jak umiesz dodawać, lepiej niż wszyscy, jak potrafisz przestrzegać zasad i być dobrym chłopcem? Kiedy to zobaczą, puszczą cię do domu, przyrzekam. A kto wie, może pewnego dnia wmurują nawet w Punto Arenas tablicę z napisem: „Tu był kiedyś słynny David”.

– Z czego będę słynął?

– Musimy poczekać i zobaczyć. Może zostaniesz sławnym magikiem. Albo sławnym matematykiem.

– Nie. Ja chcę pojechać samochodem z Inés i Diegiem. Chcę być cyganem.

Simón zwraca się do Inés:

– Błagam cię, Inés, zastanów się dobrze. Nie rób tego pochopnego ruchu. Musi być jakiś lepszy sposób.

Inés wyprostowuje się.

– Znowu zmieniłeś zdanie? Chcesz, żebym oddała moje dziecko obcym – oddała światło mojego życia? Za kogo mnie masz? – A do chłopca: – Idź się spakować.

– Już się spakowałem. Czy Simón może mnie pohuścić, zanim wyjedziemy?

– Wątpię, czy dam radę – mówi Simón. – Nie odzyskałem jeszcze dawnych sił, wiesz.

– Tylko trochę, proszę.

Wychodzą na podwórze. Niedawno padał deszcz; siedzenie huśtawki jest mokre. Simón ściera wodę rękawem.

– Tylko kilka huśnięć – mówi.

Może używać tylko jednej ręki; huśtawka ledwo się porusza. Ale chłopiec wydaje się szczęśliwy.

– Teraz twoja kolej, Simón – proponuje.

Mężczyzna z ulgą siada na huśtawce i pozwala, żeby chłopiec go kołysał.

– Miałeś ojca albo chrzestnego, Simón? – pyta chłopiec.

– Jestem całkiem pewien, że miałem ojca i że kołysał mnie na huśtawce tak jak ty teraz.

Wszyscy mamy ojców, takie jest prawo natury, jak ci kiedyś mówiłem; niestety, niektórzy z nich znikają albo zostają uznani za zaginionych.

– Czy twój ojciec wysoko cię huśtał?

– Pod samo niebo.

– Spadłeś?

– Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek spadł.

– Co się dzieje, kiedy człowiek spada?

– To zależy. Jak masz szczęście, to kończy się na guzie. A jak masz pecha, dużego pecha, to możesz sobie złamać rękę albo nogę.

– Nie, nie, co się dzieje, kiedy się spada?

– Nie rozumiem. Chodzi ci o to, co się dzieje podczas samego spadania?

– Tak. Czy to jest jak latanie?

– Nie, ani trochę. Latanie i spadanie to dwie różne rzeczy. Tylko ptaki mogą latać; my, ludzie, jesteśmy za ciężcy.

– Ale tylko przez chwilę, kiedy się jest w górze, to jest jak latanie, prawda?

– Przypuszczam, że tak; jeśli zapomnisz, że spadasz. A dlaczego pytasz?

Chłopiec uśmiecha się do niego tajemniczo.

– Bo tak.

Na schodach spotykają zasmuconą Inés.

– Diego zmienił zdanie – mówi. – Nie przyjedzie. Wiedziała, że tak będzie. Mówi, że możemy pojechać pociągiem.

– Pociągiem? Dokąd? Do końca trasy? A co zrobisz, jak już tam dojedziesz, sama z dzieckiem? Nie. Zadzwoń do Diega. Powiedz mu, żeby przyproceedził samochód. Ja siądę za kierownicą. Nie mam pojęcia dokąd, ale jadę z wami.

– On się na to nie zgodzi. Nie da nam samochodu.

– To nie jest jego samochód. Należy do was trojga. Powiedz mu, że miał go już wystarczająco długo, a teraz twoja kolej.

Godzinę później zjawia się Diego, opryskliwy, gotowy do kłótni. Ale Inés, ubrana w płaszcz i wysokie buty, ucina jego utyskiwania. Simón nigdy wcześniej nie widział, by zachowywała się tak władczo. Podczas gdy Diego stoi z rękami w kieszeniach, ona kładzie ciężką walizkę na dachu samochodu i przymocowuje ją pasami. Kiedy nadchodzi chłopiec, wlokąc swoje pudło ze znalezionymi przedmiotami, kobieta stanowczo potrząsa głową.

– Trzy rzeczy, nie więcej – mówi. – I to małe. Wybieraj.

Chłopiec wybiera zepsuty werk od zegara, kamień z białą smugą, martwego świerszcza w słoiku i wyschniętą kość mostkową mewy. Kobieta bez słowa bierze kość w palce i wyrzuca.

– Resztę zanieś na śmietnik.

Chłopiec patrzy na nią oszołomiony.

– Cyganie nie wożą ze sobą muzeum – mówi Inés.

W końcu samochód zostaje załadowany. Simón ostrożnie wsuwa się na tylne siedzenie, za nim chłopiec, a na końcu Bolívar, który układa się u ich stóp. Prowadząc o wiele za szybko, Diego podjeżdża pod *La Residencia*, gdzie wysiada, zatrząskuje drzwiami i dumnie odchodzi.

– Dlaczego Diego jest taki rozgniewany? – pyta chłopiec.

– Jest przyzwyczajony do bycia księciem – mówi Inés. – Do chodzenia własną drogą.

– A czy teraz ja jestem księciem?

– Tak, jesteś księciem.

– Ty królową, a Simón królem? Jesteśmy rodziną?

Simón i Inés wymieniają spojrzenia.

– Rodzajem rodziny – mówi mężczyzna. – Po hiszpańsku nie ma odpowiedniego słowa na określenie tego, czym jesteśmy, nazwijmy więc siebie tak: rodzina Davida.

Chłopiec rozpiera się wygodniej na siedzeniu; wygląda na zadowolonego z siebie.

Jadąc powoli – przy każdej zmianie biegów przeszywa go ból – Simón zostawia za sobą rezydencję i szuka drogi na północ.

– Gdzie jedziemy? – pyta chłopiec.

– Na północ. Masz jakiś lepszy pomysł?

– Nie, ale nie chcę mieszkać w namiocie, jak wtedy.

– W Belstarze? Prawdę mówiąc, to nie jest zła myśl. Możemy pojechać do Belstaru i wsiąść na łódź płynącą do dawnego życia.

– Nie! Nie chcę dawnego życia, chcę, żeby było nowe życie!

– Żartowałem, mój chłopcze. Kapitan portu w Belstarze nie pozwoli nikomu wziąć łodzi do dawnego życia. Jest pod tym względem nieubłagany. Żadnych powrotów. Czyli albo nowe życie, albo takie jak teraz. Jakieś podpowiedzi, Inés, gdzie szukać nowego życia? Nie? Wobec tego jedźmy i patrzmy, co się zdarzy.

Odnajdują drogę na północ i jadą nią, najpierw przez przemysłowe przedmieścia Novilli, potem przez zaniedbane wiejskie obszary. Droga zaczyna skręcać w stronę gór.

– Chce mi się kupę – mówi chłopiec.

– Nie możesz poczekać? – pyta Inés.

– Nie.

Jak się okazuje, nie mają papieru toaletowego. Ciekawe, czego jeszcze Inés zapomniała w pośpiechu zabrać.

– Czy mamy w samochodzie *Don Quixote'a*? – pyta Simón chłopca.

Ten kiwa głową.

– Poświęcisz jedną kartkę?

Chłopiec przecząco kręci głową.

– Więc będziesz miał po prostu brudny tyłek. Jak cygan.

– Przecież może użyć chusteczki – mówi sztywno Inés.

Zatrzymują się; jadą dalej. Simón zaczyna lubić samochód Diega. Nie jest może najładniejszy ani najwygodniejszy, ale silnik wydaje się całkiem mocny, godny zaufania.

Z wyżyny zjeżdżają na połałdowany, pokryty niskimi drzewami i krzewami teren, bardzo odmienny od piaszczystych nieużytków leżących na południe od Novilli. Widać trochę porozrzucanych tu i ówdzie domostw. Przez długie odcinki jazdy ich samochód jest jedyny na drodze.

Trafiają na miasto o nazwie Laguna Verde (dlaczego? – nie ma tu żadnej laguny), gdzie tankują paliwo. Mija godzina, pełne pięćdziesiąt kilometrów, zanim docierają do następnego miasta.

– Robi się późno – mówi Simón. – Powinniśmy się rozglądnać za jakimś noclegiem.

Jadą wolno wzdłuż głównej ulicy. Nie widać żadnego hotelu. Zatrzymują się przy stacji benzynowej.

– Gdzie znajdziemy jakieś wolne kwatery? – pyta Simón człowieka z obsługi.

Zapytany drapie się w głowę.

– Jeśli szukacie hotelu, to musicie pojechać do Novilli.

– Właśnie stamtąd przyjechaliśmy.

– To nie wiem – mówi mężczyzna. – Na ogół ludzie biwakują za miastem.

Wracają na szosę, w gęstniejącą noc.

– Czy będziemy dziś cyganami? – pyta chłopiec.

– Cyganie mają wozy mieszkalne – odpowiada Simón. – My nie mamy takiego wozu, tylko ten ciasny samochodzik.

– Cyganie śpią pod żywopłotami – mówi chłopiec.

– Bardzo dobrze. Powiedz mi, jak zobaczysz żywoplot.  
Nie mają mapy. Simón nie wie, dokąd prowadzi droga.  
Jadą w milczeniu.

Ogląda się przez ramię. Chłopiec zasnął przytulony do Bolívara. Mężczyzna patrzy psu w oczy. „Pilnuj go” – mówi, choć z jego ust nie pada żadne słowo. Bursztynowe, lodowate ślepie patrzą na niego bez mrugnięcia.

Wie, że pies go nie lubi. Ale może on nikogo nie lubi; może lubienie jest poza zasięgiem jego serca. Cóż zresztą znaczy lubienie, kochanie w porównaniu z wiernością?

– On już śpi – mówi cicho do Inés. A potem dodaje: – Przykro mi, że to ja jadę z tobą. Wolałabyś z bratem, prawda?

Inés wzrusza ramionami.

– Zawsze wiedziałam, że mnie zawiedzie w potrzebie. Jest chyba najbardziej samolubną osobą na świecie.

Simón pierwszy raz słyszy, żeby krytykowała brata; pierwszy raz jest po jego, Simóna, stronie.

– Mieszkając w *La Residencia*, człowiek robi się bardzo samolubny – mówi dalej Inés.

Mężczyzna czeka, żeby powiedziała coś więcej – o *La Residencia*, o swoich braciach – ale ona milknie.

– Nigdy nie miałem śmiałości spytać – przerywa ciszę Simón – ale dlaczego zgodziłaś się przyjąć chłopca? Przy pierwszym poznaniu wydawało się, że bardzo nas nie lubisz.

– To stało się tak nagle, tak niespodziewanie. Przyszliście znikąd.

– Wszystkie wielkie dary przychodzą znikąd. Powinnaś o tym wiedzieć.

Czy to prawda? Czy rzeczywiście wielkie dary przychodzą znikąd? Co go podkusiło, żeby tak powiedzieć?

– Czy naprawdę myślisz – mówi Inés (a on nie może nie usłyszeć uczucia, kryjącego się za jej słowami) – czy naprawdę myślisz, że nie tęskniłam za własnym dzieckiem? Wyobrażasz sobie, jak to wyglądało: być cały czas zamkniętą w *La Residencia*?

Teraz Simón potrafi nadać temu uczuciu nazwę: gorycz.

– Nie wyobrażam sobie. Nigdy nie rozumiałem *La Residencia* ani tego, jak się tam znalazłaś.

Kobieta nie słyszy zawartego w jego słowach pytania albo uważa, że nie warto na nie odpowiadać.

– Inés – mówi – pozwól mi zapytać po raz ostatni: jesteś pewna, że to właśnie chcesz robić – uciekać od życia, które znasz – i to tylko dlatego, że dziecko nie może się dogadać z nauczycielem?

Kobieta milczy.

– To nie jest życie dla ciebie, w ciągłej ucieczce – ciągnie Simón. – Ani dla mnie. Co do chłopca, to jest on uciekinierem aż za długo. Prędzej czy później, gdy dorośnie, i tak będzie musiał pogodzić się ze społeczeństwem.

Inés zaciska usta. Wpatruje się z furią w ciemność.

– Pomyśl o tym – kończy Simón. – Dobrze się zastanów. Ale pamiętaj, że bez względu na to, jaką podejmiesz decyzję, ja – przerywa, powstrzymując słowa, które cisną mu się na usta – pójdę za tobą na krańce ziemi.

– Nie chcę, żeby David skończył jak moi bracia – mówi Inés tak cicho, że Simón musi natężyć słuch. – Nie chcę, żeby został urzędnikiem albo nauczycielem, jak señor Leon. Chcę, żeby zrobił coś ze swoim życiem.

– Na pewno zrobi. Jest wyjątkowym dzieckiem, z wyjątkową przyszłością. Oboje o tym wiemy.

Światła samochodu wyławiają z ciemności drogowaskaz z napisem: *Cabañas* 5 km. Niedługo potem następny znak: *Cabañas* 1 km.

*Cabañas*, o których mowa, są położone z dala od szosy, w kompletnym mroku. Znajdują recepcję. Simón wysiada z auta i puka do drzwi. Otwiera kobieta w szlafroku trzymająca latarnię. Od trzech dni nie ma prądu, informuje ich. Nie ma prądu, a więc i żadnych *cabañas* do wynajęcia.

– Mamy w samochodzie dziecko – odzywa się Inés. – Jesteśmy bardzo zmęczeni. Nie możemy jechać całą noc. Skoro nie ma prądu, to może da nam pani jakieś świece?

Simón wraca do auta, potrząsa dzieckiem.

– Czas wstawać, skarbie.

Jednym płynnym ruchem pies podnosi się i wyślizguje z samochodu; potężne barki zmiatają mężczyznę na bok jak słomkę.

Chłopiec przeciera oczy.

– Jesteśmy na miejscu?

– Jeszcze nie. Zatrzymujemy się tylko na noc.

Przy świetle latarni kobieta wskazuje im drogę do najbliższego domku. Jest skąpo umeblowany, ale ma dwa łóżka.

– Bierzemy go – mówi Inés. – Czy można tu dostać coś do jedzenia?

– Wyżywienie we własnym zakresie – odpowiada kobieta. – Tam jest kuchenka gazowa – macha latarnią w stronę kuchenki. – Nie wzięliście z sobą żadnego prowiantu?

– Mamy bochenek chleba i trochę soku owocowego dla dziecka – mówi Inés. – Nie było czasu na zakupy. Możemy kupić jedzenie od pani? Może jakieś kotlety albo parówki? Nie rybę. Dziecko nie jada ryb. I jakieś owoce. I gdyby miała pani jakieś resztki dla psa.

– Owoce! – wykrzykuje kobieta. – Od dawna nie widzieliśmy żadnych owoców. Ale niech pani pójdzie ze mną, zobaczymy, co uda się nam znaleźć.

Obie kobiety oddalają się, zostawiając mężczyznę z dzieckiem w ciemności.

– Ja przecież jem ryby – mówi chłopiec. – Tylko nie wtedy gdy mają oczy.

Inés wraca z puszką fasoli oraz puszką czegoś, co nalepka nazywa kielbaskami koktajlowymi w galarecie; ma także jedną cytrynę, świecę i zapałki.

– A co z Bolíwarem? – pyta chłopiec.

– Bolívar będzie musiał jeść chleb.

– Może zjeść moje kielbaski. Nie cierpię kielbasek.

Jedzą skromny posiłek przy świetle świecy, siedząc obok siebie na łóżku.

– Umyj zęby, a potem spać – mówi Inés.

– Nie jestem zmęczony – protestuje chłopiec. – Może w coś zagramy. Na przykład w prawdę i konsekwencje?

Czas, żeby on, Simón, wkroczył do akcji:

– Dziękuję ci, Davidzie, ale mam aż za dużo konsekwencji jak na jeden dzień. Muszę odpocząć.

– To mogę otworzyć prezent od pana Dagi?

– Jaki prezent?

– Pan Daga dał mi prezent. Powiedział, że mam go otworzyć w chwili potrzeby. Ta chwila właśnie nadeszła.

– Señor Daga dał mu prezent na drogę – mówi Inés, unikając wzroku Simóna.

– Jest chwila potrzeby, więc czy mogę go otworzyć?

– To nie jest prawdziwa chwila potrzeby, prawdziwa dopiero nadejdzie – mówi Simón – ale dobrze, otwórz.

Chłopiec biegnie do samochodu i wraca, niosąc kartonowe pudełko. Rozrywa opakowanie. W środku znajduje się czarna atlasowa suknia. David wyciąga ją i rozkłada. Nie jest to suknia, lecz peleryna.

– Jeszcze jakaś karteczka – mówi Inés. – Przeczytaj ją.

Chłopiec przysuwa papier bliżej świecy i czyta:

– „Oto magiczna peleryna niewidka. Kto ją założy, będzie szedł przez świat, pozostając niewidocznym dla innych”. A nie mówiłem! – krzyczy, tańcząc z radości. – A nie mówiłem, że pan Daga zna czary! – Owija się w pelerynę. Jest na niego o wiele za duża. – Widzisz mnie, Simón? Jestem niewidzialny?

– Nie całkiem. Jeszcze nie. Nie przeczytałeś całej instrukcji. Posłuchaj: „Wskazówki dla użytkownika. Aby uzyskać niewidzialność, użytkownik powinien przywdziać pelerynę przed lustrem, następnie podpalić czarodziejski proszek i wymówić tajemne zaklęcie. Wówczas ziemskie ciało zniknie w lustrze, pozostawiając jedynie nieuchwytnego ducha”.

Simón zwraca się do Inés:

– Co o tym myślisz? Pozwolimy naszemu młodemu przyjacielowi przywdziać pelerynę niewidkę i wypowiedzieć tajemne zaklęcie? A co będzie, jak zniknie w lustrze i nigdy nie wróci?

– Może jutro – proponuje Inés. – Dziś już jest za późno.

– Nie! – mówi chłopiec. – Teraz ją załóż! Gdzie jest czarodziejski proszek? – przetrząsa pudełko, wyjmując szklany słoik. – To jest czarodziejski proszek, Simónie?

Mężczyzna otwiera słoik i wacha srebrzystą substancją. Nie ma zapachu.

Na ścianie domku wisi duże upstrzone śladami much lustro. Simón ustawia przed nim chłopca, zapina mu pelerynę pod szyją. Szata ciężkimi fałdami opada aż do stóp dziecka.

– O, tak. Trzymaj świecę w jednej ręce. Czarodziejski proszek w drugiej. Znasz zaklęcie?

Chłopiec kiwa głową.

– Świetnie. Sypnij proszkiem w płomień świecy i wypowiedz zaklęcie.

– Abrakadabra – mówi dziecko i usypuje trochę proszku, który spada na ziemię krótkotrwałym deszczem. – Jestem już niewidzialny?

– Jeszcze nie. Spróbuj dać więcej proszku.

Chłopiec wtyka płomień świecy do słoika. Następuje ogromny wybuch światła, a potem zapada całkowita ciemność. Inés krzyczy; oślepiiony Simón odskakuje do tyłu. Pies zaczyna szczekać jak szalony.

– Widzicie mnie? – dobiega z ciemności cichutki, niepewny głos chłopca. – Jestem niewidzialny?

Żadne z dwojga dorosłych nie odpowiada.

– Nic nie widzę – mówi dziecko. – Simón, ratuj mnie.

Mężczyzna dochodzi po omacku do chłopca, podnosi go z podłogi, kopnięciem odrzuca na bok pelerynę.

– Nic nie widzę – powtarza chłopiec. – Boli mnie ręka. Czy umarłem?

– Nie, oczywiście, że nie. Nie jesteś ani niewidzialny, ani umarły. – Simón maca rękami po podłodze, znajduje świecę, zapala ją. – Pokaż no tę rękę. Na moje oko nic jej nie dolega.

– Boli mnie. – Chłopiec ssie palce.

– Widocznie się poparzyłeś. Pójdę i zobaczę, czy ta pani jeszcze nie śpi. Może da mi trochę masła, to posmarujemy oparzenie. – Oddaje Davida w ramiona Inés. Kobieta przytula go, całuje, kładzie na łóżku, nuci mu coś półgłosem.

– Jest ciemno – mówi chłopiec. – Nic nie widzę. Czy jestem wewnątrz lustra?

– Nie, kochanie – mówi Inés – nie jesteś wewnątrz lustra, jesteś ze swoją mamą i wszystko będzie dobrze. – Odwraca się do Simóna. – Sprowadź lekarza! – syczy.

– To musiała być magnezja – mówi mężczyzna. – Nie rozumiem, jak twój przyjaciel Daga mógł dać dziecku tak niebezpieczny prezent. Ale cóż – nie może się powstrzymać od złośliwości – wielu rzeczy nie rozumiem, jeśli chodzi o twoją przyjaźń z tym człowiekiem. I, proszę, każ się zamknąć temu psu – mam już dość tego obłąkanego szczekania.

– Przestań biadolić! Zrób coś! Señor Daga to nie twój interes. Idź już!

Simón wychodzi z domku, idzie oświetloną światłem księżycy ścieżką w stronę recepcji.



„Jak stare małżeństwo – myśli. – Nigdy nie byliśmy razem w łóżku, nawet się nie całowaliśmy, a kłócimy się, jakbyśmy byli małżeństwem od lat!”

Chłopiec śpi mocnym, głębokim snem, ale kiedy się budzi, staje się jasne, że z jego oczami nadał jest niedobrze. Opowiada o promieniach zielonego światła przesuających się w polu jego widzenia, o kaskadach gwiazd. Daleki od niepokoju, wydaje się oczarowany tymi wizjami.

Simón stuka do drzwi señory Robles.

– Mieliśmy w nocy wypadek – mówi. – Nasz syn potrzebuje pomocy lekarskiej. Gdzie jest najbliższy szpital?

– W Novilli. Możemy wezwać ambulans, ale musiałby przyjechać z Novilli. Szybciej będzie, jak sam go pan zawiezie.

– Novilla jest za daleko. Nie ma bliżej żadnego lekarza?

– Jest przychodnia w Nueva Esperanza, jakieś sześćdziesiąt kilometrów stąd. Znajdę panu adres. Biedne dziecko. Co się stało?

– Bawił się łatwopalnym materiałem. Nastąpił wybuch i błysk go oślepił. Myśleliśmy, że przez noc mu się poprawi, ale nie.

Señora Robles cmoka współczująco.

– Pójdę zobaczyć – mówi.

Zastają Inés nerwowo szykującą się do wyjazdu. Chłopiec siedzi na łóżku, ubrany w czarną pelerynę. Ma zamknięte oczy, na jego twarzy maluje się wniebowzięty uśmiech.

– Sefiora Robles mówi, że jest lekarz o godzinę drogi stąd – oznajmia Simón.

Sefiora Robles przyklęka z trudem przed chłopcem.

– Kochanie, twój ojciec mówi, że nie widzisz. To prawda? A mnie widzisz?

Chłopiec otwiera oczy.

– Widzę – mówi. – Z głowy wychodzą ci gwiazdy. A jak zamykam oczy – zamyka oczy – to mogę latać. Widzę cały świat.

– To cudowne móc widzieć cały świat – zachwyca się señora Robles. – Widzisz moją siostrę? Mieszka w Marguelles, niedaleko Novilli. Ma na imię Rita. Podobna do mnie, tylko młodsza i ładniejsza.

Dziecko marszczy w skupieniu czoło.

– Nie widzę jej – mówi w końcu. – Boli mnie ręka.

– Poparzył sobie w nocy palce – wyjaśnia Simón. – Wybierałem się do pani poprosić o masło, żeby posmarować nim oparzenia, ale było późno i nie chciałem pani budzić.

– Zaraz przyniosę trochę masła. Próbował pan przemywać mu oczy solą?

– To jest taki rodzaj oślepienia, jaki pojawia się, gdy patrzymy na słońce. Sól nie pomoże. Inés, jesteśmy gotowi do wyjazdu? Sefiora, ile jesteśmy pani winni?

– Pięć reali za nocleg i dwa za jedzenie. Napilibyście się kawy, zanim pojedziecie?

– Dzięki, ale nie mamy czasu.

Bierze chłopca za rękę, ale ten ją wrywa.

– Nie chcę wyjeżdżać – mówi. – Chcę tu zostać.

– Nie możemy zostać. Ciebie czeka wizyta u lekarza, a señora Robles musi posprzątać domek przed przyjazdem następnych gości.

Chłopiec przyciska ręce do piersi, nie chce się ruszyć z miejsca.

– Wiesz, co? – mówi señora Robles. – Jedź teraz do doktora, a jak będziecie wracać z rodzicami, to znów możecie się u mnie zatrzymać.

– To nie są moi rodzice i nie będziemy wracać. Jedziemy do nowego życia. Jedziesz z nami?

– Ja? Chyba nie, skarbie. Ładnie z twojej strony, że mnie zapraszasz, ale mam tu masę rzeczy do zrobienia, a poza tym zawsze choruję w samochodzie. A gdzie zamierzacie znaleźć to nowe życie?

– W Estell... W Estrellita del Norte.

Señora Robles kręci z powątpiewaniem głową.

– Za wiele nowego życia to raczej nie znajdziecie w Estrellicie. Mam przyjaciół, którzy się tam przeprowadzili. Mówią, że nie ma nudniejszego miejsca na świecie.

Inés przerywa im.

– Chodź – nakazuje chłopcu. – Jak nie pójdziesz sam, to cię wezmę na rękę. Liczę do trzech. Raz. Dwa. Trzy.

Chłopiec bez słowa wstaje, podkasuje pelerynę i wlecze się ścieżką do samochodu. Naburmuszony, zajmuje miejsce na tylnym siedzeniu. Pies zwinnie wskakuje za nim.

– Tu masz masło – mówi señora Robles. – Posmaruj sobie palce tam, gdzie cię boli, i owiń chusteczką. Oparzenie niedługo się zagoi. A to są okulary przeciwsłoneczne, których mój mąż już nie używa. Noś je, aż oczy wydobrzeją.

Zakłada dziecku okulary. Są o wiele za duże, ale chłopiec ich nie zdejmuje.

Machają señórze Robles na pożegnanie i ruszają na północ.

– Nie powinieneś mówić ludziom, że nie jesteśmy twoimi rodzicami – zwraca chłopcu uwagę Simón. – Po pierwsze, to nieprawda. Po wtóre, mogą myśleć, że cię porwaliśmy.

– Mam to w nosie. Nie lubię Inés. Ciebie też nie. Lubię tylko braci. Chcę mieć braci.

– Jesteś dzisiaj w złym humorze – mówi Inés.

Chłopiec puszcza jej słowa mimo uszu. Przez otrzymane od señory Robles okulary wpatruje się w słońce, w pełni już widoczne ponad linią błękitnych gór w oddali.

Pojawia się drogowskaz: Estrellita del Norte 475 km, Nueva Esperanza 50 km. Obok drogowskazu stoi autostopowicz, młody mężczyzna w oliwkowozielonym poncho, z plecakiem u stóp. W tym pustym krajobrazie wygląda bardzo samotnie. Simón zwalnia.

– Co ty robisz? – mówi Inés. – Nie mamy czasu, żeby zabierać nieznajomych.

– Zabierać kogo? – pyta chłopiec.

Simón widzi w lusterku, że autostopowicz biegnie truchtem w stronę samochodu. Z poczuciem winy dodaje gazu i odjeżdża.

– Kogo zabierać? – powtarza chłopiec. – O kim wy mówicie?

– Jakiś człowiek machał, żeby go podwieźć – mówi Inés. – Nie mamy miejsca w samochodzie. I nie mamy czasu. Musimy cię zawieźć do lekarza.

– Nie! Jeśli się nie zatrzymasz, to wyskoczę! – I otwiera drzwi po swojej stronie.

Simón ostro hamuje i wyłącza silnik.

– Nigdy więcej tego nie rób! Mogłeś wypaść i się zabić.

– Nie obchodzi mnie to! Ja chcę do innego życia! Nie chcę być z tobą i Inés!

Zapada głucha cisza. Inés patrzy na szosę przed sobą.

– Nie wiesz, co mówisz – szepcze.

Rozlega się chrzęst kroków i w oknie od strony kierowcy pojawia się brodata twarz.

– Dziękuję! – sapie nieznajomy, a potem zastyga na widok psa, który, wyciągnięty na tylnym siedzeniu obok chłopca, unosi łeb i cicho warczy.

– Ale wielki pies! – mówi brodac. – Jak się wabi?

– Bolívar. Pochodzi z Alzacji. Cicho, Bolívar! – Otoczywszy rękami szyję psa, chłopiec próbuje zepchnąć go z siedzenia. Zwierzę niechętnie układa się na podłodze u stóp dziecka.

Nieznamy wsiada do auta, które w jednej chwili wypełnia się kwaśną wonią długo nie pranej odzieży.

– Bolívar – mówi młody człowiek. – Niezwykle imię. A ty jak masz na imię?

– Nie mam imienia. Muszę je dopiero zdobyć.

– Będę więc cię nazywać señor Anónimo – mówi autostopowicz. – Witam, señor Anónimo, jestem Juan. – Wyciąga do chłopca dłoń, którą ten ignoruje. – Cemu nosisz ten chałat?

– To czarodziejska peleryna. Czyni mnie niewidzialnym. Jestem niewidzialny.

Simón wpada mu w słowo:

– David miał wypadek i właśnie wieziemy go do lekarza. Niestety, możemy pana podwieźć tylko do Nueva Esperanza.

– W porządku.

– Oparzyłem sobie rękę – mówi chłopiec. – Jedziemy po lek.

– Boli cię?

– Tak.

– Podobają mi się twoje okulary. Szkoda, że nie mam takich.

– Możesz mieć.

Po spędzeniu chłodnego poranka na naczepie ciężarówki z drewnem pasażer cieszy się ciepłem i wygodą samochodu. Z jego paplaniny wynika, że pracuje w fachu drukarskim i jedzie do Estrellity, gdzie ma przyjaciół i gdzie, jak wieść niesie, jest mnóstwo roboty do wzięcia.

Przy skręcie na Nueva Esperanza Simón zatrzymuje się, żeby autostopowicz mógł wysiąść.

– Jesteśmy już u lekarza? – pyta chłopiec.

– Jeszcze nie. Ale tutaj rozstajemy się z twoim przyjacielem, który udaje się dalej na północ.

– Nie! On musi zostać z nami!

Simón zwraca się do Juana.

– Możemy pana wysadzić tutaj albo może pan podjechać z nami do miasta. Jak pan chce.

– Pojadę z wami.

Bez większych trudności znajdują przychodnię. Doktor García jest akurat na wizycie domowej, informuje ich pielęgniarka, ale jeśli zechcą zaczekać, na pewno ich przyjmie.

– Pójdę się rozglądnać za jakimś śniadaniem – mówi Juan.

– Nie, nie wolno ci odchodzić – powstrzymuje go chłopiec. – Zgubisz się.

– Nie zgubię – odpowiada Juan, kładąc rękę na klamce.

– Zostań tu, rozkazuję ci! – wrzeszczy dziecko.

– David! – strofuje go Simón. – Co w ciebie dzisiaj wstąpiło? Nie mów tak do obcej osoby.

– On nie jest obcą osobą. I nie nazywaj mnie Davidem.

– Tylko jak?

– Musisz mnie nazywać moim prawdziwym imieniem.

– A można wiedzieć, jak ono brzmi?

Chłopiec milczy.

Simón zwraca się do Juana.

– Niech się pan spokojnie rozejrzy po mieście. Zobaczymy się później.

– Nie, wolę zostać z wami – mówi Juan.

Nadchodzi doktor García: niski, krzepki mężczyzna o energicznym wyrazie twarzy, z grzywą srebrnych włosów. Patrzy na nich z udawanym przerażeniem.

– Co to za najście? I jeszcze pies! Co mogę dla państwa zrobić?

– Oparzyłem sobie rękę – mówi chłopiec. – Jedna pani posmarowała mi ją masłem, ale dalej boli.

– Niech no spojrzę... tak, tak... To rzeczywiście musi być bolesne. Wejź do gabinetu, to zobaczymy, co się da zrobić.

– Panie doktorze, nie przyjechaliśmy tutaj z powodu ręki – mówi Inés. – Wczoraj w nocy mieliśmy wypadek z ogniem i teraz mój syn nie widzi dobrze. Czy mógłby pan zbadać mu oczy?

– Nie! – krzyczy chłopiec, zrywając się z miejsca, żeby stawić czoło Inés. Pies też podnosi się z ziemi, przechodzi bezgłośnie przez poczekalnię i staje u boku dziecka. – Przecież wciąż wam powtarzam, że widzę, tylko wy mnie nie widzicie, bo mam na sobie czarodziejską pelerynę. Ona mnie czyni niewidzialnym.

– Mogę popatrzeć? – pyta doktor García. – Czy twój stróż mi pozwoli?

Chłopiec kładzie uspokajająco rękę na szyi psa.

Lekarz zdejmuje mu z nosa okulary.

– Widzisz mnie teraz? – pyta.

– Jesteś bardzo, bardzo maleńki, jak mrówka, wymachujesz rękami i pytasz: „Widzisz mnie teraz?”.

– Aha, już wiem. Jesteś niewidzialny i nikt z nas nie może cię zobaczyć. Ale boli cię też ręka, która dziwnym trafem nie jest niewidzialna. Myślę więc, że powinniśmy wejść do mojego gabinetu i tam pozwolisz mi obejrzeć swoją rękę, tę widzialną część siebie – zgoda?

– Zgoda.

– Czy ja też mogę wejść? – pyta Inés.

– Za chwilę – mówi lekarz. – Najpierw chciałbym zamienić dwa słowa z tym młodym człowiekiem.

– Musi ze mną pójść Bolívar – żąda dziecko.

– Pod warunkiem że będzie się przywoicie zachowywał – odpowiada lekarz.

– Co się właściwie stało waszemu synowi? – pyta Juan, gdy zostają sami.

– Ma na imię David. Bawił się magnezją, magnezja się zapaliła i błysk go oślepił.

– On mówi, że nie nazywa się David.

– Mówi różne rzeczy. Ma bujną wyobraźnię. David to imię, które nadano mu w Belstarze. Jeśli chce przybrać jakieś inne, to niech mu będzie.

– Byliście w Belstarze? Ja też przeszedłem przez Belstar.

– Wie pan więc, jak działa ten system. Używamy imion, które tam dostaliśmy, ale równie dobrze moglibyśmy dostać numery. Liczby, imiona – są równie dowolne, równie przypadkowe, równie nieważne.

– Prawdę mówiąc, nie ma przypadkowych liczb – sprzeciwia się Juan. – Ktoś mówi: „Podaj jakąś przypadkową liczbę”, na co ja: „95 513”, bo jest to pierwsza liczba, jaka mi przyszła do głowy, ale w istocie nie jest przypadkowa; to mój numer ubezpieczenia społecznego, stary numer telefonu albo coś w tym rodzaju. Za liczbą zawsze stoi jakaś racja.

– Następnym numerologicznym mistyk! Pan i David powinniście założyć razem szkołę. Pan mógłby nauczać o tajemnej wymowie liczb, a on o tym, jak przechodzić od liczby do liczby, nie wpadając przy tym w głąb wulkanu. Oczywiście, że pod okiem Boga nie ma przypadkowych liczb. Ale my nie żyjemy pod okiem Boga. W świecie, w którym żyjemy, istnieją przypadkowe liczby, przypadkowe imiona i przypadkowe zdarzenia, takie jak przypadkowe znalezienie się w samochodzie, którym jadą mężczyzna, kobieta i dziecko imieniem David. Oraz pies. Jaka, pana zdaniem, była sekretna racja ukryta za tym zjawiskiem?

Zanim Juan ma czas odpowiedzieć na jego tyradę, drzwi gabinetu gwałtownie się otwierają.

– Proszę wejść – mówi doktor García.

Simón i Inés wchodzą. Juan waha się, ale ze środka dobiega wyraźny, młody głos chłopca:

– On jest moim bratem i też musi wejść.

Malec siedzi na brzegu lekarskiej kozetki, z uśmiechem pogodnej ufności na twarzy i ciemnymi okularami zsuniętymi na czubek głowy.

– Nasz młody przyjaciel i ja odbyliśmy długą owocną rozmowę – oznajmia doktor García.

– On wyjaśnił mi, jak to się dzieje, że jest dla nas niewidzialny, ja natomiast wytłumaczyłem mu, dlaczego ma wrażenie, że jesteśmy owadami, które machają do niego odnóżami, kiedy nad nimi przelatuje. Dodałem, że wolelibyśmy, żeby widział nas takimi, jacy naprawdę jesteśmy, nie zaś jako owady, na co on powiedział, że gdy powróci do widzialnej postaci, chciałby, abyśmy i my widzieli go takim, jaki rzeczywiście jest. Czy prawidłowo streściłem naszą rozmowę, młody człowieku?

Chłopiec kiwa głową.

– Nasz młody przyjaciel powiedział ponadto – lekarz patrzy znacząco na Simóna – że pan nie jest jego prawdziwym ojcem, a pani – zwraca się do Inés – jego prawdziwą matką. Nie proszę, żebyście się państwo bronili. Sam mam rodzinę i wiem, że dzieci potrafią mówić najbardziej zwariowane rzeczy. Niemniej, może jest coś, co chcielibyście mi powiedzieć?

– Ja jestem jego prawdziwą matką – mówi Inés – a w tej chwili ratujemy go od wysłania do zakładu poprawczego, gdzie zmieniłby się w przestępcę.

Powiedziawszy to, zaciska usta i patrzy wyzywająco na lekarza.

– A jego oczy, doktorze? – pyta Simón.

– Z oczami nie dzieje się nic złego. Przeprowadziłem badanie przedmiotowe, sprawdziłem też, jak nasz przyjaciel widzi. Jako narząd wzroku jego oczy są absolutnie normalne. Jeśli chodzi o rękę, założyłem opatrunek. Oparzenie nie jest poważne, za dzień, dwa będzie po bólu. A teraz pozwolę sobie zapytać: czy powinienem przejmować się historią, którą opowiedział mi ten młody człowiek?

Simón patrzy na Inés.

– Powinien pan zwrócić należyłą uwagę na wszystko, co mówi chłopiec. Jeśli twierdzi, że chciałby być od nas zabrany i odwieziony z powrotem do Novilli, to proszę go tam odesłać. To pański pacjent, podlega pańskiej opiece. – Zwraca się do chłopca: – Czy tego właśnie chcesz, Davidzie?

Chłopiec nie odpowiada, ale gestem pokazuje, żeby Simón podszedł bliżej. Oslaniając dłonią usta, szepcze mu coś do ucha.

– Panie doktorze, David poinformował mnie, że nie chce wrócić do Novilli, chce natomiast, żeby pan udał się razem z nami w dalszą drogę.

– Dokąd?

– Na północ, do Estrellity.

– Do nowego życia – dodaje chłopiec.

– A co z moimi pacjentami, tu, w Esperanzy, którzy na mnie liczą? Kto się nimi zajmie, kiedy ja odjadę, żeby opiekować się tobą?

– Nie musi się pan mną opiekować.

Doktor García patrzy niepewnie na Simóna. Ten bierze głęboki oddech.

– David proponuje, aby porzucił pan swoją praktykę i pojechał z nami na północ w celu rozpoczęcia nowego życia. Nie ze względu na niego, ale dla pańskiego własnego dobra.

Doktor García wstaje z miejsca.

– Ach, rozumiem! To bardzo wielkodusznie z twojej strony, że uwzględniasz moją osobę w swoich planach. Ale życie, które prowadzę tutaj, w Esperanzy, daje mi poczucie szczęścia i spełnienia. Dziękuję ci, ale nie ma potrzeby, żeby mnie od czegokolwiek zbawiać.

Znów są w samochodzie, jadą na północ. Chłopiec tryska energią, nie pamięta o bolącej ręce. Zalewa Juana potokiem słów, mocuje się na tylnym siedzeniu z Bolívarem. Juan nie

pozostaje mu dłużny, choć ma się na baczności przed psem, który jeszcze się do niego nie przekonał.

– Podobał ci się doktor Garda? – pyta Simón.

– W porządku gość – odpowiada chłopiec. – Ma włosy na palcach jak wilkołak.

– Dlaczego chciałeś, żeby jechał z nami do Estrellity?

– Bo tak.

– Nie możesz zapraszać każdego, kogo spotkasz, żeby nam towarzyszył – mówi Inés.

– Czemu nie?

– Bo w samochodzie nie ma miejsca.

– Jest miejsce. Bolívar może mi usiąść na kolanach, prawda, Bolívar? – Chwila ciszy. –

Co będziemy robić, jak dojedziemy do Estrellity?

– Do Estrellity jeszcze daleka droga. Bądź cierpliwy.

– Ale co tam będziemy robić?

– Znajdziemy ośrodek dla przesiedleńców, wejdziemy do recepcji, ty, Inés i ja...

– ... i Juan. Zapomniałeś o Juanie. I o Bolívarze.

– Ty, Inés, Juan, Bolívar i ja, i powiemy: „Dzień dobry, jesteśmy nowi, i szukamy jakiegoś dachu nad głową”.

– I co?

– To wszystko. „Szukamy dachu nad głową, żeby rozpocząć nowe życie”.